

JACEK GŁĘBSKI

KRYMINALISTA



JACEK GŁĘBSKI

KRYMINALISTA



Projekt okładki: XAUDIO
Copyright © Jacek Głębski
Copyright © for the Polish ebook edition by XAUDIO Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Reprodukowanie, kopiowanie w urządzeniach przetwarzania danych, odtwarzanie w jakiegokolwiek formie oraz wykorzystywanie w wystąpieniach publicznych – również częściowe – tylko za wyłącznym zezwoleniem właściciela praw.

ISBN 978-83-66807-06-8

Wydanie II

Warszawa 2021

Wydawca:
XAUDIO Sp. z o.o.
e-mail: kontakt@xaudio.pl
www.xaudio.pl

Spis treści

Okładka

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Kryminalista

Epilog

Słowniczek

**Monice Podgórnjak
i Arkowi Jadczakowi**

– Dzień dobry...

Wybuchnęliśmy śmiechem. Dawno nikt tu nie słyszał czegoś takiego. Nawet Burak, strażnik, chłop małorolny i przygłup jakich mało, też się roześmiał. Ale jemu to niby nie wolno, więc ściągnął usta i tylko popchnął nowego na środek celi, a sam wycofał się za drzwi. Zapadła klamka, zgrzytnął zamek.

Chłopak stał na środku, tak jak go zostawił Burak, i nie wiedział, co ze sobą zrobić. Przypomniały mi się moje pierwsze kroki. Jak gdyby cofnąć film i obejrzeć go jeszcze raz. Ileż to lat temu też tak stałem na środku celi, z mandżurem w dłoni i nie wiedziałem, od czego zacząć. Ale wtedy i tak zaczęło się od początku. Muki. Blachy. A potem regularne bęcki. Tak witali na kłęczkach.

PRZYPIS OD AUTORA:

Jakiś problem ze słownictwem? Na końcu tekstu znajduje się słownik grypserski. Ale powstrzymajmy się z zaglądaniem do niego. Nowym więźniom, którzy trafiają do cel „grypsujących”, nikt nie wręcza na powitanie słownika. Muszą zorientować się we wszystkim sami. I to szybko.

Teraz czasy się zmieniły. Już nie jest tak jak kiedyś. Grypserska się odwróciła, doszło do chamstwa. Chociaż zawsze to atrakcja, jak pojawi się ktoś nowy. Ostry sam co prawda wydał zakaz gnębienia nowo przybyłych, bo niektórzy ludzie na zbyt wiele już sobie pozwalali, ale bo to widział on kiedy noworodka? Ktoś taki w naszej celi? W głowie się nie mieści. Aż tu nagle taka atrakcja.

Spojrzałem na Ostrego, a ten aż ślinkę łyka. Znaczy, że jego własny zakaz już jakby go nie dotyczył. A z Ostrem nie ma żartów. Nie darmo jest mąciocielem i ma wydziarganego buraka pod lewym lipkiem.

Chłopak stoi na środku i aż żal patrzeć. Sam się naprasza. Nie żeby mi go było żal, ale to wspomnienie, jak ja kiedyś...

Ostry podchodzi do niego, a za nim cała reszta: Suchy, Niedźwiedź i Gonzo. Nawet Maryśka się odważyła. Widząc ją, Ostry rzucił jej wiąchę.

– Mańka, parowo w styję szlojona, a ty gdzie?

Maryśka wycofała się spiesznie i usiadła na swym łóżku.

Ludzie otoczyli nowego. Oglądali go z przesadnym zainteresowaniem, jak atrakcyjny towar na wystawie. Ten i ów cmokał i kręcił głową. Pomyślałem, że nie jest dobrze trzymać się tak na uboczu, podszedłem więc i ja.

Chłopak najwyraźniej był przestraszony. Rozglądał się niepewnie. Nogi mu lekko drżały. Sprawiał wrażenie, jakby trafił do więzienia po raz pierwszy. To było widać. Nie rozumiałem, dlaczego dali go pod naszą celę. Przecież u nas sama recydywa, a tu nagle skądś nowicjusz, szczeniak bez przeszłości. Tłumaczenie mogło być jedno: dostał bez oddechu. Dożywocie. Widocznie nieźle sobie nagrabił. Gdy o tym pomyślałem, jakby zrobiło mi się go mniej

zał. Morderca albo gwałcieciel, może rozbój ze szczególnym okrucieństwem. Ale jakoś mi na takiego nie wyglądał. Za dobrze mu z oczu patrzyło. Choć kto go tam wie? Tacy właśnie mogą być najgorsi: grzeczni chłopaczkowie z dobrych domów, co to chodzą akuratnie do szkoły, jeżdżą dobrym wozem tatusia, a jak przyjdzie co do czego, potrafią załatwić człowieka z uśmiechem na ustach.

– No, no – odezwał się Ostry, obchodząc nowego dookoła. – I co tam, mały?

Powiedzieć do któregoś z nas „mały” oznaczało w najlepszym wypadku sygnał do rozpoczęcia krwawej bójki. Ludzie zarechotali. Wiadomo już, o co chodziło Ostremu. Najwyraźniej pod celą szykował się nowy cwel. Już na samym początku. Jeżeli nawet dostał bez oddechu, to niech mu chociaż dadzą szansę.

Podszedłem do Ostrego.

– Ostry, odknaj się od noworodka.

– Kitraj się, Cichy.

– Sam się kitraj! Przecież lipujesz, że to noworodek. A jakby tak ciebie spuścili do wora na starcie? Chciałbyś być w styję szarpany od okładki do okładki za frajer? Kopsnij mu luzu, niech się jorgnie, o co biega. No nie? – zwróciłem się do chłopaka. Chciałem powiedzieć: „No nie, mały?” ale na szczęście w porę ugryzłem się w język.

Chłopak tymczasem przysłuchiwał się nam z szeroko otwartymi ustami. Mrugał powiekami i marszczył czoło. Usiłował pojąć, o czym mówimy. Na początku to wydaje się trochę trudne, ale z biegiem czasu do wszystkiego człowiek przywyka. Słonia tańczyć nauczą, to i człowiek mówić się nauczy jak człowiek.

Ostry miał jednak ochotę trochę się zabawić. Stał naprzeciw chłopaka twarzą w twarz, zająrzył mu w oczy i wolno cedząc słowa, zapytał:

– Pierwszy raz schowali do pudełka? Zacynkuj, za co leżysz. Co kat dał?

Chłopak nerwowo przełknął ślinę. Milczał.

– Ostry, zbastuj – stanąłem pomiędzy nimi. – On nie jorga nawijki.

– Haukacz przyknajał! – mruknął Ostry.

– Chcesz być git, to mu wypłać blachę albo mukę i odkitraj się – odsunąłem się nieco, by nie zasłaniać już nowego.

Ostry zrobił szybki ruch, jakby chciał otwartą dłonią uderzyć go w czoło. Czy jednak chłopak nie skoncentrował się na tym geście, czy też może myślami był gdzie indziej – dość, że się nie uchylił, nie drgnął nawet.

– No, no, taki mikry, a nie cykoruje! – rzekł Ostry z nieukrywanym zdziwieniem. Pozostali z pomrukiem uznania kiwnęli głowami. Wiedziałem, że na razie zostawi chłopaka w spokoju. A przynajmniej da mu szansę.

– Tam będziesz kojował – rzekł Ostry i wskazał nowemu wolne łóżko, wolne od tygodnia, gdy Cienkiemu skończył się wyrok. Mówiąc to, popchnął go we wskazanym kierunku. Gonzo skrętnie wykorzystał moment: podstawił nowemu nogę i ten, wśród śmiechów, rozłożył się jak długi na podłodze.

Z jego mandzura wysypały się, oprócz betów, jakieś drobiazgi. Wśród nich była fotografia. Suchy schylił się po nią i obejrzał.

– Kuken, gites mana! – pokazał ją reszcie ludzi. – Hej, harcerzyk – machnął fotografią w stronę nowego – kopsa ci smutne oko czy to suchy brandzel?

Ludzie zaśmiali się z udanego dowcipu. Nowy zerwał się z podłogi i doskoczył do Suchego.

– Daj to!

Nie dokończył. Suchy z zimną krwią, precyzyjnie wymierzonym ciosem posłał nowego na parkiet, po czym nachylił się nad nim i wycedził:

– „Daj” to możesz gamzać, jak będziesz chciał mnie walić w styję.

Chłopak powoli gramolił się z podłogi. Z rozbitego nosa kapąła krew.

Bez słowa odebrałem Suchemu zdjęcie i podałem je nowemu.

– Masz. I nie kozakuj. Za cienki tu jesteś – spojrzałem na resztę ludzi. – No i git. Na dziś basta.

– Co basta, co basta! – nie wytrzymał cichy dotąd i spokojny Niedźwiedź. – Kłapiesz jak najmimorda. Co, chrabąszcza już nie da się stuknąć?

– Ty, Niedźwiedź, masz krzywości? Masz! To zhaltuj szamot. Damskie głosy śmigają pod niebiosy!

– Damskie to niby czyje?!

– Damskie to damskie.

– Chcesz mi bluznąć?!

– Jeszcze nie, ale jak mnie zjeżysz, to wszystko jest możliwe.

– Basta! – zdecydowanie wkroczył Ostry. – Niedźwiedź ma krzywo, ale to się obłatwi.

– Jak mu jareccy kopsną rakiętę – uśmiechnąłem się krzywo.

– Cichy, nie bądź taki ęą i nie szpońć, bo ci się mózg zlasuje.

– No i git. A chrabąszczyka zostawcie mnie. Będą z niego ludzie.

– Jak leżałem na klęczkach, to takich harcerzyków my... – zaczął Gonzo, ale przerwałem mu:

– Ty, Gonzo, nie żeń tu bałachów. Teraz grypserka się odwróciła. Ja też leżałem na klęczkach. Było, a nie jest.

Ludzie niechętnie rozeszli się do swych zajęć. Gonzo wziął się do robienia fajansu: rzeźbił jakieś figurki z wosku, wsadzał tam knot i były z tego takie fikuśne świece. Miał do tego smykałkę, a mrowisko nie wiedzieć czemu brało od niego to barachło za pojarękę, czasem nawet za goudę. Ostry zasiadł przed telewizorem, a Niedźwiedź i Suchy zaczęli grać w karty. Nie mając nic lepszego do roboty, podszedłem do łóżka, na którym leżał nowy.

– Ej, ty – zagailem – wiesz, dlaczego mówi się o więzieniu, że tu się siedzi?

Spojrzał na mnie i tylko wysmarkał resztki krwi na betonkę.

– Bo tu się nie leży, jak nie jest pora. Siedzieć możesz albo stać. Wstawaj, zanim cię strażnik przyuważy.

Nie odezwał się. Nie wykonał najmniejszego gestu. Patrzył tylko na mnie, i patrzył... Zresztą jego sprawa. Jak chce, niech sobie leży. Przyjrzałem mu się

uważnie. Mógł mieć ze dwadzieścia lat. Szczupły, mizerny chłopaczyna. Takie sobie nic.

– Za co siedzisz? – specjalnie nie użyłem słowa „leżysz”. Wiedziałem, że szczeniak nie rozumie grypsarki, ale wiedziałem też, że jeśli chce się tu jakoś urządzić, będzie musiał się jej nauczyć. Przez trzy miesiące. Niby dużo, a jednocześnie mało. Na dziś miał chyba jednak dosyć wrażeń. Na tłumaczenie grypsarki przyjdzie czas.

Nie odzywał się.

– No, ty – zdenerwowało mnie jego milczenie – odpowiadaj, jak pytają! Może jeszcze do ciebie to nie dotarło, ale spędzisz tu z nami jakiś czas.

Nic. I tylko ten wzrok. Przerażony. Dziki.

– No, koleś, wyluzuj się, chcę ci pomóc.

– Odpierdolicie się wszyscy! – krzyknął niespodziewanie i ukrył twarz w poduszce.

I wówczas wstąpił we mnie diabeł. Działalem jak automat. Chwyciłem go za ramiona i siłą zwlokłem z łóżka. Trzymałem go jedną ręką za kark, a drugą tłukłem po twarzy, po brzuchu, gdzie popadnie. Nie bronił się nawet. Waliłem w niego jak w treningowy worek. W końcu pchnąłem go z całej siły na ścianę. Osunął się bezwładnie na podłogę. Już miałem doskoczyć i strzelić mu z glana, gdy nagle usłyszałem drwiący głos Niedźwiedzia:

– Kuken, jak się najmimorda zabawia. Skitrał chrabąszczyka dla siebie.

To mnie otrzeźwiło, bo nie wiem, co bym zrobił. Ciężko dysząc, oparłem się o ścianę. Nowy podnosił się z ziemi. Z nosa znów puściła mu się krew. Na dodatek rozkwaśiłem mu jeszcze wargę. Wzruszyłem ramionami i podszedłem do Ostrego. Usiadłem obok niego przed telewizorem. Ostry bez słowa wyciągnął do mnie paczkę z papierosami. Zapaliliśmy.

– Masz kopyto – mruknął, zaciągając się dymem i zerkając na gramolącego się z ziemi nowego. – Czym cię ten harcerzyk tak podjarał?

– A bo to frajer jest... – zacząłem, ale opamiętałem się. – Chociaż będą z niego ludzie.

– Ma trzy wojtki. A jak nie – to do wora. Maryśce przydałby się zmiennik, bo już nie wyrabia.

W nocy obudziły mnie szepty. Chciałem wrzasnąć, żeby bastowali z nawijką i dali ludziom schnąć, ale coś mnie powstrzymało. Nastawiłem uszu.

Szepty dobiegały od strony łóżka, które należało odtąd do nowego. Trochę mnie to zdziwiło. Wpatrywałem się w mrok, ale nadaremnie. Nie mogłem dostrzec rozmawiających. Jednym z nich musiał być nowy, ale kim był ten drugi? Czyżby Ostry? Nonsens. To kto? Gonzo? Nie, ten by sobie nawet nie zadawał trudu. Niedźwiedź? A może Suchy? Suchy lubi nawijać. Pozostało mi tylko słuchać, choć głos zniżony do szeptu utrudniał identyfikację rozmawiających.

– ...widzisz, lepiej siedź cicho. Rób, co ci każą. Nie masz innego wyboru.

Inaczej zostaniesz zgnojony. A nawet przecwelony.

– Prze... co?

– Przecwelony. Zrobią z ciebie męską dziwkę. Będziesz musiał im lizać. Albo brać w dupę.

– Ale dlaczego?

– Ktoś musi. Tu nie ma kobiet, a ludzie mają swoje potrzeby. A tak wszystko w porządku. Że niby za karę. Że jesteś za miękki, nie grypsujesz, jesteś frajer. A bić się chociaż umiesz?

– Ćwiczyłem kiedyś karate. W ogólniaku. Ale wyszedłem z wprawy.

– To masz szczęście, że nie dołożyłeś Cichemu albo Suchemu, jak cię oprawiali. Bo wtedy by cię roznieśli. Wszyscy.

– I tak mnie roznieśli.

– E, tam. Nie dostałeś jeszcze prawdziwych będków.

Nie mogłem dojść, z kim gada nowy. Suchy odpadał. Nie mówiłby przecież o sobie „Suchy”. A więc to Niedźwiedź? Jakoś nie mieściło mi się to w głowie: Niedźwiedź, ortodoks na punkcie grypserski, prawdziwy ekspert grypserskiej nawijki, bywalec Ptakowa, Koszar, Kłęczków, a tu nagle frajerska gadka? Nie, nie chodzi o to, że gada jak frajer. On pewnie nie potrafiłby już przestać mówić gwarą. Chyba nawet myśleć nie umiałby inaczej. Tyle lat w więzieniach, krótka przerwa i znów odsiadka, znów garowanie, leżenie, gibanie, kiwanie, klepanie...

– Za co cię posadzili?

– Miałem wypadek.

– E, tam, gadasz! Możesz mówić śmiało! Rąbnałeś kogoś?

– Jechałem z dziewczyną. Ktoś zajechał mi drogę. Chciałem go ominąć, skręciłem i uderzyłem w zaparkowany na poboczu samochód.

– I za to cię posadzili? I to w tej celi? Z samą recydywą? Nie gadaj!

– Widzisz, to było tak. Pojechaliśmy do jej domu za miastem.

– Na jebanie... Ech!

– Nic nie rozumiesz. To była... ona była... Zresztą nieważne. Poszliśmy na spacer. Potem napaliliśmy w kominku. Napiliśmy się szampana. Rozumiesz?

– Ale nie ma to jak zakirać goudy.

– Co zrobić?!

– Zakirać. Znaczy się wypić. Napić się wódki. I co było dalej?

– I uderzyłem w zaparkowane na poboczu auto. Ona zginęła na miejscu. A u mnie wykryli alkohol. Sam rozumiesz. Nieumyślne spowodowanie śmierci i alkohol. Niewiele tego było, ale wystarczyło.

– I nie dali ci z karoserią?

– Z czym?!

– Wyroku z zawieszeniem.

– Dostałem pięć lat do odsiedzenia. Ojciec wynajął najlepszych adwokatów, ale nic nie dało się zrobić.

– To twój stary jest bogaty, co?

– Widocznie nie aż tak. Ale nie to jest najważniejsze. Widzisz, ja ją zabiłem. Ja ją zabiłem...

Głos mu się załamał. Zaczął płakać. Słyszałem, jak chlipie w poduszkę. Ładny gips, pomyślałem. Zrobiło mi się go żal. Trafił tu naprawdę za frajer. Ale tym bardziej nie mogłem zrozumieć, dlaczego dali go właśnie nas. Brak miejsc w spokojniejszych celach? Jakaś cholerna pomyłka? Czy też złośliwość klawiszy?

Podniosłem się z łóżka. Szczęknęły sprężyny.

– Niedźwiedź, ty stary ułanie, odknaj się od chrabąszcza i daj komarować.

Sięgnąłem po zapalniczkę i zapaliłem knot stojący na szafce. W nikłym świetle margarynowej lampki dostrzegłem tego, który rozmawiał z nowym. To nie był Niedźwiedź. To była Maryśka. Zatkano mnie.

– Ach, ty druciaro! Ty szmato!

Zerwałem się z łóżka i podbiegłem do łóżka młodego. Mańka nawet nie próbowała uciekać. Zakryła tylko dłońmi głowę i skuliła się. Jednym silnym ciosem zwałem ją z łóżka na podłogę i zacząłem kopać. Nagle ktoś silnie pociągnął mnie za ramię. Omal nie straciłem równowagi.

– Zostaw go! – usłyszałem cienki dyszkant nowego.

Przestałem kopać Maryskę i spojrzałem na chłopaka z niedowierzaniem. Odważył się mnie szarpać?! Mnie, który byłem prawie dwa razy starszy, wyższy i o wiele silniejszy? Mogłem go po prostu roznieść. Ciężko pobić. Nawet zabić, gdybym chciał. Chłopak po prostu mi zaimponował. Mimo szczupłej sylwetki i wątlej budowy, mimo iż wiedział, że gdyby chciał ze mną walczyć, nie miałby żadnych szans, odważył się stanąć pomiędzy mną a..., no właśnie, kim? Cwelem. Parową. Popychadłem. Szmatą najgorszej kategorii. Najcięższym frajerem. Pomiedzy mną a Mańką. I dopiero teraz przypomniało mi się prawdziwe, dawno już zapomniane imię Mańki: Marek. A dalej? Miał nawet jakąś ksywę. Chyba coś od nazwiska...

– Zostaw go! – powtórzył.

– Przecież to cwel – spojrzałem na niego zdziwiony. – Robi tu za kobietę. To panienka. Rozumiesz?

– I co z tego? Lubi facetów. Tak jak inni lubią kobiety.

Aż zakrztusiłem się ze śmiechu, ale mimo wszystko starałem się nie śmiać na głos, by nie pobudzić śpiących.

– No, mały... – powiedziałem, gdy udało mi się opanować. – Dawno się tak nie uśmieiałem!

– Niby co w tym śmiesznego? – spojrzał na mnie niepewnie.

– Słuchaj – spoważniałem. – To nie jest tak, jak ci się wydaje.

– Co nie jest tak?

– Nic. Kompletnie nic. Rozumiesz?

Patrzył na mnie, ale wiedziałem, że choć usiłuje, niczego nie rozumie. „Tak jak ty, baranie, gdy pierwszy raz...” – przebiegło mi przez myśl. Tak jak ja. Dopóki nie pojąłem, w czym rzecz. Dopóki się nie przekonałem. Nie

dotknąłem samemu.

– Posłuchaj, cwel to cwel. On sam wie, kim jest. Możesz go bić, kopać, ładować, a on nic nie powie. Prawda, Mańka? – na dowód tego kopnąłem skuloną na ziemi postać. I nagle uświadomiłem sobie, czym mogła nowemu grozić rozmowa z Mańką. Spytałem więc: – Słuchaj, czy on cię aby nie dotykał?

– No, co ty! – obruszył się chłopak. – Nic z tych rzeczy!

– Ja nie pytam o te rzeczy, ja pytam, czy on cię dotknął. Ręką. Albo może podał ci rękę. No?

– Nie, chyba nie... A czy to takie ważne?

– Bardzo ważne. Nawet nie wiesz, jak bardzo. To jak, dotknął cię?

– Wydaje mi się, że nie. Chociaż nie pamiętam... On ma jakąś chorobę?

– Gorzej – mówiąc to, kopnąłem wciąż leżącą na ziemi Mańkę. – Dotknęłaś go, suko?

– Nie... – stęknęła.

– Pucuj się! – kopnąłem mocniej.

– O Jezu! Pucuję!

– Nie wrzeszcz tak, parówo, bo ludzi obudzisz!

– Ale o co chodzi? – spytał chłopak, ze zdumieniem przyglądając się tej scenie i na próżno usiłując cokolwiek zrozumieć.

– Wiesz, jaka jest podstawowa zasada, gdy trafiasz pomiędzy obcych, których zachowań i języka nie rozumiesz? – zrobiłem dłuższą pauzę. – Milczeć, słuchać i nie wtrącać się. Zwyczajów nie zmienisz, a sobie możesz tylko zaszkodzić.

Mały milczał.

– Nie rozumiesz, co?

– Nie rozumiem – przyznał.

– Więcej z cwelem nie gadaj, bo możesz się przecwelić. Wystarczy, że podasz mu rękę albo weźmiesz papierosa i już po tobie. Lubisz facetów?

– No, co ty! – zachnął się.

– Gdybyś został cwelem, musiałbyś polubić. Zresztą, nie musiałbyś lubić. Musiałbyś dawać dupy, sprzątać kible, czyścić buty i nadstawiać karku, jeśli komuś przyszłaby ochota cię uderzyć.

Widząc skuloną na ziemi Mańkę, cwela, o wiecznie brudnej, kostropatej twarzy, w wyświechtanej, lepkiej od śliny i spermy bluzie, odczułem nagłe pożądanie.

– A teraz lekcja pierwsza – powiedziałem do chłopaka i końcem buta szturchnąłem Mańkę. – Wstawaj, Marycha. Jazda na tron. Czas na nocną audiencję.

Mańka doskonale wiedziała, o co chodzi. Bez słowa wstała z podłogi i poczłapała w stronę kibla. Gdy już usiadła na tronie i oblizała spieczony wargi, rozpiąłem rozporek.

– Tylko delikatnie! – zastrzegłem.

Nie, nie robiłem tego, żeby pokazać nowemu, do czego służy cwel. Nie miałem też zamiaru zmuszać chłopaka, żeby skorzystał z Mańki. Takie, a nie inne traktowanie cwela jest bowiem jednym z więziennych rytuałów. Jeśli ten, kto rządzi w celi, wyda rozkaz: „jedziemy w derby!” to się po prostu jedzie. A jeśli powie: „jazda, ułani, cwel na tronie leży i audiencję daje”, to też nikt się nie wyłamuje. I nie chodziło mi o to, by młody stanął przed wyborem: albo narazić się i odmówić, albo przełamać się, zapomnieć o kobietach i zrobić to z Marychą, a w dodatku puścić w niepamięć niedawną koleżeńską gadkę i potraktować cwela jak cwela. Takiego zamiaru nie miałem. Ale w końcu stało się. Obudził się Gonzo. Dochodziłem właśnie, gdy usłyszałem trzeszczenie sprężyn jego łóżka, a potem ziewnięcie i wkrótce potem charakterystyczny, schrypnięty głos:

– Orient, ludzie! Mańka na bardachu w szamę bierze!

Po chwili wygramolił się z łóżka i podszedł bliżej. Za nim, poziewując, przydreptał Niedźwiedź. Skończyłem właśnie z Marychą i wycofałem się.

– No proszę! Nasz chrabaşczyk! – Gonzo dostrzegł nowego, który dotąd trzymał się na uboczu. – Ej, harcerzyk, ustąpisz kolejki?

– Ja... – zaczerwienił się chłopak. – Ja nie...

– Nie dygaj. Git brodzisz kimą piedolnąć. Pyrgaj się.

Nowy zrobił wielkie oczy i przerażony spojrzał na mnie. Ruchem głowy wskazałem mu jego łóżko. Zrozumiał bez słów. Pomknął do łóżka i nakrył się kocem aż po końce włosów.

Gonzo nie potrzebował wiele czasu. Niedźwiedziowi też poszło szybko. Myślałem, że pójda teraz spać, ale Gonzo miał lepszy pomysł.

– Ty, harcerzyk! Śmigaj tu. Już możesz.

Chłopak łypnął spod koca.

– Co, kurwa twoja mać, migasz się?!

Podszedłem do łóżka nowego.

– Wstawaj.

– Ja nie chcę! – spojrzał na mnie przerażony.

– Jazda, wstawaj – powiedziałem ciszej, żeby tamci nie słyszeli. – Z nimi nie ma żartów. Co ci szkodzi dać Maryśce possać. Pomyśl, że to twoja dupa.

– Ale ja... ja...

– Masz do wyboru: albo to zrobisz, albo oni zrobią z ciebie cwela.

Chłopak wstał. Powoli, może aby jak najbardziej odwlec to, co ma się wydarzyć, podszedł do kibla, na którym siedział cwel.

– Cykorujesz, harcerz? – Gonzo uśmiechnął się zjadliwie. – Ulżyj se, nie dygaj!

– Niezły ułan – wtrącił się Niedźwiedź. – Pierwszą kimę garuje i już najarany.

– No, harcerz! – ponaglał Gonzo.

Nowy zamknął oczy i rozpiął spodnie. Mańka zabrała się do roboty. Doskonale wiedziałem, że to dla niego niespecjalna przyjemność –

w przeciwieństwie do nas wszystkich, pozbawionych kobiet, po zamknięciu oczu wyobrażających sobie miłosne przygody z wolności, te minione i te, które nas jeszcze czekają – ale wiedziałem też, że lata doświadczenia Maryśki (kiedy została przecwelona? dwa lata temu? trzy?) zrobią swoje. I rzeczywiście. Mały jęknął przeciągle, a po brodzie Mańki spłynęła sperma. Otarła ją wierzchem zaskorupiałego rękawa.

Choć taka scena nie miała w sobie nic nadzwyczajnego – audiencje na tronie odbywały się dość często i sam korzystałem z okazji nader chętnie – to teraz wszystko wydało mi się wstrętne i żałosne.

– Basta! – trąciłem w ramię najbliższej stojącego Niedźwiedzia. Z Gonzem lepiej było czegoś takiego nie próbować. Miałem co prawda mocną pozycję jako charakterniak i doradca Ostrego, ale Gonzo, choć niewątpliwie słabszy i mniej sprytny, jeśli chodziło o honor, nie liczył się z nikim i niczym, a w czasie bójki stawał się nieobliczalny.

– Co basta, co basta! – Niedźwiedź, jako że jego pozycja w grupie była niepewna i Ostry miał właśnie podjąć decyzję, czy przywrócić go do społeczności ludzi, czy też pogрузić ostatecznie, był bardziej ustępliwy.

– Basta z gierkami! – powiedziałem i uderzyłem go otwartą dłonią w czoło.
– Cwelujcie z glana, jazda schnąc, bo kima jest.

Gonzo odwrócił się na pięcie i poczłapał w stronę łóżka, ale Niedźwiedź postanowił wyżyć się na nowym. Na odchodne uderzył go silnie otwartą dłonią w ramię.

– Gula! Orientuj się, harcerz.

Temu zapobiec nie mogłem ani nawet nie miałem prawa. Pomyślałem, że jak na pierwszy dzień i tak dostał taryfę ulgową.

Pięć krótkich dzwonek oznaczało, że jest siódma i pora rozpocząć kolejny dzień, jeszcze jeden, ale już o jeden mniej do odsiedzenia. Za mną już prawie dwa tysiące takich dzwonek i dwa tysiące następujących po nich dni, jeden podobny do drugiego... Gdybym miał nawet odsiedzieć cały wyrok od kleпки do kleпки, gdyby nie udało się załatwić warunkowego, przedterminowego zwolnienia, takich dni pozostałoby jeszcze półtora tysiąca, czyli jest już z górki... Nie, nie! Tak myśleć nie wolno, to dobre dla frajerów z krótkimi odsiadkami, którzy żałują za grzechy i myślą o poprawie i wolce. Nie wolno liczyć dni po i przed, od tego można zgłupieć, załamać się, ześwirować. Przecież nie jest źle. Jest wszystko, co trzeba: czaj, fajki, jest naprawdę git.

– Kurwa jego mać – mruknąłem i otworzyłem oko. Tylko jedno. Pobieźnie wybadałem sytuację. Ludzie niespiesznie zwlekali się z łóżek. Tylko Ostry z właściwą sobie werwą wyskoczył z koja jak sprężyna i zajął umywalkę. Obserwowałem, jak namydla sobie twarz i kładzie na brzegu zlewu przedmiot zazdrości wszystkich – oprócz mnie – lokatorów celi: prawdziwą brzytwę. Codziennie ostrzoną na skórzanym pasku. Wiadomo: brzytwa to nie to samo co żyłotka. Nie tylko goli czyściutko, do samej skóry, ale i respekt wzbudza, bo

to prawdziwa golicha, a nie jakiś fajansiarski nożyk robiony cichcem na warsztatach z kawałka byle jakiego żelaza, albo co gorsza, z trzonka łyżki. Ja mu jednak nie zazdrościłem. Miałem swoją kosę, sztylet zrobiony z dobrej stali narzędziowej, długi, cienki, ale ostry jak cholera, i do chleba, i do ożenku, bo ze szpicem jak to sztylet, ba, nawet pomidora ze skórką kroił na cieniutkie plasterki. A do golenia miałem elektryczną maszynkę. Nie szło się zaciąć, a i zyletek nie trzeba było kupować. A dobrze się ogolić i schludnie ubrać to dla człowieka rzecz podstawowa.

Patrzyłem, jak Ostry z namaszczeniem, nadmuchując policzki, delikatnie zbiera brzytwą pianę. Nagle usłyszałem syknięcie, cichy okrzyk: „Kurwa!..”, i ujrzałem czerwoną strużkę płynącą Ostremu po twarzy. Dlatego nie zazdrościłem mu brzytwy jak inni. Wolałem swoją maszynkę, którą pod całą złośliwie nazywano wibratorem.

Otworzyłem drugie oko i uniósłszy się na łokciach, zawołałem do Ostrego:

– Co, Ostry, sznytem wiedeńskim jedziesz?

Ludzie zachachali się. Sznyt wiedeński w całym pudle miało tylko dwóch wariatów. Jedzie się na skos od ucha, przez szyję, klatkę, brzuch, udo, aż do kostki.

– Zhaltuj szamot, kurwa twoja pierdolona! – warknął Ostry, usiłując zatamować krwawienie.

– Masz więcej sznytów na puzonie od golichy niż na witkach – skwitowałem.

Znów rozległy się śmiechy. Fakt. Ostry miał ręce całe w bliznach. Po pięć głębokich cięć ze śladami szwów na każdej.

Gdy wreszcie zdecydowałem się zwlec z łóżka, wszyscy byli już na nogach. Wszyscy z wyjątkiem nowego.

– Gdzie harcerzyk? – spytałem przechodzącego obok Suchego.

– Gnije – odparł Suchy. – Liże rany.

Wstałem i podszedłem do łóżka nowego. Leżał przykryty, z głową pod kocem. Odchyliłem koc. Chłopak miał opuchniętą twarz. Spojrzał na mnie. W jego oczach ujrzałem strach. Ale był to strach przemieszany z wściekłością i determinacją. Znałem to spojrzenie. Choć nie miałyby żadnych szans, gotów byłby rzucić się teraz na każdego.

Nieopodal łóżka leżał zwinięty w spiralę mokry ręcznik. „Marchewa”. Widocznie ludzie namówili się przed spaniem na gierkę. Taki był zwyczaj. Nie wiem, dlaczego sądziłem, że ominie to akurat nowego. Bałem się jednak, że chłopaki przesadzili. Przecież to noworodek. Prawiczek. Pierwszy raz w więzieniu. I ta idiotyczna historia z samochodem. Głupi, nieopierzony szczeniak. Bałem się, że nie przetrzyma tych pierwszych paru dni. Że się załamie. Może zadzwoni po strażnika, może zakapuje wychowawcy, a może po prostu zmięknie, zacznie zachowywać się jak baba. A wówczas przecwela go bez litości. Spuszczą do dołu. Sfrajerują. Rzucą kostkę margaryny z okrzykiem: „Smaruj styję, bo ułani jadą”. I tak już do końca. Pięć lat, dzień

w dzień, bicie, szykany, bluzgi, a w nocy pogotowie seksualne, obciążanie druta, branie w piec. Tutaj pod celą jest właściwa szkoła życia. To, czy wytrzyma, czy nie, zależeć będzie tylko od niego samego. W tym pomóc mu nie mogę. Może chciałbym, bo widząc go, ciągle mam przed oczami siebie samego kiedyś, przed laty. Ale nagle uświadomiłem sobie, że pomóc mu jednak mogę. Przecież nie ustaliliśmy z Oстрыm, kto ma być jego wprowadzającym. Niby była mowa, że dajemy go na staż, robimy mu amerykańkę, ale nie zostało ustalone konkretnie, kto ma go uczyć.

Przykryłem go na powrót kocem i rozejrzałem się po celi. Ostry siedział na swym łóżku i zajęty był dłubaniem w nosie. Przymknął oczy i w skupieniu prawą ręką wygrzebywał z nosa stwardniałe smarki. Zdobycz przekładał do lewej i kręcił ze smarków kulki. Roboty na dwa grabsztyki – nie wiedzieć czemu przypomniało mi się złodziejskie powiedzonko. Podeszedłem do Ostrego.

– Siemano, Ostry.

– O co biega? – odparł, zostawiając swój nos w spokoju.

– Nawijaliśmy o chrabąszczu, ale nie jorgłem się, kto ma go trzymać do chrztu.

– Trzymać do chrztu? – zdziwił się Ostry. – Za czym?

– To zieloniutki cyc. Ktoś musi mu nabałakać o nawijce i zasadach.

– Może Gonzo? Charakterny człowiek.

– Ale kiepski w trukaniu.

– To może Niedźwiedź?

– Ale ma krzywości.

– A ty? Z ciebie to prawidłna omega.

– Mogę ja.

– No i git.

Wstałem z łóżka i zawołałem tak, żeby wszyscy słyszeli.

– Jak kto ma migawy do chrabąszczyka, śmigać z tym do mnie. Chrabąszcz idzie na amerykańkę.

Wiedziałem już, że tak łatwo teraz go nie ruszą. Spojrzałem na chłopaka. Nie wydawał się tym, że biorę go pod opiekę, ani szczególnie zachwycony, ani zmartwiony. Sprawiał wrażenie, jakby było mu wszystko jedno. Pewnie uważał mnie za takiego samego bandziora i skurwysyna jak tamtych.

– Dobra – rzekłem do nowego, który ciągle ukrywał się pod kocem – wstawaj. Nie jesteś u babci na wczasach. Tu jest pudło. Za wylegiwanie się można obskoczyć karę.

Chłopak bez słowa odrzucił koc, usiadł na łóżku i przetarł wierzchem dłoni opuchniętą twarz.

W samą porę, bo oto drzwi celi otworzyły się i rozległ się tubalny głos oddziałowego, Jana Bez Głowy.

– Zabierać łachy!

Niedźwiedź wniósł do celi wystawione na noc taborety z ułożonymi

w kostkę dziennymi ubraniami. Każdy z nas podchodził i zabierał swą kostkę wraz ze stołkiem. Jeśli pozwolono się ubierać, musiało być około wpół do ósmej. Za pół godziny raport, za godzinę śniadanie.

Gdy wszyscy byliśmy już ubrani i doprowadzeni po nocy do porządku, znów pojawił się Jan Bez Głowy.

– Cela trzy do raportu! – wyrzeszczał tubalnym głosem, folgując swym przyzwyczajeniom z wojska, skąd – jak wieść niosła – wyrzucono go za nieodpowiedzialność i znęcanie się nad poborowymi. Musiał tam sobie nieźle nagrabić, skoro robotę znalazł dopiero w pudle.

Do Jana Bez Głowy, mimo że był fanatykiem regulaminu, który zastępował mu samodzielne myślenie, oraz brutalnym chamem, miałem stosunek serdeczny, nieomal ojcowski. Ksywka „Jan Bez Głowy” była bowiem moim pomysłem i przyjęła się niemal natychmiast w całym zakładzie. Skoro, jak pamiętałem z lekcji historii, był Jan Bez Ziemi, brat Ryszarda Lwie Serce, pozbawiony prawa posiadania posiadłości ziemskich, to strażnik Jan – skojarzenie było natychmiastowe – pozbawiony zupełnie pomysłu był po prostu Janem Bez Głowy.

Ustawiliśmy się w szeregu, wyprężeni jak struny. Do Jana Bez Głowy podszedł Niedźwiedź. Stuknął obcasami, wyciągnął się, jakby kij połknął, i wykrzyczał jak do głuchego:

– Panie komendancie! Starszy celi piętnastej! Niewiedzielski! Melduje skazanych na apelu! Porannym! Stan celi! Sześciu! Obecnych! Sześciu!

Jan Bez Głowy skinął głową niczym mechaniczna zabawka, zapisał stan celi w notatniku i odkrzyczał:

– Czy ktoś! Chce coś zgłosić!

– Ja chciałbym do lekarza... – zaczął Suchy, ale Jan Bez Głowy przerwał mu bezceremonialnie.

– Ile razy mam powtarzać, że najpierw nazwisko, a następnie za jaką potrzebą!

Suchy zgrzytnął zębami, lecz wyprężył się służbiście.

– Suchecki! Do lekarza!

Jan Bez Głowy kiwnął głową i zaczął powoli zapisywać w swym notesie.

– Su... che... – zawahał się, po czym spojrzał na Sucheckiego. – Przez jakie „cha”?

– Zwykle – odpowiedziałem usłużnie, a ludzie aż zaczęli parskać. Nawet nowy, któremu pewnie wcale do śmiechu nie było, zaczął się podejrzenie krztusić.

– Zwykle... – zamyślił się Jan bez Głowy i nagle aż nim zatrzęsło. – Co wy tu se jaja robicie?! Wiem, że przez „u” zwykle! Ja się pytam przez jakie „cha”!

– Ce-ha – odparłem, bo żart się udał, ale przeginać nie należało. Gdyby się wściekł, mógłby nikogo nigdzie nie zapisać, a to oznaczałoby dzień spędzony przez wszystkich murem pod celą.

Gonzo, który nie wiem, czy przeczytał w życiu coś poza elementarzem,

zapisał się do biblioteki. Ostry zgłosił się do wychowawcy. Ja – do działu księgowości, niby w sprawie stanu mojego konta. Wszystkim nam chodziło o to, by wyrwać się choć na chwilę z celi, poszwendać po korytarzu, spotkać może jakichś znajomych. Suchy też zapisał się do lekarza tylko po to, by pogadać z innymi więźniami w kolejce do gabinetu i zebrać najświeższe wieści. Był przecież zdrow jak ryba. Gdyby można było zdobyć jakąś robotę, mniej byśmy się nudzili. Ale o robotę wcale nie było łatwo.

– Czy już wszyscy?! – spytał krzykiem Jan Bez Głowy.

– Jeszcze ja!

Z szeregu wystąpił nowy. Spojrzeliśmy po sobie. Czyżby chciał, nie daj Boże, coś zakapować?! Przeraziłem się, że mały zaczął pękać. Nic mu to nie pomoże, a nam nie zaszkodzi, lecz jeśli spróbuje, ludzie zniszczą go, jak tylko za Janem zamkną się drzwi. Najpierw zniszczą, a potem przecwela. Jak każdego kapusia.

– Ach, ty barani łbie! – wrzasnął Jan Bez Głowy. – Tyle siedzisz, a nie nauczyłeś się jeszcze?! Najpierw nazwisko! Nazwisko i sprawa!

– Wydrzycki. Chciałbym do naczelnika.

Jan już sięgał po długopis, ale zmienił zamiar. Popatrzył na nowego. My zresztą też. Do naczelnika? Tak od razu? Z czym? Że trochę go postukaliśmy?

– Do samego naczelnika? A po co?

– W sprawie osobistej.

– Tu nie ma spraw osobistych! W jakim celu?

– Powiem naczelnikowi.

– Gównu powiesz, złodzieju! – wściekł się Jan Bez Głowy. – To ja decyduję, czy zgłosić cię do naczelnika, czy nie!

To była prawda. Gdyby Jan zapisał do naczelnika więźnia z jakąś głupią błahostką, naczelnik po wysłuchaniu paru zdań, więźnia i tak by odprawił, za to Janowi zrobiłby awanturę, że przysyła ludzi z byle gównem, które załatwić może od ręki na przykład wychowawca.

– Ja w sprawie zmiany celi.

– Dlaczego? Biją cię?

Wstrzymałem oddech. Oto w tej chwili zdecydować się miał los nowego w tym więzieniu na najbliższych pięć lat. Bo jeśli spróbuje teraz zakapować to marny jego los.

– Nie. Nie o to chodzi.

Odetchnąłem z ulgą i spojrzałem na chłopaka z uznaniem. Dostał bęcki, świeży jest, ale nie kapuje. Będą jeszcze z niego ludzie.

– To czego chcesz? – dopytywał się Jan Bez Głowy.

– Chcę siedzieć z młodymi. Spokojnymi.

– A co ty sobie myślisz, złodzieju! – wrzasnął Jan. – Że tu jest hotel albo pokoje do wynajęcia?! – ale nagle przez nieskalaną inteligencją twarz regulaminowego służbisty przebiegł grymas. Coś na kształt myśli. Spojrzał na chłopaka, jakby ujrzał go po raz pierwszy. Ba, jakby w ogóle go ujrzał. –

Czekaj. Ty siedzisz od niedawna, tak?

– Od wczoraj.

– Jak się nazywasz?

– Wydrzycki.

– To już wszystko jasne. Pamiętam. To sam naczelnik zdecydował, żeby cię tu posadzić.

– Ale ja chciałbym, żeby mnie przeniósł...

– A nie zawracaj ty mi dupy! – zdenerwował się Jan Bez Głowy. – Skoro sam naczelnik wydał taką decyzję, choć nie wtrąca się w sprawy przydziałów do cel, to chyba wiedział, co robi!

– Chciałbym z nim porozmawiać...

– Do szeregu!

– Ale...

– Do szeregu! – Jan Bez Głowy odruchowo sięgnął po pałę zatknietą za pasek. Nowy bez słowa cofnął się na swe miejsce. – To wszystko? – strażnik spojrzął na pozostałych. Nikt się nie odezwał. – Koniec apelu. Wolno spocząć! Wolno palić!

Jan Bez Głowy wziął swój notes pod pachę i już miał z powrotem zamykać celę, gdy nagle stanął jak wryty. Zerknął do notesu, a potem zaczął bacznie nam się przypatrywać. Zaczęliśmy się rozchodzić, lecz Jan nagle wrzasnął:

– Do szeregu!

Wróciliśmy na miejsca i na powrót sformowaliśmy szereg. Strażnik zerkał na przemian to do notesu, to na nas. W końcu wrzasnął:

– Starszy celi! Wystąp!

Gdy Niedźwiedź posłusznie zrobił krok do przodu, Jan Bez Głowy uderzył go w głowę potężnym, uniwersalnym kluczem otwierającym wszystkie cele.

– Za co, panie komendancie! – zaprotestował Niedźwiedź.

– Ach, ty głupku! – wrzasnął Jan Bez Głowy. – Jaki stan mi podałeś?!

– Sześciu!

Jan ponownie dzielił go kluczem.

– To policz, idioto, ilu was jest! Siedmiu! A ja zapisałem tak, jak mówiłeś: sześciu!

Niedźwiedź dopiero teraz przypomniał sobie o nowym w celi.

– A bo to z przyzwyczajenia, panie komendancie, Było nas ostatnio sześciu.

– Ach, ty durniu! – Jan znów dzielił go kluczem. Najwyraźniej zaczynał się nakręcać. Klucz był duży i ciężki. Jeszcze trochę, a Jan naprawdę zrobi Niedźwiedziowi krzywdę.

– A ja bym przez pół dnia się zastanawiał, co się stało z jednym więźniem! – i znów zamachnął się kluczem.

– Panie komendancie! – wystąpiłem z szeregu. – Ja w ważnej sprawie!

– Czego? – burknął Jan Bez Głowy, ale opuścił podniesioną już do ciosu rękę.

– Przypomniałem sobie, że pan wychowawca kazał mi zapytać w sprawie

pracy w dziale ewidencji. Niech mnie pan zapisze. Cichecki. Do działu ewidencji.

– Przecież pytałem! Nie mogłeś wcześniej?! – warknął klawisz, ale sięgnął po długopis. – Nazwisko!

– Panie komendancie, przecież siedzę już pięć lat! Czy za każdym razem...

– Zamknij mordę, Cichy! – pogroził mi kluczem. – Porządek musi być! Nazwisko i dokąd!

– Cichecki – westchnąłem. – Do działu ewidencji. W sprawie pracy.

Zapisał, spojrzął na zegarek i jak oparzony wybiegł na korytarz. Miał jeszcze do obskoczenia sporo cel, a przecież niedługo zadzwonią na śniadanie i znów będzie musiał otwierać wszystkie po kolei, by więźniowie pobrali porcje porannego żarcia.

Rozeszliśmy się. Nowy usiadł na taborecie i ukrył twarz w dłoniach. Wziąłem swój taboret, dostawiłem i usiadłem obok chłopaka.

– Będę się tobą opiekował i wprowadzałem w tajniki grypserski. Możesz mówić do mnie Cichy. Jak się nazywasz?

Spojrzał na mnie spode łba i nie odezwał się. A więc jednak traktował mnie na równi z tamtymi zakapiorami. Może rzeczywiście miał rację, bo już zaczął mnie wkurzać.

– Pytałem, jak się nazywasz, to odpowiadaj! – szturchnąłem go w ramię. Fakt, może odrobinę za mocno.

Zorientował się, że opór nie ma sensu i lepiej będzie, gdy odpowie.

– Adam.

– A dalej?

– Wydrzycki.

– To będziesz odtąd Wydra. Nawet fajne mianko. Wiesz, co oznacza „wydra” w grypsersce?

Nie wiedział, bo i skąd mógł wiedzieć? Nie tylko nie miał pojęcia, co to jest „wydra”, ale pewnie nie wiedział w ogóle, co to jest „grypserska”.

– Wydra, podrywka albo sprint to rodzaj kradzieży, gdy złodziej wrywa frajerowi lub frajerce torebkę, teczkę czy cokolwiek innego i spierdala. Znaczą ucieka. I jak, podoba ci się ksywka?

– Może być – zgodził się bez entuzjazmu.

– Ile masz lat?

– Dwadzieścia.

– Nie pytam, za co siedzisz, bo wiem.

– Skąd?

– Słyszałem twoją rozmowę z cwelem, z Maryską. I powiem ci, że kiepsko trafiłeś. Powinieneś siedzieć z grzecznymi chłopczykami, innymi chrańszczykami, a nie z recydywą. Musisz się trzymać i nie dać. I przede wszystkim, nie stawiaj się i słuchaj mnie we wszystkim, a dobrze na tym wyjdiesz.

Chłopak zwiesił głowę i uparcie wpatrywał się w podłogę. Uderzyłem go

otwartą dłonią w czoło.

– Nie gap się i orientuj! To pierwsza zasada.

Trzy długie dzwonki oznajmiły, że zbliża się pora wydawania śniadania. Niedługo potem na korytarzu zaskrzypiały kółka batorego, wózka do rozwożenia posiłków.

Drzwi celi otworzyły się. Jan bez Głowy, tym razem w białym fartuchu narzuconym na mundur, towarzyszył kalifaktorowi, więźniowi wydającemu posiłki.

Niedźwiedź podał funkcyjnemu nasze talerze i kubki. Więzień nalał do kubków kawy, a na talerzach poukładał porcje margaryny, dżemu oraz całodzienne, czterystugramowe pajdy smutniaka, ciemnego chleba z więziennej piekarni. Kto chciał, mógł podzielić go na porcję śniadaniową i kolacyjną, a kto nie – mógł zjeść wszystko od razu.

Gdy za kalifaktorem zatrzasnęły się drzwi, a Niedźwiedź rozdał talerze i kubki, zasiedliśmy do stołu.

– Hermetyk z delbanką to kiepskie szamanko – zarecytował Ostry na widok chleba naszego powszedniego, margaryny i dżemu.

– Zważać, szamie się! – rzucił Gonzo w kierunku Mańki, Wydry i Niedźwiedzia, którzy nie mieli prawa usiąść za stołem przy wspólnym posiłku i jedli swe śniadanie, siedząc na taboretach. Mańka dlatego, że już nie była człowiekiem, Wydra dlatego, że jeszcze nie był, a Niedźwiedź dlatego, że ani był, ani nie był. Przykaleczył w gwarze, miał więc krzywość i był na wyjaśnieniu. Kiedyś musiałby rzucić się na okno i pokaleczyć szybą albo przynajmniej pociąć żyłką, a dziś wystarczyło, żeby oddał co lepsze kąski ze swej paczki Ostremu, by można było puścić jego przewiny w niepamięć i na powrót przyjąć go do społeczności git-ludzi. Dawna grypsierka się odwróciła, rozpanoszyły się chamstwo i materializm. Trochę żał tamtych czasów, choć to pewnie tylko czcza tęsknota za czasami młodości, którą zostawiałem po kawałku w gdańskim batorym, na wrocławskich klęczkach i w poznańskim młynie. Wtedy w więzieniach było naprawdę ciężko, ale organizacja działała bez zarzutu, w myśl zasady: im gorzej, tym lepiej. Im mocniej w czasach wojującego komunizmu naciskali na nas klawisze, tym bardziej byliśmy silni, zwarci i nieprzejednani. Walczyli z nami na wszelkie sposoby, by nas złamać. Jeszcze ja pamiętam czasy rozgrypsiarń. Sam kiedyś trafiłem do takiej celi. Personel więzienny osadzał w celi samych silnych byków, niegrypsujących, albo nawet samych festów współpracujących z klawiaturą. Uprzedzano ich, że pojawi się grypsujący, a oni mieli mu wyperswadować bezsens grypsowania. Pozostawiono im przy tym wolną rękę. Najczęściej bili już od razu albo rzucali kostkę margaryny: jak nie przestaniesz grypsować, to cię przecwelimy. Alternatywy nie było: ten, kto się nie zapał grypsu, był cwelony przez frajerów, a kto się zapał, był potem cwelony przez swoich. Jedyną metodą było rzucenie się do kąta po berło, szczotkę do mycia kibla, i groźba, że jak nie

odstąpią, to zgnoi się i sfrajeruje całą celę. Potem tylko dzwonek po klawisza i bezpieczny powrót do swoich. Później jednak w rozgrypsianach się kapnęli i zaczęli obstawiać kibel. Pozostawało tylko jedno: rzucić się na okno i pociąć pękającą szybą. Wtedy dawali spokój i sami dzwonili po strażnika, żeby zabrał „pomalowanego” gościa. Ta paskudna blizna na brzuchu to właśnie pamiątka po tamtych czasach, po rozgrypsianach.

Rozległ się charakterystyczny szczęk zamka. Ciężkie żelazne drzwi zaskrzypiały niemiłosiernie. Ile razy mówiłem gadom, żeby je naoliwić! Podnieśliśmy głowy znad talerzy. Ten dźwięk, szczególnie o tej porze, nie wróżył niczego dobrego.

Na progu stał Pipa. Klawisz z góry. Nazywaliśmy go tak, bo choć potężny jak byk, łagodny był jak baranek. Miękki jakiś. Niekiedy jednak, raz na jakiś czas, gdy za mocno deptali mu po odciskach, wpadał we wściekłość, a wtedy stawał się naprawdę niebezpieczny. Ponieważ wszyscy zawsze chcieli być świadkami, jak łagodny Pipa przemienia się we wściekłego gada, drażnili się z tym spokojnym, nikomu nie wadzącym klawiszem, usiłując przekroczyć granicę jego wytrzymałości psychicznej, co w końcu niektórym się udawało. Biedny Pipa wpadał wówczas w szał, dosłownie roznosił na strzępy tego, komu udało się przebrać miarę jego cierpliwości, dostawał potem naganę i... zabawa zaczynała się od nowa. Do następnego razu.

– Więzień Cichecki Roman. Jest?

– Nie ma. Uciekłem! – zgrzytnąłem zębami. – O co chodzi?

– Ja się pytam, czy więzień Cichecki Roman jest. Odpowiadać regulaminowo! I bez komentarzy!

– Jestem.

– Wstawać, jak się zwraca do funkcjonariusza.

Pipa nie był już tak i opanowany jak zwykle. Znaczy, że morze jego cierpliwości powoli występowało z brzegów. W każdym razie nie miałem ochoty być tym, który spowoduje, że łagodny Pipa przeistoczy się w tygrysa.

Zrezygnowany uniosłem się zza stołu.

– Pytam jeszcze raz. Więzień Cichecki Roman. Jest?

– Jestem.

– Do naczelnika.

– Skitrajcie mi szamkę – zwróciłem się do ludzi, odsuwając talerz, i podszedłem do drzwi.

Strażnik długo prowadził mnie korytarzem, potem weszliśmy na piętro, znów korytarz, znów szereg drzwi do obcych cel, dyżurki i znów schody. Znałem drogę, ale na szczęście nie bywałem tam dotąd, pomijając ten pierwszy raz, gdy naczelnik wezwał mnie do siebie, jak każdego z nowo osadzonych, na umoralniającą gadkę. Lubił to i nigdy sobie tej przyjemności nie odmawiał. Drugi raz widywało się naczelnika z reguły przed wyjściem. Rzadko zdarzało się, żeby wzywał kogoś bez powodu. Więc wzywając mnie,

widocznie miał powód. I to ważny. Zastanawiałem się tylko jaki i o co mogło mu chodzić. Mózg pracował na najwyższych obrotach. Czyżby chodziło o tamtą bójkę w zeszłym miesiącu? Nonsens. Zareagowałby dużo wcześniej. Może o przemycony pod celę spirytus? Nie, takim drobiazgiem by się nie zajmował. Zresztą nikt o niczym nie wiedział. Piliśmy po kolacji, noc była spokojna, a rano byliśmy już w porządku, tyle tylko, że na porządnym kacu. Zresztą kto mógłby zakapować? Piliśmy wszyscy. Kiedy już sobie porządnie podpiliśmy, któryś dał nawet spróbować Maryśce. Czyżby więc... – i aż zrobiło mi się gorąco – chodziło o zaplanowane za dwa miesiące spotkanie mścicieli? Nie byłem mścicielem, ale było powszechnie wiadomo, że jeśli nawet Ostry jest głową, to ja jestem szyją. Też miałem uczestniczyć w tym zlocie. Niełatwo było doprowadzić do takiego spotkania. Należało ściśle i precyzyjnie ustalić temat, przygotować się do dyskusji, zsynchronizować terminy i metody. Bo spotkanie mogło dojść do skutku jedynie wtedy, gdy albo wszyscy uczestnicy zlotu dokonają jakiejś szczególnej samoagresji, którą można leczyć tylko w jednym, specjalistycznym szpitalu, albo – i to właśnie wyjście wybraliśmy – przyznamy się wszyscy do popełnienia jakiejś niewykrytej zbrodni grupowej. Wówczas zostaniemy przetransportowani na przesłuchanie do prokuratury właściwej ze względu na miejsce popełnienia przestępstwa jako formalni podejrzani. Osadzą nas w jednym więzieniu. Pogrypsujemy do siebie, postukamy w ściany i kaloryfery, ustalimy, co i jak, a potem odwołamy zeznania. Wrócimy do swoich więzień, lecz to, co zdążymy ustalić, będzie obowiązywało wszystkich ludzi we wszystkich zakładach. Czyżby nie udało się zakonspirować naszego zaplanowanego spotkania i przeciek dotarł do naczelnika? Jeśli tak, to dlaczego wzywał mnie, a nie na przykład Ostrego, prawdziwego, a przynajmniej nominalnego mściciela?

Strażnik wprowadził mnie do gabinetu naczelnika i polecił, abym usiadł i zaczekał. Usiadłem w miękkim fotelu. Strażnik wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Czekałem. Czas upływał jak zwykle bardzo powoli, gdy na coś się czeka. Na biurku, które wyglądało tak, jakby naczelnik porzucił jakąś bardzo pilną pracę i oddalił się dosłownie na moment, oprócz jakichś papierów, które niewiele mnie interesowały, dostrzegłem napoczętą paczkę papierosów. Bynajmniej nie popularnych, lecz rasowych cameli. Naczelnik nie musiał oszczędzać, kombinować z wypiską, sprzedawać fajansów za najtańsze usługi. Miałem wielką ochotę wyciągnąć z jego paczki camela i zapalić. Leżąca obok pudełka z papierosami zapalniczka i stojąca na biurku popielniczka kusiły i zachęcały. Strasznie chciało mi się jarać. Mimo to powstrzymałem się. Ostatecznie naczelnik, gdy wreszcie przyjdzie, powinien okazać się człowiekiem i poczęstować. Czekałem więc cierpliwie.

Naczelnik jakoś się nie zjawiał. Nie wiem, ile czasu mogło upłynąć, odkąd Pipa wprowadził mnie do gabinetu. Kwadrans? Pół godziny? Godzina? Wydawało mi się, że minęły całe wieki. Niesamowicie wręcz chciało mi się

palić. Myślałem już tylko o leżących na biurku camelach. Z minuty na minutę dojrzewała decyzja. Jeszcze się broniłem przed sięgnięciem po papierosa, jeszcze walczyłem, lecz opór słabł. W końcu nie wytrzymałem. Szybkim ruchem wyciągnąłem z paczki camela, chwyciłem zapalniczkę i przypaliłem.

W tej samej chwili otworzyły się drzwi. Błyskawicznie odłożyłem ledwo zapalonego papierosa do popielniczki. Dymił, zdradzając mnie, lecz na zgaszenie brakło czasu. Odwróciłem się. Zamiast spodziewanego naczelnika na progu stał strażnik. Ten sam, który mnie tu przyprowadził. Pipa.

– Wracać do celi!

Spojrzałem na niego niepewnie.

– Ale... – wykrztusiłem – ale pan naczelnik jeszcze nie przyszedł.

– Powiedziałem: wracać do celi.

Nie wiedząc, co o tym wszystkim myśleć, podniosłem się z fotela.

Gdy Pipa odprowadzał mnie do celi, przez całą drogę zastanawiałem się, o co w tym wszystkim chodzi. Narzucająca się odpowiedź: to był test, czy zwinę papierosa z paczki – wydawała się śmieszna i zbyt nieprawdopodobna. Każdy inny więzień na moim miejscu nie marnowałby czasu, tylko zapalił od razu. O co więc mogło chodzić? Czyżby naczelnika wezwano w jakiejś pilniejszej sprawie, która przeciągnęła się tak, że postanowił mnie odesłać? To wydawało się najbardziej prawdopodobne. Pewnie więc wezwie mnie po raz drugi, żeby odbyć rozmowę, na którą nie miał teraz czasu. Tylko o co w tej rozmowie mogło chodzić?

Pipa wpuścił mnie do celi i zamknął za sobą drzwi.

– Długo balowałeś – zauważył Ostry. – O co biegało?

Już miałem mu powiedzieć „nie wiem” i opisać przebieg wizyty, lecz nagle uświadomiłem sobie, jak nieprawdopodobnie by to zabrzmiało. Kto w to uwierzy? Ostry na pewno nie. Będzie myślał, że coś kręcę. Postanowiłem więc naprędce wymyślić jakąś bajeczkę. Na przykład, że chodziło o tamtą zbiorową bójkę sprzed miesiąca.

– Biegało o meksyk.

– O meksyk? Eee, bałacha żenisz.

– Jak wolki pragnę mojej jedynej. Z tamtymi niekławo.

– Mieli zgłanowane na gicior – rozmarzył się Ostry. – Zanim wjechała atanda, niewąsko się lutowali.

Kątem oka dostrzegłem Wydrę. Chłopak siedział nieopodal na swym łóżku i ze zmarszczonymi brwiami przysłuchiwał się naszej rozmowie, usiłując wyłowić sens choćby pojedynczych słów.

– Lipuj, Ostry, harcerz nie jorga ni w kieł.

Ostry uśmiechnął się i pokazał małemu zaciśniętą pięść.

– Śmigam do niego – powiedziałem i ruszyłem w kierunku Wydry.

Siadając na jego łóżku, z ulgą pomyślałem, że nareszcie będzie okazja, by normalnie pogadać, bez całego tego gryperskiego biksu, bez uważania, żeby nie przykaleczyć, użyć niewłaściwego słowa. Cieszyłem się na myśl

o powrocie do normalnej mowy. Przynajmniej na czas nauczania Wydry.

– Cześć, Wydra!

– Cześć – chłopak wyciągnął do mnie rękę.

Zawahałem się, ale nie przyjąłem jej. Tym bardziej że Gonzo i Niedźwiedź obserwowali nas bacznie.

– Słuchaj, nie mogę ci podać ręki. Nie jesteś jeszcze człowiekiem. My, git-ludzie, podajemy ręce tylko innym ludziom.

Mały zmieszał się i schował wyciągniętą rękę za siebie.

– Ale doceniam twój gest – dodałem.

Chłopak spojrzał na mnie spode łba. Domyślałem się, że tą wyciągniętą dłonią chciał przełamać lody i w ten sposób dać mi znać, że nie traktuje mnie na równi z tamtymi. Że ma do mnie trochę więcej zaufania.

– Od czego by tu zacząć... – spojrzałem w zamyśleniu na sufit.

– Najlepiej od początku – odpowiedział, gdy zastanawiałem się zbyt długo.

Przeniosłem wzrok na Wydrę. To, co miałem mu przekazać, nie miało właściwie ani początku, ani końca.

Gdybym to ja miał wybierać – nie byłoby żadnej alternatywy. Wszystko, tylko nie frajerstwo, nie skiepszczenie, nie cwel. Ale czy on, podświadomie szukając we mnie oparcia i nadziei, wiedział, co go czeka w konsekwencji? Obserwując go i zadając sobie te wszystkie pytania, wciąż miałem przed oczyma siebie sprzed kilkunastu lat. Jak potoczyłoby się moje życie, gdyby nie Bolo z Ławy, mój mistrz i nauczyciel, który opiekował się mną w czasach mojej ameryki, mojego okresu próbnego?

Przyjrzałem mu się uważnie, szukając na jego obliczu czegoś, co utwierdziłoby mnie w przekonaniu, że mogę – tu i teraz – podjąć za niego decyzję, lecz niczego takiego nie dostrzegłem. Patrzyły na mnie ufne, nieco przestraszone oczy dwudziestolatka, usiłującego – to się wyczuwało – odnaleźć swoje miejsce w zaskakującym, sennym koszmarze, który od snu różni się tylko tym, że nie można się z niego przebudzić.

– Słuchaj, Wydra – zacząłem cokolwiek niepewnie, wciąż trawiony wątpliwościami – czy masz dość siły?

– Nie rozumiem...

– Bo widzisz, nie ma łatwo. Zostać człowiekiem to nie w kij dmuchnąć ani pierdolnąć brodzisz.

– Co zrobić? – uniósł brwi.

– Brodzisz, znaczy mineta. No, nieważne. Czekają cię próby. Może nawet niezbyt miłe. Widzisz, tu nie ma żartów. Bo to nie jest tak, że możesz udawać człowieka. Ty nim po prostu musisz zostać.

– To zostanę.

Cmoknąłem zniecierpliwiony.

– Ale dlaczego właściwie chciałbyś zostać? Wiesz chociaż?

– Wiem.

- Więc dlaczego?
- Bo... jak by to powiedzieć... Bo jest tak, że...

Zapłatał się w zeznaniach.

- Pracowałeś dotąd? Uczyłeś się?

- Studiowałem.

- O! A co, jeśli wolno wiedzieć?

- Polonistykę. Na pierwszym roku.

Zatkało mnie z wrażenia. Wypisz-wymaluj ja sam. Wziąłem głęboki oddech.

- Opowiedz mi dokładnie, jak to się stało.

- Znaczy się, co?

- Tam, wtedy, z tą panienką w samochodzie.

- Wziąłem od ojca samochód i pojechaliśmy z Iwoną za miasto do jej domku.

- To była twoja dziewczyna?

- Tak i nie. To naczy miała być. Byłem w niej zakochany. Miała jakiegoś chłopaka. Ale zaczęliśmy się umawiać. Była cudowna. Doskonale piękna. Na polonistyce chodziliśmy do jednej grupy... - urwał.

- I? - zachęciłem go, gdy milczenie zanadto się przedłużało.

- Gdy jechaliśmy w tamtą stronę, rozmawialiśmy. Nagle wzięła mnie za rękę. Straciłem kontakt z rzeczywistością. Przede mną jakiś samochód zahamował, a ja, cóż, ja nie zdążyłem. Wjechałem mu w tył. Nie, nic poważnego się nie stało. Jakies spisywanie dokumentów, polis ubezpieczeniowych, stłukłem mu tylko tylne światła, u mnie skończyło się na lekkim wgnieceniu zderzaka. A gdy wróciłem do auta, Iwona zaczęła mnie całować. Nie masz pojęcia, jak to było...

- Obawiam się, że mam, i to większe, niż ci się wydaje. I co było dalej?

- Pomyślałem sobie, że właściwie powinienem zawrócić. Nie wiem, co to było: przecucie? mgliste widzenie tego, co nastąpi? Wciąż kołatała mi po głowie myśl, że nie powinienem już tego dnia prowadzić. Tym bardziej że prawo jazdy zrobiłem zaledwie miesiąc wcześniej, a ojciec rzadko kiedy dawał mi samochód. Była to moja trzecia albo czwarta samodzielna jazda. Ale nie posłuchałem tego wewnętrznego głosu. Pojechaliśmy do jej domku. Napaliliśmy w kominku. Potem kochaliśmy się na dywanie przy blasku ognia. Iwona otworzyła butelkę szampana. Piliśmy i kochaliśmy się. Polewałem jej brzuch musującym winem i scałowywałem je kropla po kropli...

Miałem ochotę zaprawić go w ucho. Poczułem, że mam wypchnięte spodnie. Wyobraźnia pracowała bez zarzutu. Byłem tam. Robiłem to, co robił on. A Iwona? Była brunetką, miała duże, pełne piersi i sterczące, malinowe sutki, a kiedy się kochaliśmy, oplatała nogami moje plecy, pozwalając wnikać w siebie głęboko, bardzo głęboko, aż do utraty tchu, aż do zatracenia.

- Poszliśmy potem na spacer. Na leśnej polance, bo nie wiem, czy mówiłem, ale miała domek w lesie, dostrzegłem pierwsze, wiosenne fiołki. Nazrywałem jej cały bukiet. Zerwałem wszystkie, które tam rosły. Wpinałem

jej kwiaty we włosy, wsuwałem delikatne łydźki w usta, które potem całowałem...

– Zbastuj! – nie wytrzymałem.

– Co? – ocknął się z rozmarzenia i popatrzył na mnie trzeźwiej.

– Nic. Poczekaj – mówiąc to wstałem i podszedłem do łóżka Maryśki.

– Chodź, druciaro – szturchnąłem ją w ramię. – Zrobisz mi teraz szybki numer.

– O Jezu, teraz?

– Zhaltuj szamot, parowo! Bierz w szamę! – rozpiąłem rozporek.

Tym nagłym wybuchem pożądania musiałem wzbudzić sensację. Wszyscy zainteresowali się, co będę robił z Mańką.

– Cichy! Ty ułanie – roześmiał się Niedźwiedź. – Coś ty taki jebliwy?

Może innym razem wkurzyłbym się tak, że rozniósłbym Niedźwiedzia albo zrobił mu coś takiego, żeby już nigdy więcej nie mógł nawet marzyć o wyprostowaniu swojej małej krzywości, ale szkoda mi było czasu.

– Tylko nie gryź, suko – zwróciłem się do Maryśki – bo ci kły powybijam!

Mańka ugryzła kiedyś przez nieuwagę Ostrego, gdy się z nią zabawiał. Kosztowało ją to dwa przednie zęby. Odtąd bardzo uważała, by być delikatną.

Tym razem Marycha zadziałała nadzwyczaj sprawnie. Po krótkiej chwili – a wyobraźnia wciąż przecież pracowała, gdy Iwona brała moją męskość do ust – byłem już gotów.

– Siadaj na tron, parowo! – zwrócił się do Mańki Niedźwiedź. – Jak audiencja, to dla wszystkich.

Niewiele mnie to już obchodziło. Zostawiłem Maryskę i wróciłem do Wydry. Chłopak patrzył na mnie jakoś tak dziwnie. Sam to wszystko zrozumie, gdy przyjdzie czas.

– Czy ona była brunetką? – zapytałem jak gdyby nigdy nic sadowiąc się na łóżku obok Wydry.

– Nie, blondynką. Naturalną, jasną blondynką.

– A jakie miała piersi?

Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Czy to ważne?

– Skoro pytam, to widocznie ważne.

– Małe. Drobne. Miała takie małe, różowe, ledwie odcinające się brodawki.

A dlaczego pytasz?

– Tak sobie. I co było potem?

– Potem trzeba było wracać.

– I wtedy miałeś ten wypadek?

– Tak. Dojeżdżaliśmy już do miasta. Z przecznicy wyjechał jakiś samochód. Chyba opel, ale nie jestem pewien. Wyjechał z podporządkowanej, z lewej strony, i zajechał mi drogę. Miałem do wyboru: uderzyć w niego lub zjechać na prawo. Wybrałem to drugie. Pamiętam, że wciąż na niego patrzyłem, chciałem go ominąć. I nie zauważyłem, że przy krawężniku, na jezdni, stoi

zaparkowany samochód. Wjechałem w niego z całym impetem...

Chłopak urwał i zamyślił się.

– I co było potem?

Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Potem? Pamiętam, jak się ocknąłem. Było mi zimno. Czułem na twarzy podmuch ostrego, marcowego wiatru. Nie wiedziałem, gdzie jestem ani co się dzieje. Minęła dłuższa chwila, gdy uświadomiłem sobie, że jestem w samochodzie, że nie ma przedniej szyby i że miałem wypadek. Widziałem przed sobą zwały pogiętego żelastwa, to, co zostało z maski samochodu ojca i bagażnika wozu, w który uderzyłem, myślałem o tym, że ojciec się wścieknie, ale wcale się tym nie przejmowałem. Pamiętam tę ciszę i spokój. To było niesamowite. I pamiętam też, że nigdy tak dobrze się nie czułem. Wszystko było dalekie. Poza mną. Jakbym był narratorem i pisał powieść, którą wymyślam, widzę sceny, a jednak jestem gdzieś poza, daleko, bardzo daleko.

– Próbowalesz pisać powieści?

– Owszem.

– I co?

– Nic. Każdy chyba kiedyś próbował.

– A co było dalej?

– Dalej... – zmarszczył brwi. – Hmmm... Dopiero potem dostrzegłem Iwonę. Siedziała z odchyłoną do tyłu głową. Zamiast twarzy miała krwawą maskę. Pękająca szyba pocięła jej twarz. Widziałem kawałki szkła wbite w policzki. Kilka okruchów szyby tkwiło w powiekach. Zacząłem je delikatnie, bardzo delikatnie wyjmować. Potrząsałem nią, by się ocknęła, lecz była nieprzytomna. Wtedy też chyba zrobiłem największy błąd. Dostrzegłem spory kawałek szyby wbity w jej szyję. Chciałem go wyciągnąć, lecz szło mi z trudem. Gdy w końcu mi się udało, trysnęła krew silnymi, pulsującymi strumieniami. Nie wiedziałem, jak zatamować krwotok. Przyciskałem jej szyję palcem i w ten sposób tamowałem upływ krwi. Potem przyjechała policja. Widząc, że jestem przytomny, siłą wywlekli mnie z auta. Sprawdzali dokumenty. Kazali mi dmuchać w balonik. Wykryli alkohol. Tamtą odrobinę szampana, którą wypiliśmy u niej w domku. Na próżno tłumaczyłem im, że muszę tamować krwotok. Nie pozwolili mi już wsiąść do auta. Potem przyjechało pogotowie... – urwał i po dłuższej chwili dodał: – Resztę już znasz. Dostałem pięć lat za nieumyślne spowodowanie śmierci i prowadzenie po alkoholu. Prokurator żądał dziesięciu. Tamten samochód, który zajechał mi drogę, odjechał. Świadców nie było.

Urwał i patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami. Postanowiłem kuć żelazo, póki gorące.

– Widzisz – powiedziałem – tak to już jest. Kto ma fart, szczęście, ten się nie obali, nie powinie mu się noga, i nie zostanie skrecony, złapany. Kto ma niefart, tak jak ty, tego psy, policjanci, zwiną, czyli ujmą, i w biżuterii, w kajdankach, przewiozą na psiarnię, do komendy. Tam może zdarzyć się tak,

że cię zhaltują, nałożą areszt. Wówczas zjawić się powinien haukacz, adwokat. Potem waga, rozprawa w sądzie. Prorok, czyli prokurator zacznie krzyczeć, wygłaszać akt oskarżenia. W końcu kat, sędzia, daje ci pestkę, pięć lat. I tak oto idziesz leżeć, czyli odbywać karę, do pudła, czyli do więzienia. Wiesz, co oznaczają słowa: pies ze skowyrem i haukacz?

– Pies – zastanowił się chłopak – z tego, co mówiłeś, to musi być policjant. Haukacz to adwokat. Ale skowyr? Pojęcia nie mam.

Zaskoczył mnie. Chwytał wszystko w lot.

– Pies ze skowyrem i haukacz to policjant z psem i adwokat. Skowyr to pies. Mały roześmiał się.

– Pamiętaj o tym. To jedno z pytań egzaminacyjnych. Egzamin co prawda za trzy miesiące, ale to niewiele czasu.

– W porządku. Zapamiętam.

W południe, jako że akurat był dzień widzeń, strażnik wywołał Wydrę po nazwisku, informując, że będzie miał spotkanie. Wcale się nie zdziwiłem, choć dopiero co do nas trafił. Do maminsynka pewnie przyszła zrozpaczona mamusia, zapytać, czy dobrze mu się siedzi i czy mu aby czegoś nie brakuje. Fakt wywołania chłopaka na widzenie skwitowałem wzruszeniem ramion. Jednak strażnik, zamiast po prostu wyprowadzić Wydrę, rozejrzał się po celi.

– Cichecki Roman. Jest?

– Jestem.

– Na widzenie.

Na to nie byłem przygotowany. Zastanawiałem się, kto też mógł mnie odwiedzić.

Strażnik zaprowadził nas do pokoju widzeń. Za grubą szybą, po drugiej stronie długiej lady, siedzieli oczekujący na więźniów przybysze. Rozejrzałem się i natychmiast rozpoznałem twarz Anny. Szczerze mówiąc, akurat jej się nie spodziewałem. I chyba tak naprawdę teraz nie chciałem jej oglądać. Przywołałem na twarz wystudiowany uśmiech i usiadłem naprzeciw niej. Uśmiechnęła się również i gestem wskazała na wiszącą obok słuchawkę.

Kątem oka zauważyłem, że Wydra zajął miejsce tuż obok mnie. Naprzeciwko niego siedział elegancki mężczyzna w nienagannie skrojonym garniturze, typ palanta z dobrą bryką i kieszeniami pełnymi hajsu. W pierwszej chwili pomyślałem, że to jakiś dziany adwokat, najmimorda, ale usłyszałem, jak rozklejony całkiem chłopak, podnosząc słuchawkę, mówi do tamtego „tato”, i już wszystko było dla mnie jasne. Wszystko, z wyjątkiem jednego. Dlaczego ten typek, jeśli naprawdę był takim szmalcownikiem, na jakiego wyglądał, nie załatwił synkowi wyroku z zawieszeniem albo przynajmniej, jeżeli już nadział się na ostrego sędziego, nie umieścił go w jakiejś ciepłej celce. Możliwe, że jednak był za krótki. Albo wpakowali mu synalka pod naszą celę na złość. I wtedy przypomniałem sobie o tym, co mówił na porannym apelu Jan Bez Głowy: że to sam naczelnik zadysponował,

aby chłopaka posadzić w naszej celi. Wiedział, sukinsyn, że jeśli posadzi noworodka ze starymi gitami, to nie ma zmiłuj. W zakładzie przybędzie nowy cwel. I tylko moja przypadkowa interwencja sprawiła, że szczeniak ma jeszcze czystą dupę. Przypadkowa i nieprzypadkowa. Bo widząc go na progu celi, widziałem przecież jakby samego siebie sprzed piętnastu lat.

Trzymając wciąż przy uchu słuchawkę, zorientowałem się, że Anna mówi do mnie już od dłuższej chwili.

– ...Romek!... Romek! Słyszysz mnie?

Puknąłem kilkakrotnie dłonią w mikrofon, kładąc swe roztargnienie na karb rzekomego braku połączenia.

– Halo?

– Halo! Romku! Słyszysz mnie?

– Słyszę – uśmiechnąłem się do Anny. – Co u ciebie, Aniu?

– Tęsknię – w jej oczach pojawiły się łzy.

– Ja też. Nie płacz, proszę.

Przyłożyłem dłoń do odrapanego plastiku. Jej wypielegnowane palce ślizgały się po drugiej stronie, jakby szukając ciepła mojej ręki.

Anna. Ania. Dziwna postać w moim krótkim życiu na wolności. Poznałem ją na kilka miesięcy przed trzecim wyrokiem. Chyba przez chwilę wierzyłem w jej zapewnienia, że sprowadzi mnie na powrót do grona tak zwanych „porządnych ludzi”. Zaufałem jej mocy, ale wystarczyła tylko chwila nieuwagi, te cholerne dwa tygodnie, kiedy musiała wyjechać do umierającej matki. Nie byłem grzecznym chłopcem. Nie czekałem w kapciach na jej powrót. Uradowany niespodziewaną chwilą odpoczynku od czułości i ciepła, jakimi bezustannie otaczała mnie Anna, już pierwszego wieczoru wyszedłem na miasto. Instynktownie wypuściłem się w dobrze znane miejsca. Znowu chłonałem atmosferę knajp przesyconych smrodem tanich papierosów i wódki, knajp pełnych garowników chwilowo na wolności, kurew, wszelkiej maści menelstwa. Znowu byłem u siebie. Kochałem to. Natychmiast zapomniałem o Annie. Jej twarz zatarła się całkowicie, kiedy w polu mojego widzenia pojawiła się szczerą, chłopska gęba niejakiego Ciola. Zaproponował mi wspólny skok. Wiedział, że włamania to nie moja branża, ale gdy powiedział mi, kogo chce obrobić, nie wahałem się ani chwili. Chodziło o willę Waligórskiego, dzianego chirurga. To prawdziwy pech, że gdy właśnie kończyliśmy pakować fanty, ten skurwysyn niespodziewanie wrócił do domu i nakrył nas na robocie. Nie wiedziałem za dobrze, co robię. Byłem trochę wstawiony, a właściwie nawet nie trzeźwiałem. Korzystając z wolności od Anny, piłem z chłopakami przez okrągły tydzień. Gdy go zobaczyłem, postanowiłem się z nim zabawić. I to był mój błąd. Zamiast brać fanty i uciekać, złapałem gościa i jeden po drugim połamałem mu paluchy. Zaalarmowani wrzaskami sąsiedzi wezwali policję. Były to czasy, kiedy policja jeszcze coś mogła, a ludzie nie zamykali się w domach, udając, że nic nie widzą i nie słyszą.

– Dlaczego nic nie mówisz, kochany? – usłyszałem w słuchawce głos Anny.

– Myślałem o tobie. O nas.

– Ja też myślę. Cały czas. Wiesz, wczoraj kupiłam większą lodówkę, bo jak już wrócisz...

– Aniu – przerwałem jej – to nie będzie przecież tak prędko.

– Wiem – w jej oczach znowu pojawiły się łzy – ale ja chcę wierzyć, że to już niedługo. Rozmawiałam z adwokatem. Obiecał, że postara się dla ciebie o warunkowe zwolnienie. Przecież masz prawo, połowa kary za tobą.

Tak. Połowa za mną. Pięć lat. Tyle się wydarzyło. Nagle coś mnie uderzyło w jej twarzy. Tych pięć lat bardzo mocno odcisnęło na niej swoje piętno. Po prostu zbrzydła i postarzała się. Co za paradoks. Ona na wolności, która nie oszczędziła jej nieprzeciętnej urody, a ja w więzieniu, które wpływa na mnie lepiej niż lecznicze kąpiele, wyglądam i czuję się jak młody bóg. I chyba – nie chyba, ale raczej na pewno – nie chcę do niej wracać. Nawet za cenę zwolnienia warunkowego. Miałem inne plany. I nie było w nich miejsca dla Anny.

– Myślisz, że to się może udać? Bardzo chciałbym być z tobą w domu. Jak najszybciej – to bezcelne kłamstwo sprawiło, że poczułem się znacznie lepiej. Pozwoliłem jej mówić. Snuła plany, marzenia. Upajała się nierealną wizją przyszłości tak, jakby już ją przeżywała, tu i teraz. Cóż. Miała do tego prawo. Ale ja już jej nie słuchałem. Tylko od czasu do czasu posyłałem jej uśmiech, niewyraźne mruknięcie, nieokreślony gest dłonią. Słuchałem zaś tej rozmowy, która co prawda tylko w połowie, ale tej bardziej mnie interesującej, dobiegała zza przepierzenia.

– Tato, zrób coś, wyciągnij mnie chociaż z tej celi... To jest piekło... Dlaczego?... Nie rozumiem! Skoro znasz naczelnika, to tym bardziej możesz pogadać o przeniesieniu mnie... A co się stało?... Jeśli to stara historia, to tym bardziej... Ale co ja mam z tym wspólnego? To wasze sprawy i wasze dawne rozliczenia... Może, nie wiem, inne więzienie... Spróbuj z nim pogadać... To bandyci...

Kiedy usłyszałem o bandytach, tak mnie to ubodło, że aż podskoczyłem na krześle. Anna spojrzała na mnie zdziwiona.

– Nie chcesz, Romku? Naprawdę?

Popatrzyłem na nią niezbyt przytomnie. W jej oczach dostrzegłem zawód i żal.

– Nie, chcę. Oczywiście, że chcę – powiedziałem, czymkolwiek miało być to, czego chcieć powinienem.

– Ja tu nie wytrzymam – dobiegło zza przepierzenia.

Wytrzymasz, szczeniaku, wytrzymasz – pomyślałem – nie tacy jak ty tu trafiali i na ludzi wyszli.

– Koniec widzenia! – rozległ się tubalny głos pilnującego strażnika.

Odruchowo uniosłem się z krzesła, lecz widząc, że Anna wciąż jeszcze trzyma słuchawkę przy uchu, usiadłem na powrót.

– Aniu, muszę już iść – powiedziałem do mikrofonu. – Opiszysz mi resztę w liście, dobrze?

– Dobrze. Wyślę ci list w paczce. Czego potrzebujesz?

– Najbardziej fajek. Jak zwykle. Dołóż jeszcze kilka dużych opakowań herbaty. I słoninę. A w słoninie trochę spirytusu.

Wstałem. Zmęczył mnie ten potok nic nieznaczących słów. Co mnie to wszystko obchodzi. Wróciłem myślą do Wydry. Muszę szczeniaka podprostować.

Dopiero kiedy zamknęły się za mną drzwi sali widzeń, uświadomiłem sobie, że w ogóle nie pożegnałem się z Anną.

Po obiedzie strażnik wywołał mnie i Ostrego do holownika psów – więziennego psychologa. Ucieszyłem się, że wezwano nas dwóch (bo gdyby mnie samego, nijak nie mógłbym się już wytłumaczyć). Zastanawiałem się tylko, dlaczego do holownika psów, a nie do samego naczelnika. Niepokoiła mnie jedynie pora wezwania. Po obiedzie, o drugiej, klawiatura, czyli personel, myślała raczej o zmianie i przekazaniu obowiązków zmiennikom. Bo na kolejnych zmianach nie działo się prawie nic. Wszelkie ważne sprawy roztrząsane były do południa. Toteż gdy strażnik prowadził nas korytarzem, byłem pełen obaw.

W pokoju holownika czekał na nas sam holownik – nazywaliśmy go w skrócie psychol – i jakiś tajemniczy gość, w garniturku, a jakże, ale nie pod krawatem, tylko z fantazyjnie zawiązaną pod szyją apaszką w krzykliwych kolorach i z kolczykiem w uchu. Znaczy się pewnie cwel.

– To są skazani, z którymi zapewne chciałby pan porozmawiać – rzekł holownik psów, gdy strażnik wprowadził nas do pokoju. – Więźniowie Ostrowski i Cichecki. Opowiadałem panu o nich.

Gość holownika zerwał się z fotela i wyciągnął w naszym kierunku dłoń.

– Jestem Jerzy Hanusz i mam dla panów propozycję.

Spojrzelśmy z Oстрыm po sobie. Przyjąć frajerską rękę czy nie przyjąć? W końcu Ostry zdecydował. Ucisnął wyciągniętą w jego kierunku dłoń. Po chwili uczyniłem to samo. Holownik gestem wskazał nam dwa wolne fotele. Usiedliśmy.

– Pan Jerzy Hanusz – zagał holownik psów – jest reżyserem teatralnym i ma dla nas ciekawą propozycję. Chodzi o wystawienie w naszym zakładzie karnym sztuki Romeo i Julia.

Ostry spojrzał na mnie spode łba. Jego mizerny intelekt bynajmniej nie podpowiadał mu, co ma z tym fantem uczynić. Pojąłem, że w tej kwestii zdaje się całkowicie na mnie.

– Jaka jest w tym nasza rola? – zapytałem grzecznie.

– Ach, panowie – rozanielił się frajer w apaszcze – to właśnie panowie mają, jak mówiliśmy sobie z panem psychologiem, wpływ na życie zakładu. Chodzi o to, by wystawić w waszym zakładzie karnym sztukę pod tytułem Romeo

i Julia. Szekspir. Prawdziwy Szekspir.

Spojrzałem na Ostrego, lecz ten tylko wzruszył ramionami, oddając mi inicjatywę.

– To znaczy co my niby mamy robić? – zapytałem z głupia frant.

– Panowie macie tu rozeznanie. Wiecie, kto mógłby zagrać w tym przedstawieniu.

– Zagrać? A to niby po co?

– Za czym! – warknął mi do ucha Ostry.

– Przecież gadam z frajerem! – upomniałem Ostrego szeptem.

– Chodzi o to, że taka sztuka ma wartości nie tylko poznawcze, estetyczne, ale także resocjalizacyjne – nawijał rozentuzjzmowany frajer. – Zresztą mam zamiar sięgnąć do korzeni teatru. Czy zdajecie sobie panowie sprawę z tego, że w czasach Szekspira nie było kobiet aktorek i wszystkie role, nawet kobiece, grali odpowiednio ucharakteryzowani mężczyźni?

– To interesujące – zauważyłem, z trudem tłumiąc ziewanie.

– Myślę, że moglibyście panowie nie tylko włączyć się aktywnie w sam proces twórczy, ale także pokierować – z moją, rzecz jasna, pomocą – sprawami organizacyjnymi. Jak na przykład wybór obsady. Koncepcja całości przedstawienia. Praca nad tekstem. Bo chciałbym dostosować tekst Szekspirowski do realiów, do waszych realiów, do realiów więzienia, o, przepraszam, zakładu karnego.

– Pierdolenie kotka za pomocą młotka – mruknął pod nosem Ostry.

– Zbastuj, Ostry, tu trzeba delikatnie – szepnąłem mu na ucho i wyszczerzyłem zęby do frajera. – A na czym ma polegać nasza rola?

– Ach, panowie moi kochani... – podniecił się frajer, lecz holownik zhałtował go gestem i przejął inicjatywę, zorientował się widocznie, że gość w apaszce bluznął nam ciężko i potężnie.

– Krótko mówiąc – rzekł holownik – chodzi o to, że pan reżyser chciałby sztukę, tego, no, skutecznić. Weźcie i przemyślcie, jak by to zrobić. Ty, Cichecki, polonistą byłeś, to się wyznajesz, co i jak. Popracowałbyś z panem reżyserem nad tekstem, jak by tego tam, Romea, dostosować do warunków więzienia. Żeby ciekawe to było dla garuchów. Ludzie by się wyżyli. Kontakt ze sztuką. Te rzeczy. Jorgasz?

Spojrzałem na frajera. Był zszokowany. Gdzieś tam była jego wielka twórczość przez wielkie „tfu” i koncepcja, a gdzieś zderzało się to z przyziemną rzeczywistością. Ale sam tego chciał. Holownik nie był nadmiernie inteligentnym gościem albo lata praktyki i kontaktu z więźniami zrobiły swoje. Dość, że zrobiło mi się za niego wstyd. Postanowiłem zatrzeć to niemile wrażenie, jakie musiał odnieść biedny frajer, słuchając naszego psychologa.

– Szanowny panie! – zwróciłem się do reżysera. – Sądzę, że ta wizja jest nader interesująca. Widzę pozytywne aspekty pańskiej koncepcji, lecz mimo wszystko zastanawiam się, jak zareagują na tę propozycję bezpośrednio

zainteresowani, to znaczy skazani, którzy, jak mniemam, mieliby nie tylko być widzami, ale i wykonawcami, nieprawdaż?

– Ja pierdolę – szepnął z uznaniem Ostry – ale ty jesteś omega! Eę!

– W rzeczy samej, mój kochany, w rzeczy samej! – zapał reżyser, a Ostry rzucił mi wyzywające spojrzenie. Wiedziałem: zdenerwowało go słowo „kochany”. Ale chyba zdawał sobie sprawę, że damskie głosy idą pod niebiosa. Obelga z ust frajera nic przecież nie znaczyła. Pewnie nawet biedak nie zdawał sobie sprawy, jak ciężko nam ubliża.

– Dobra, to ustalmy co i jak – podsumował holownik. – Skoro się panowie dogadali, a administracja nie widzi przeciwwskazań, proponuję, by spotkania odbywały się popołudniami tu, w tym pokoju. Oddaję go do dyspozycji pana reżysera. A gdy przystąpicie do prób, możecie korzystać ze świetlicy. Myślę, że moglibyście rozpocząć w przyszłym tygodniu.

Przez moment błysnęła mi koncepcja, że wobec takiej liberalizacji można by zorganizować zlot mącicieli tu, w naszym pudle, ale rychło tę myśl porzuciłem. O ile było mi wiadomo i jak informowały grypsy z wolności, jedyna sprawa, w której wchodziło w grę zbiorowe zabójstwo dokonane przez nieznaną sprawców, do czego mogliby się przyznać mąciciele, wydarzyła się nie u nas, lecz w Gdańsku. Zresztą gdański batory słyszał z tego, że był pod pewnymi względami dość atrakcyjnym miejscem na taki zlot.

Holownik nacisnął przycisk na biurku i po chwili zjawił się strażnik.

– Odprowadzić więźniów do celi – rzekł holownik – i proszę przynieść jeszcze kawy dla mnie i dla pana reżysera.

– Och – zaprotestował słabo frajer w apasce i z kolczykiem w uchu – nie chciałbym nadużywać...

– Proszę czuć się jak u siebie – odparł holownik. – Mam nadzieję, że już niedługo zadomowi się pan u nas i przestanie bawić w takie ceregiele. My tu sami swoi.

Po powrocie do celi odbyłem z Oстрыm krótką naradę. Powiedziałem mu, że ludzie się nudzą, w naszej celi nikt przecież nie pracował, więc pewnie chętnie by się pobawili w teatr. Jasne, nie każdy się do tego nadawał. Gonzo na przykład – absolutnie nie. Ale Wydrze pewnie milej by upłynął czas. Może Niedźwiedź by się nadał. Można też poszukać chętnych w innych celach. Na przykład kogoś z celi Świdra, mąciciela w drugim pawilonie. Ostry miałby z nim łatwiejszy kontakt w nagłych sprawach.

Ostremu zabawy w teatr nawet nie proponowałem. Za to on pewnie domyślił się, że ja, owszem, aż się palę do tego przedsięwzięcia. Toteż dał mi wolną rękę i swoje błogosławieństwo. Myślę, że jednak bardziej przekonał go pomysł, żeby znaleźć jakiegoś aktora z celi, w której siedział jego kumpel, Świder. Ale to miało nastąpić dopiero za tydzień. Tymczasem musiałem ostro brać się za szkolenie młodego.

– „Robić na farmazon”. „Farmazony wstawiać” albo „żenić”. Na to samo wychodzi. Co to jest, jak myślisz? – spojrział na Wydrę.

– Nie wiem, mogę się tylko domyślać.

– Więc czego się domyślasz?

– Kit wciskać. O to chodzi?

– Dokładnie. „Robić” to kraść. Zapamiętaj sobie. A z „farmazonem” – masz rację. Tak więc „robić na farmazon” to dokonywać oszustw. „Robić”, „walić”, „rąbać”, „skręcać”, „golić” – to kraść. To przynajmniej najbardziej typowe określenia.

– A te nietypowe?

– Te nietypowe? Widzisz, to jest tak. Grypserka, język więźniów, git-ludzi, powstaje tak naprawdę w celach. I w poszczególnych więzieniach. W jednych mówią na kradzież „rozmowa”. W innych „starać się”. Jeszcze w innych „bawić się”. Albo „robić”. Czy „walić”. Grypserka jest sumą języków przestępców, tworzonych przez różne środowiska w różnych celach i w różnych więzieniach, i oczywiście na wolności, w czasie wspólnych rozmów. To co robi „klawiatura”, „fortepian”, „mrowisko”, czyli strażnicy, a więc przemieszczanie więźniów z celi do celi, z zakładów do zakładów, powoduje, że nasze lokalne gwary przestępcze unifikują się. Ścierają się ze sobą. Słowa walczą ze słowami. Zupełnie jak w języku literackim czy potocznym. Pozostają te wyrażenia, które okazują się najbardziej przyswajalne. Najprzystępniejsze. Najłatwiej się odmieniają. To tak jak norma i uzus. Miałeś to na pierwszym roku, prawda?

– Jeszcze nie.

– Norma głosi: mówi się na przykład radio, studio. I językoznawcy upierali się, że to formy nieodmienne. Ale użytkownicy języka uparcie dążyli do tego, by spolszczyć obce, nieodmienne wyrazy. I dziś nikogo już nie razi odmiana: w studiu, w radiu. Albo taka audycja. Lato Z Radiem. A kiedyś by trzeba było powiedzieć Lato Z Radio. I tak dalej. Dlatego możesz spotkać się z wieloma określeniami tego samego wyrazu w różnych więzieniach. Ale – jeśli będziesz znał zasadę – łatwo sobie z tym poradzisz. Domyślisz się z kontekstu. W niektórych pudłach bowiem spotkasz się z nigdzie już nieużywanymi zwrotami. Z archetypami grypserki, skansenami tego języka, kultywowanymi przez paru gości starej daty, którzy znaleźli się pod jedną celą i nawijają, to znaczy mówią, rozmawiają, po swojemu, jak za dawnych, dobrych lat.

– Poczekaj, Cichy, zaczynam chyba rozumieć.

– Kumać albo jorgać.

– Że co? – mały spojrział na mnie zdziwiony.

– Nic. Kolejny wpis do twojego słownika. Nie mówi się „rozumieć”, tylko „kumać” albo „jorgać”. Znaczenie to samo, ale słówka z grypserki.

– Czy to nie jest tak, że grypsera...

– Stop! – przerwałem mu natychmiast.

– O co chodzi?

– Raczej: „o co biega”. A o co biega? O to, że nie wolno ci użyć słowa „grypsera”. Tak mówią na grypserkę klawisze. I frajerzy. To znaczy ci, którzy nie są ludźmi. Zapamiętaj: jeśli na „grypserkę” powiesz „grypsera” – dostaniesz od każdego człowieka, git-człowieka, w mordę. I nie ma przepros. Zasady to zasady.

– Rozumiem. A więc grypserka... O czym to ja chciałem powiedzieć...

– Nawinać.

– Co znowu?

– Powiedzieć, czyli nawinać. Może być też: bałaknąć. Zapodać. Trzaskać. Gamzać.

Mały zrobił zdumioną minę.

– Chodzi o synonimy słowa „mówić”. Używaj właściwych słów.

– Już mi się całkiem w głowie pomieszało.

– W baniaku. W dekle. W czapie.

Chłopak spojrzał na mnie zdezorientowany.

– To znaczy w głowie. Kolejny wpis do twojego słownika.

– Poczekaj, Cichy. Za dużo tego jak na jeden raz.

Zbastowałem. Spojrzałem na Wydrę mimo wszystko z niekłamanym uznaniem. Uczył się błyskawicznie. Może tylko ja nadawałem zbyt duże tempo. Ale nic dziwnego. To wszystko co dla niego było czymś nowym, dla mnie było oczywiste. Ale nadażał i to sprawiało mi autentyczną satysfakcję.

– Dobra. A teraz zajaramy – wyciągnąłem napoczętą ramkę szługów i podsunąłem ją małemu.

Chłopak spojrzał na mnie spłoszony.

– Co jest, kurwa twoja mać? Bierz, jak dają! – potrząsnąłem paczką szługów.

– Kiedy ja... – mały zająknął się i zawahał – ja nie palę...

– Tu każdy pali. A ci, co nie palą, też palą! No, jazda! Bierz szluga! Jak nie umiesz jarać, to przynajmniej udawaj! Nie musisz się zaciągać. Bo jak ci kopsnie szluga Ostry albo Suchy, to musowo musisz wziąć. Jak cię poczęstują, a nie weźmiesz, to masz bęcki jak w banku. Tu nie ma miętkiej gry. Ucz się, harcerz, ucz!

Wydra ostrożnie, jakby ciągnął diabła za ogon, wyjął szluga z ramki, którą podsunąłem mu pod nos. Przypaliłem mu. Jarał jak przedwojenna tancerka kabaretowa. Dużo machów, a mało w dudy, znaczy się w płuca. Ćmychnął w szamę i wypuścił dyma. Bawił się tak ze szlugiem, aż spostrzegł, że kończę już palić swojego. Rozejrzał się w poszukiwaniu popielniczki.

– A Maryśka? – zapytałem go z głupia frant.

– Niby co „Maryśka”?

– Rzuć jej peta. Cwelowi też chce się jarać – mówiąc to rzuciłem niedopałek w stronę łóżka Mańki. Czekwała na tę chwilę od dawien dawna. Pochwyciła żarzącego się jeszcze generała i odgasiła na podpórce łóżka. Wydra też rzucił jej swojego. Dwa grzybki w barszcz. Nadmiar szczęścia. Tym bardziej, że pet

od młodego był tłuściejszy, bardziej niedojarany.

Mańka pozbierała z podłogi swą jałmużnę i z dwóch petów, przy pomocy gazety, w okamgnieniu zrobiła sobie całkiem przyzwoitego skręta.

Przestałem zwracać uwagę na Mańkę. Niech sobie jara, biedny cwel. Przysunąłem się bliżej Wydry. Klepnąłem go w ramię.

– I tak to jest, młody. Ani raj, ani piekło. – A teraz opowiedz mi coś.

– Niby co?

– To co chcesz. Coś z wolności. Z wolki. Dobrze jest posłuchać.

Młody długo się zastanawiał. W końcu jednak uznał, że w jego wspomnieniach jest coś, o czym warto opowiedzieć staremu więźniowi. Trafili bezbłędnie. Wybrał opowieści o swoich kobietach.

– Kochałeś kiedyś? – zapytał ni stąd, ni zowąd.

– Zdarzało się – odparłem, mimo że słowo „kochać” nie istniało w grypserce. Jako zbędne, niepotrzebne, nie miało nawet swego odpowiednika.

– Ja pierwszy raz zakochałem się w liceum.

– Jak to było? – zapytałem.

Mały spojrział na mnie z dwuznacznym uśmiechem.

– A jak to było u ciebie? Długo tu jesteś?

– To nie ma nic do rzeczy – odparłem. – Ale nie jestem tu tak długo, by zapomnieć.

Nagle otworzyły się przede mną wrota wspomnień. Monika. Cudowna, wysoka brunetka o ogromnych, wilgotnych, brązowych oczach. Moja pierwsza. Gdy czekałem na nią na dworcu Warszawa-Powisłe. Wysiadała z podmiejskiej, niebiesko-żółtej elektrycznej kolejki, a potem, by nie tracić czasu, schodziliśmy w dół, do parku, którego dziś już nie ma, tam całowaliśmy się do utraty tchu, obiecywaliśmy sobie wieczną miłość, w przerwach pomiędzy pocałunkami rozmawialiśmy o literaturze... Kochałem ją, a ona mnie. Wtedy jeszcze wszystko było możliwe. Świat był taki prosty. Koncentrował się na jej piersiach i udach, czarnej delcie, która przyjmowała mnie pachnącą wilgocią i obietnicą czegoś niewyobrażalnego, czegoś doskonale pięknego i na zawsze trwałego.

– Jak to było u mnie? Nijak. Jak to zawsze. Zaliczyć i następna – odparłem.

– Moja pierwsza miłość to była Barbara. Basia. Wiesz? Próbowałem kiedyś pisać opowiadania. A nawet powieści. Zawsze chciałem robić to dla niej. I pisać o niej. Bo tylko ona liczyła się naprawdę. Pamiętam, że gdy się rozstaliśmy, to znaczy gdy ona mnie rzuciła, chciałem się zabić. Jeździłem samochodem szeroką, trójpasmową ulicą w pobliżu jej domu. Wypatrywałem ciężarówek jadących z przeciwka, pod które mógłbym się wbić, ot, tak po prostu, szybko i bezboleśnie. Żeby już więcej o niej nie myśleć. Żeby już jej nie kochać. Żeby nie myśleć, że teraz należy do innego.

– A Iwona? Ta dziewczyna, z którą wtedy jechałeś?

Zamyślił się.

– Nie, to co innego. To chyba jest tak, że pierwsza miłość powinna być ostatnią. Potem są tylko kontynuacje. Mniej lub bardziej udane kopie. Zazdrozczę jej.

– Komu? Tej dziewczynie, która zginęła?

– Jej też. Bo jej już to nie dotyczy. Ale zazdrozczę też Basi. Zanim ją poznałem, miała chłopaka. Kochali się od pierwszej klasy liceum. Poznałem ją w czwartej. I wróciła do niego. Potem dowiedziałem się, że za niego wyszła.

– I czego jej zazdrościsz? Tego, że ma faceta, który jej się przejadł? Dzieci, które musi niańczyć i doglądać?

– Skąd wiesz? – spojrzał na mnie badawczo. – Skąd wiesz, że jej się przejadł i że ma dzieci?

– Bo tak już jest – westchnąłem. – To naturalna kolej rzeczy. A może nie?

– Spotkałem się z naszym wspólnym znajomym. Jakoś tak wyszło, że zaczęliśmy o niej rozmawiać. Opowiadał mi, że on traktuje ją jak psa. Jak sukę. Wraca pijany i bije ją. Kombinuje, jak by się tu od niej urwać. Zrobił jej dziecko. Mają córeczkę.

– A ciębie to boli, co?

– Czy ja wiem?

– Boli, boli. To była twoja pierwsza dziewczyna?

– W pewnym sensie tak.

– W pewnym sensie? To znaczy w jakim? Była czy nie była?

– Kochałem ją. Ale jeśli chodzi ci o seks, to nigdy z nią nie spałem. Nie miałem śmiałości. Była zbyt piękna. Zbyt doskonała. A ja, cóż, dla mnie kobieta była wówczas odkryciem, zjawiskiem, kimś nieomal świętym .

– Ech, ty, kurwa twoja mać, biedaku!

Mały nasrożył się.

– Czego chcesz od mojej matki?!

– Ach – roześmiałem się – o to ci biega! To zapamiętaj sobie: kurwa bankowo się krańcuje.

– Że niby jak?

– Chodzi o to, że gdy powiem: „Kopsnij, kurwa, szluga”, znaczy się: daj papierosa, to mówiąc do ciebie „kurwa”, mówię to do ciebie. Ciebie nazywam kurwą. I do ciebie piję. Posyłam ci bluzg. Ubliżam ci. A kurwa to nic innego niż cwel. Więzienny pedał. Albo też określenie kapusia, co sprzedaje do klawiatury. I za to powinienes mnie wezwać do bójk, mówiąc: „Stawaj na parkiet” albo „solo” czy „solówka”. Ale gdy ci pošlę kurwę z krańcówką, to znaczy powiem na przykład: „kurwa twoja w mordę jebana mać”, albo „kurwa w dupę jebana”, to wtedy nic to nie znaczy. To tylko przyjacielski, grzecznościowy zwrot, ot, taki słowny przerywnik. Zwrot retardacyjny. Wiesz, co to są zwroty retardacyjne, prawda?

– Jasne. „Panie tego, co to ja chciałem powiedzieć” albo, choćby, „kurwa”.

– Więc żeby było jasne: nic nie chcę od twojej matki, która mogła być i pewnie była bardzo porządną kobietą, kurwa twoja w dupę jebana mać.

- Teraz rozumiem.
- Chciałeś powiedzieć: jorgam.
- Właśnie. Jorgam.
- Czyli rozumiesz?
- Tak. Jorgam. Kumam.

Czterokrotnie zadzwonił dzwonek. Na ten dźwięk wszyscy jak na komendę podnieśli głowy.

– Co się dzieje? – spytał zaniepokojony Wydra.

– A co ma się dziać? – wzruszyłem ramionami. – Cztery dzwonki to obiad. Dwunasta. Zaraz będą roznosić.

Byłem naprawdę zadowolony, że monotonię jednakowych dni, rozpoczynających się pobudką i śniadaniem, przedzielonych obiadem i kończących się kolacją, a niekiedy nocnymi rozmowami przy jemiole, odorzającym wywarze z herbaty z tytoniem, zburzyło pojawienie się nowego. Zastryk świeżej krwi. Obiekt ciekawości i przedmiot poznawania. A nade wszystko partner do rozmów i cierpliwy, głodny wiedzy i wtajemniczenia słuchacz. W czasach gdy studiowałem, nie wyobrażałem sobie siebie w roli belfra. Na samą myśl, że po skończeniu polonistyki czekałaby mnie praca w szkole, dostawałem gęsiej skórki. Nie skończyłem jednak studiów, potem w pudle dostałem szkołę życia, a po wyjściu, zanim poszedłem leżeć po raz drugi, chciałem nacieszyć się życiem i wolnością. Choć nie trwało to długo. Tymczasem teraz doskonale się czułem w roli nauczyciela. Odnajdowałem się w tym i sprawiało mi satysfakcję, gdy Wydra dosłownie zamieniał się w słuch i z zapartym tchem śledził każde moje słowo i gest. Zdawałem sobie sprawę, na czym mogła polegać różnica między nauczaniem polskiego w podstawówce a moją rolą tutaj, wobec tego chłopaka. Otóż w szkole zdręczałbym biedne dzieciaki bzdurnymi, według nich, do niczego niepotrzebnymi duperelami. Przydawką. Dopełnieniem. Tym, co chciał przez to powiedzieć Mickiewicz. Nudnymi lekturami. Wierszami klepanymi z pamięci. Tu jednak, sam jako po trosze niespełniony belfer, uczyłem młodszego o piętnaście lat kolegę po fachu, też polonistę, ale uczyłem życia. Przekazywałem same najpotrzebniejsze informacje: jak tu żyć i przeżyć. Jak przetrwać. Co jest ważne, a co nie. Choć – jak każda broń obosieczna – ta nauka też miała drugi koniec. Tak naprawdę bowiem uczyłem go przyjmować za swoje te wartości, które pomagały przeżyć tylko tutaj, w pudle, a wyniesione na zewnątrz – po krótszym lub dłuższym czasie, zależnie od fartu – prowadziły tu z powrotem.

Jednakże, gdy się nad tym zastanowić, nie tylko ja przydawałem się Wydrze. On, może nawet nieświadomie, też dawał mi coś w zamian. Opowiadając mi o swoim życiu, wyzwalał we mnie pokłady uspionej, pozbawionej dotąd bodźców wyobraźni. Sprawiał, że na nowo przeżywałem swą miłość do Moniki. Że wspominałem Joannę. Patrycję. Izę. I wiele innych, których imiona gubią się już w niepamięci. Że na powrót myślałem o swoich nigdy nienapisanych powieściach.

Jego proste, naiwne i chyba przez to szczere opowieści nie próbowały jeszcze kreować otaczającego świata, podawały go takim, jaki był w istocie, przynajmniej w jego oczach. Przyzwyczajony do jednostajności więzienia, skazany na wciąż tych samych ludzi, których akceptowałem, ale chyba jakby – teraz to sobie uświadomiłem – nie do końca, czułem tęsknotę za tym, co niedostępne, za zmianami, pulsowaniem życia, kobietami, odkrywaniem tajemnic świata. Fakt, że zawsze takie tęsknoty kończyła myśl o rozmachu, wystawnym życiu, a w konsekwencji – o jakiejś robocie, która spowoduje, że znajdą się środki na czerpanie z życia pełnymi garściami. A więc napad na konwój z pieniędzmi. Skok z klamką na kantor lub na stację benzynową. Żeby zrobić to raz, a dobrze. Trafić duży szmal. Nie dać się złapać. Pożyć przez jakiś czas. A potem wycofać się. Zapomnieć. Może nająć się do jakiejś roboty. I rozpocząć zwykłe, uczciwe życie.

Na korytarzu rozległy się piski nienaoliwionych kółek wózka do rozwożenia posiłków.

– Batory wali! – krzyknął Suchy. – Kopsać platery!

– Co on powiedział? – spytał Wydra.

– Nawinał – poprawiłem odruchowo.

– Więc co on nawinał?

– Że jedzie wózek z żarciem. Batory. Tak samo zresztą nazywają więzienie w Gdańsku. I żeby szykować naczynia.

Szczęknęły drzwi. Strażnik wpuścił do celi funkcyjnego.

– Miski dawać!

– Dawać to możesz swojej dupy, ty kajfusie zapierdolony! – warknął do funkcyjnego Niedźwiedź. Stos misek, które trzymał w rękach, odstawił na taboret, podparł się rękoma pod boki i spojrzał groźnie na kalifaktora.

– Stulić mordy! – wrzasnął strażnik i wparował do celi. – Jeszcze raz coś takiego usłyszę, to do raportu pójdziecie!

– Tak jest, panie naczelniku – do Niedźwiedzia podszedł Gonzo, szturchnął go lekko i uśmiechnął się służalczo do klawisza. – Co złego to nie my.

– No! – sapnął strażnik i wytoczył się z celi.

– O co mu chodziło z tym dawaniem dupy? – szepnął Wydra.

– W grypserce nie wolno powiedzieć „daj”. Bo daje się styi. Znaczy dupy. Zamiast „daj”, trzeba mówić „kopsnij”. No, dosyć tego dobrego. Przemysł, czego się dowiedziałeś. Poukładaj to sobie. Po obiedzie kolejna lekcja. A teraz ustaw się w kolejce po obiad. Stań tak, żeby być przedostatni. Przed Maryską. Takie jest na razie twoje miejsce.

Zasiedliśmy do obiadu. Dziś był schab. Mięso morskie. Czyli śledź. Nawet dał się zjeść, nie tak jak ostatnio, gdy śmierdział. Tylko kartofle takie jak zawsze: szare i słodkawe. Przemarznięte.

Mały wziął swoją porcję i siadł na łóżku. Spojrzałem na niego kątem oka. Grzebał łyżką w misce i grzebał, ale nie jadł. Wkurzyło mnie to. Ale, z drugiej strony, pomyślałem sobie, co to ja, kurwa, matka jego jestem czy co? Niech

nie zre, jak nie chce. Przesadzam chyba z tym matkowaniem. Przecież to na dobrą sprawę frajer. Głupi, pierdolony frajer! Taki sam jak ty wtedy, baranie! – znów przemknęło mi przez myśl, ale tym razem mnie to nie obeszło. Faktem jest, że uniknął przecwelenia tylko dlatego, że się za nim ująłem, byłby już drugą Maryśką i obciążałby mi druta, ale przecież udało mi się go wybronić. A potem zabawiłem się w jego papugę, adwokata. Nawet zobowiązałem się, że będę go uczył, choć to przecież prawie nie do pomyślenia w dawniejszych czasach. Ameryka! Co za upodlenie, co za degenerka obyczajów! To ma być ameryka? To, kurwa, sanatorium, a nie ameryka! Gdy trafiłem po raz pierwszy do pudła, też chcieli zrobić ze mnie frajera. Ale żeby witać się słowami „dzień dobry” – aż taki głupi nie byłem. Klawich wprowadził mnie do celi. Ponieważ miałem pecha, czy może raczej fart, chodzić w podstawówce do klasy z całą bandą przerośniętych drugo- i trzecioroczniaków, co to mieli wytatuowane kropki pod lewym okiem i udawali, że grypsują, uważałem, że mam pojęcie o grypserce. W więzieniu – pomyślałem – przyda się, jak znalazł. A gryps tamtych palantów, którzy, owszem, byli słabi w nauce i szpanowali na klientów poprawczaka, ale na oczy go nie widzieli, polegał na gadaniu. „Nie szamać, zdrówko” – mówili na przerwach pierdząc, gdy ktoś jadł kanapkę. Słabszym i bojaźliwszym „wyplacali parole”, bijąc w twarz dwoma palcami, wskazującym i środkowym, dodając do tego kwestię: „Ty cwelu – papuśniku!” Ciągnęli dziewczyny za warkocz, mówiąc: „Ty mineciario”. A jak chcieli bić się między sobą, który teraz ma rządzić i ściągać od zastraszonych frajerów daninę w postaci kanapek, ołówków i scyzoryków, krzyczeli groźnie: „Solo!” – i tłukli się po lekcjach na trawniku przed szkołą. Boże kochany, i to miała być grypserka! Lecz gdy pierwszy raz, przez głupi przypadek, trafiłem do pierdła, wydawało mi się, że grypsuję. Ci klasowi „gitowcy”, nie wiem skąd, bo chyba nigdy ani poprawczaka ani kryminału na oczy nie widzieli, nauczyli mnie jednego: że jak się trafia do pudła, to mówi się na dzień dobry: „Jak tu jest?” – i jak powiedzą, że „git”, to znaczy, że można grypsować. Jak powiedzą, że „fest”, to lepiej siedzieć cicho, a przy nadarzającej się okazji wzywać strażnika i spierdalać, a jak nie powiedzą ani tego, ani tamtego, to znaczy, że trafiło się między frajerów, którymi można rządzić. Uczyli mnie takich rzeczy, bo wydawało im się, że jestem swój człowiek. Nie żebym od razu się do nich kleił. Po prostu w klasie byłem najwyższy, a przy mojej sporej wadze (która doskonale współgrała ze wzrostem) i wobec faktu, że trenowałem modne wówczas dżu-dżitsu, byłem nie do ruszenia. Jeden taki, ich przywódca, Gryzel się nazywał, pamiętam do dziś, kiedyś próbował. Nie wchodziłem nikomu w drogę, trzymałem się na uboczu, ale widocznie nawet to go denerwowało. Widać czuł się, choć nie dawałem mu tego w żaden sposób odczuć, niepewnie, jako klasowy przywódca i „git-człowiek”, ponieważ nie podporządkował sobie i nie nastraszył absolutnie wszystkich, czyli mnie. Któregoś dnia wezwał mnie na solo. Po lekcjach. Na trawniku przed szkołą. Tam gdzie zwykle odbywały się bójk. Nadział się na parę moich chwytów. Z zimną krwią, bez emocji,

złamałem mu rękę. Od tego czasu zrozumiał, on i cała ferajna „charakterniaków”, że lepiej było mieć we mnie przyjaciela niż wroga. Dlatego kolegowali się ze mną, zabiegali o moje względy i traktowali jak swojego, choć nie dawałem im odczuć najmniejszych nawet odruchów sympatii. Toteż gdy trafiłem do więzienia za tamtą głupią, przypadkową rzecz, wydawało mi się, że umiem grypsować. Naprawdę sam nie wiem, co mnie napadło wyciągać z kieszeni śpiącemu pijakowi portfel. Fakt, to była okazja. Jako student, nie miałem za wiele forsy. Ta akurat dosłownie leżała na ulicy. Obudził się właśnie, sukinsyn, a ja, zamiast wrywać z glana, zacząłem go kopać i dusić, żeby zamknął mordę, gdy – ale o tym, rzecz jasna, nie wiedziałem – zbliżał się akurat zbłąkany patrol milicjantów, wtedy jeszcze milicjantów. Więc gdy trafiłem za kratki, przyjąłem taktykę, że jako grypsujący, odbębnię te dwa głupie, przypadkowe lata i zapewnię sobie spokój i komfort pod celą. Boże, jakże się myliłem! Ameryka piętnaście lat temu, w dodatku w Iławie... Do tej pory śni mi się to po nocach. To było więzienie dla małolátów. Ale większość miała za sobą przestępczy uniwersytet w postaci poprawczaka. Zostali lepiej wyszkoleni niż niejeden stary złodziej. Byli młodzi, a przez to bardziej zadziorni, bezwzględni i wydawało im się, że swoją grypserką i nieprzejednaną postawą zbawią świat, zniszczą system penitencjarny, a ci mesjasze, którzy najlepiej się potną, nie tylko odkupią własne winy, ale zbawią całą resztę garujących. Trafiłem do takiej właśnie celi: celi wykształconych przez poprawczak adeptów na kryminalistów. Grypsujących że aż strach. Cholernych ortodoksów na punkcie właściwie dobieranych słów, przestrzegania drobnych, ale znaczących więcej niż cokolwiek innego rytuałów. Większych fanatyków grypsarki niż arabscy terroryści gotowi w imię dżihadu poświęcić własne życie. I wobec takich gości, trafiając po wyroku pod ich celę, powiedziałem po prostu, tak jak mnie uczyli koledzy w podstawówce i jak sobie z trudem przypominałem: „Jak tu jest?” Odpowiedzieli: „git!” – a ja myślałem, że odtąd naprawdę jest git i że te dwa lata, choć sądziłem, że rok, bo byłem przekonany, że skrócą mi wyrok o połowę za dobre sprawowanie, odgibam na luzie, bez stresów, jako król celi. Jakże się myliłem, jakże, kurwa, się myliłem! Gdyby nie Bolo, jedyny starszy gość w celi, doświadczony złodziej, który wziął mnie pod swe opiekuńcze skrzydła, skończyłbym pewnie już pierwszej nocy jako cwel. Bo cóż znaczą chwyt, kiedy otacza cię trzynastu żądnych zabawy małolátów, skorych do bicia, do „sprawdzenia”, czy nowy frajer jest dość charakterny i czy naprawdę grypsuje, nawet gdy dostaje bęcki aż do nieprzytomności. Fakt: nigdy nie byłem wytrzymały na ból. Dla świętego spokoju i żeby nie bolało, zrobiłbym wszystko. Z jednym bym sobie poradził bez problemów. Z dwoma. Nawet z trzema czy czterema. Ale nie z trzynastoma, gdzie jeden liczył się za dwóch, a siły i nienawiści miał za trzech. Bo każdy z nich pamiętał, jak sam był witany. I tę agresję, której doświadczył, kumulował w sobie i przeznaczał dla tego, kto pojawi się w celi po nim.

Obiad dobiegał końca. Trzeba było zmyć naczynia. Na szczęście cела była skanalizowana, znajdował się w niej kran i zlew. Pamiętam jeszcze te czasy, gdy bardacha, znaczy kibel, to było naczynie stojące za przepierzeniem z blachy, wiecznie śmierzzące, zasrane, zaszczane i zasyfiałe, które trzeba było codziennie wynosić. A czasem były to cele, w których garowało i po trzydzieści osób. Grypserka się odwróciła, chamstwo dziś panuje i degrengolada, ale warunki się polepszyły i to bez porównania. Dziś telewizor można mieć w celi, splukiwany ustęp, który tylko zwyczajowo nazywany bywa bardachą, komfort jest, zlew, gdzie – jeśli kto ma mojkę – ogolić się może, nie czekając na fryzjera, umyć się, nawet dupę i kindybała podmyć.

Kątem oka dostrzegłem Wydrę, jak podziabawszy śledzia widelcem zmierza do kibla, żeby wyrzucić niejadalne jak dla niego kartofle i opłukać micę. Na drodze jednak stanął mu Ostry, który prowadził nawijkę z Suchym.

– Przepraszam, czy mógłby się pan posunąć? – zwrócił się do niego Wydra. Zmartwiałem cały.

– Nie jestem pan – powiedział odruchowo Ostry i nagle zajarzył. – Co?! O zesz ty kurwa twoja mać! Posunąć się mam?!

Obrócił się i z obrotu wyprowadził piąchę prosto w twarz chłopaka. Wydra nadział się na pięść Ostrego jak ryba na haczyk. Miska pełna ziemniaków, którą trzymał w dłoni, wylądowała na ścianie. Niezjedzone kartofle z głuchym grechotem potoczyły się na podłogę.

– Cichy, ja pierdołę, kurwa go mać! To tak uczysz cyca?! – rozdarł się Ostry.

– Ledwie co zacząłem. A co? Nie pamięta wół, jak cielęciem był? Czasem można przykaleczyć.

Mały powoli gramolił się z podłogi, rozcierając szczękę. Mańka tymczasem podeszła i jak gdyby nigdy nic zaczęła zbierać do swojej michy kartofle rozsypane po podłodze. Szykowała jej się obfita dokładka. Suchy z zawiścią patrzył, jak Mańka napełnia swą miskę. Gonzo też oblizywał się łakomie. Ale przecież człowiekowi nie wolno podnieść żarcia z betonki.

– Mało szamy fasują – rzucił z głupia frant Suchy.

– Chcesz, to kopsnę ci smutniaka – rzekł wspaniałomyślnie Niedźwiedź, choć była to wspaniałomyślność obliczona jedynie na efekt: Niedźwiedź miał krzywo i potrzebował adwokatów popierających jego sprawę, wyprostowanie krzywości.

Suchy popatrzył na Niedźwiedzia z politowaniem i tylko wzruszył ramionami.

– Zważać, szamie się! – mruknął Niedźwiedź i zaczął żuć wzgardzoną przez Suchego kromkę.

Mańka, opychając się kartoflami, mlaskała. Gonzo, który akurat zmierzał do kibla, wzruszył ramionami, wycofał się i siadłszy na swym koju, zajął się rzeźbieniem fajansu z wosku. Wydra, masując obolałą szczękę podniósł swą pustą miskę z ziemi. Podszedł do kranu i obmył sobie twarz, a dopiero potem opłukał miskę. Pokręcił się po celi, a potem skierował w stronę bardachy.

W chwilę potem dał się słyszeć odgłos spuszczonej wody. Niedźwiedź zakrztusił się chlebem i z niedowierzaniem spojrzął na Suchego. Zrozumieli się bez słów, a potem jak na komendę zerwali z miejsc i pobiegli w stronę przepierzenia, za którym była ubikacja. Wiedziałem, co się za chwilę stanie, ale niewiele mogłem zrobić. Mogłem tylko podejść tam razem z nimi i stać na uboczu, żeby zanadto Wydry nie pokieroszowali. Bo o tym nie zdążyłem mu jeszcze powiedzieć...

Gdy otworzyły się drzwi i z ubikacji wyszedł Wydra, Suchy i Niedźwiedź już na niego czekali. Chłopak chciał ich wyminąć, spodziewając się pewnie, że czekają w kolejce do ubikacji, ale Suchy zastąpił mu drogę i zniemacka chwycił go za nos.

– Au. Puść!. Boli! – zaskomlał chłopak.

Suchy puścił jego nos, lecz w tym samym momencie drugą ręką wypłacił mu blachę: uderzył go otwartą dłonią w czoło tak, że mały aż się zachwiał, a głowa odskoczyła mu w tył jak piłka. Omal nie upadł.

– Za co? – pisnął, odzyskując równowagę.

– Za jajco! – wrzasnął Suchy. – Kaleczysz powietrze, jak się szamie?! – i zabrał się do regularnego bicia.

Niedźwiedź trzymający się dotąd na uboczu chwycił Suchego za łokieć.

– Suchy, a może by chrabąszcz zakirał z bardachy?

Suchy przestał bić chłopaka i spojrzął na Niedźwiedzia. Spodobał mu się pomysł. Aż mu się oczy zaświeciły.

– Dawaj go!

Wiedziałem, co to oznacza. Przewalenie, lecz w jakby łagodniejszej formie. Skiepszczenie, gdy mały będzie musiał napić się wody z klozetu. Zgnojenie. Ostateczne odsunięcie od społeczności ludzi. Na szczęście byłem w pobliżu. Jak gdybym to wcześniej przeczuł.

– Basta! – wmieszałem się. Suchy i Niedźwiedź spojrzeli na mnie jak na przybysza z obcej planety. – Harcerz nie wiedział, co i jak. Dostał bęcki, więc już wie.

– A co ty, kurwa, taki najmimorda się zrobiłeś dla tego frajera... – zaczął Niedźwiedź, ale nie dokończył. Wpadłem mu w słowo.

– Solo, ty padluchu! Ty mineciario w styję dymana!

Twarz Niedźwiedzia poszarzała.

– Cichy, co... co ty...

– Kurwą nazwałeś człowieka, parówo! Stawaj na parkiet!

Myślałem, że teraz odbędzie się cały rytuał kiciorowania, czyli odwracania bluzgu do nadawcy. „Ze zwrotem” – powinienem był usłyszeć. „Z abarotem” – powinienem był odpowiedzieć. „Z odwrotem!” A otem następowała by dalsza litania. „Z kołowrotem!” „Z wywrotem.” „Ze stukotem.” „Z partagosem.” „I z łomotem!” – powiedziałbym w końcu, co oznaczałoby, że dalsza próba zabawy w słowną żonglerkę grozić będzie wezwaniem na parkiet. Bo i tak na tym by się skończyło.

Głośno, by wszyscy słyszeli, a Ostry w szczególności, krzyknąłem w stronę sali:

– Solo będzie! Ostry, śmigaj na kata!

Ostry, ziewając i przeciągając się, podszedł do nas. Zanim zapytał, o co chodzi, wyjaśniłem mu:

– Ta parowa, Niedźwiedź, mi bluznęła. Nazwała mnie kurwą.

– Nie skrańcował? – zdziwił się Ostry. – No, może się zdarzyć.

– Ale ma już krzywość. Nawet nie skiciorował. Ostry, katuj! – i żeby być w zgodzie z obowiązującymi regułami, cichutko szepnąłem: „Orient!” i natychmiast wyprowadziłem długą prostą w szczękę Niedźwiedzia. Wtedy po raz pierwszy zaliczył parkiet. Korzystając z okazji, doskoczyłem do leżącego i kopnąłem go w brzuch.

– Nie glanuj! – krzyknął Ostry. – Co, człowieka na glany bierzesz?!

– Ma krzywość – zaprotestowałem, patrząc na Ostrego. – To już nie człowiek.

– Dopóki jest na wyjaśnieniu glanować jak frajera nie wolno – zdecydował Ostry.

Niedźwiedź powoli zbierał się z podłogi. Wiedział już, że przez głupi przypadek stanął oko w oko ze swoim przeznaczeniem. Paczka, która miała nadejść dzisiaj i którą zamierzał przekupić Ostrego, żeby wyprostować swoje krzywości i na powrót stać się pełnoprawnym członkiem społeczności git-ludzi, już w niczym pomóc mu nie mogła. Teraz walczył o wszystko. Doskonale musiał zdawać sobie sprawę, że przegrana w walce zepchnie go do worka. Spowoduje, że stanie się nieodwołalnie cwelem. Że następnym etapem, po przegranej bójce, będzie przecwelenie. Lub, w najlepszym wypadku, zgnojenie. To, co proponował dla Wydry. I wówczas uświadomiłem sobie, że tak jak w czasach szkolnych biłem się z co bardziej zadziornymi „charakterniakami” o dziewczynę, którą wspólnie sobie upatrzyliśmy (i którą pociągając za pszeniczny warkocz, nazywali „mineciara”, a tego znieść nie mogłem w obronie jej honoru i biłem się o przysłowiową marchewkę, ot, tylko dlatego, by w moich myślach pozostawała czysta, bo przecież, wtedy nie miałem dość śmiałości, żeby zaproponować jej kino, spacer czy temat tabu: seks, o którym z wypiekami na twarzy marzyłem, lecz nie stać mnie było, by jasno to wyartykułować), tak teraz biję się o Wydrę. O to, by go nie zgnoili, zanurzając twarz w klozecie. Bo taki naprawdę był powód tej bójki. Tyle tylko, że Niedźwiedź mi to ułatwił, nieopatrznie nazywając mnie kurwą i zapominając kurwę skrańcować, zapominając coś do niej dodać, cokolwiek.

Gdy Niedźwiedź, chwiejąc się nieco po celnym i nadzwyczaj mocnym ciosie, stanął wreszcie przede mną, ocierając krew z nosa, aż mnie zatrzęsło z wściekłości.

Pamiętam: dokładnie to samo uczucie ślepej furii wyzwoliło się we mnie wtedy, gdy napadło na mnie dwóch podpitych gości, jak szedłem kiedyś z dziewczyną – która to była? Iza czy może właśnie Patrycja? – ciemną nocą

przez niezbyt spokojną dzielnicę Warszawy, Pragę. Wietrzyli łatwy łup, ale ja, mając na względzie bliskość mojej wybranki, postanowiłem nie tylko nas bronić. Postanowiłem się popisać. Na początku dziewczyna (wciąż się zastanawiam – Iza czy Patrycja – która z nich była wtedy ze mną?) wydawała się zachwycona, że jej wspaniały mężczyzna nie tylko jest dobry w łóżku, lecz jak iście komiksowy Superman rozprawia się z napastnikami. Tak, syndrom mężczyzny. Silnego, bezwzględniego samca, który w pościeli zamienia się w łagodnego, pełnego czułości Casanovę. Rozprawiałem się z nimi planowo i metodycznie. Ona, kimkolwiek była – Izą czy Patrycją – nie słyszała trzasku łamanych kości, nie widziała w mroku nocy krwi buchającej z ust, gdy jednym z klasycznych chwytów łamałem tamtemu drugiemu kark. Gdy podniecony walką, zostawiwszy pozbawione życia ciała – o czym oczywiście nie wiedziała – milicji i kostnicy, wciągnąłem ją do pobliskiej bramy, prosząc, żeby teraz się ze mną kochała, oddała mi się tak, jak nigdy dotąd. Czegoś takiego nie przeżyłem nigdy. Kimkolwiek była – Izą czy Patrycją – była wówczas Kobietą należącą do Mężczyzny Doskonałego. I kochała się jak Kobieta Doskonała.

To samo uczucie, a właściwie brak uczuć i tylko pragnienie zniszczenia przeciwnika, nieodwołalne i ostateczne, wezbrało we mnie, gdy ujrzałem przed sobą tępą, zaciętą w tajonej furii twarz Niedźwiedzia. To było tak, jakbym widział tamtych, na spacerze z Nią, kimkolwiek była. Zebrałem się w sobie, zrobiłem szybki unik, bo Niedźwiedź usiłował zahaczyć mnie lewym sierpowym, po czym najspokojniej w świecie założyłem mu nelsona. Podwójnego. A potem dociągnąłem. Rozległ się nieprzyjemny dla ucha trzask. Ciało Niedźwiedzia zwiotczało. W mgnieniu oka przebiegła mi przez głowę myśl: „Przesadziłeś, kurwa, przesadziłeś!” Ale co się stało, odstać się nie mogło.

Niedźwiedź bezwładnie osunął się na podłogę. „Twój wyrok, gnoju, dobiegł końca” – przemknęło mi przez myśl. I tylko tyle pozostało we mnie po tym, jak skutecznym chwytem zabiłem Niedźwiedzia. Jak złamałem mu kark. Wiedziałem, teraz rozpocznie się dochodzenie. Gady będą węszyć. Co się stało? Kto to zrobił? Dlaczego? Z pewnością dostanę dolewkę. Zwiększą mi wyrok. Trudno. Siła wyższa. To jego pech, że stanął mi na drodze.

– Pierdolnął w kalendarz – oznajmił Ostry, pochylając się nad zwłokami Niedźwiedzia, i spojrzał wymownie na mnie. – Cichy, musiałeś go od razu udupić?

– Tak wyszło. Miękki miał kręgosłup. Nie to co my, sztywniaci – usiłowałem nadrabiać miną.

Wokół trupa zrobiło się zbiegowisko. Mieszkańcy celi oglądali zwłoki, czyniąc fachowe uwagi.

– Ni chuja z niego!

– Ale mu zajebał!

– Wykopyrtnął się w kalendarz na glanc.

– Bania mu chodzi w te i w te!

– Dobra! – zakomenderował Ostry. – Ma być git i wszystko klawo. Wypadek przy arbajcie. Ty, Gonzo, masz smykałkę do fajansów. Weź i upleć z prześcieradła linę.

– Dobra – mruknął Gonzo.

– Ino mig, zanim klawich przyśmiga – ponaglił Ostry. – A ty, Suchy, tyruj lipo.

– Git – zgodził się Suchy i stanął przed drzwiami, zasłaniając plecami wizjer.

Krótko to trwało. Gonzo szybko uplótł powróż. Ostry jeszcze raz pomacał wiotką szyję Niedźwiedzia. Powróż przymocowali na kratce lampy nad drzwiami, po czym powiesili bezwładne ciało Niedźwiedzia na stryczku. Pociągnęli dobrze za nogi, by powróż mocno wpił się w szyję.

– Siadaj który na klapę – rozkazał Ostry.

Byłem najbliżej dzwonka, więc zadzwoniłem po strażnika.

Wkrótce na korytarzu rozległy się kroki. Szczęknęły zamki. Drzwi otworzyły się i na progu stanął klawisz. Nazywali go Bambosz. Miał wielkie, odstające uszy niczym nietoperz. Ponieważ nosił za dużą czapkę, zatrzymywała się ona zawsze na tych odstających uszach. Czyniło to przekomiczne wrażenie. Ale nikt już się z niego nie śmiał. Bambosz był starym klawiszem tuż przed emeryturą, który nikomu nie wadził. Więzienie znał jak własną kieszeń. I na ogół był przychylny bardziej więźniom niż administracji. O czymś to świadczyło, jeśli tuż przed emeryturą był nadal tylko sierżantem.

– O co chodzi?

– Tu się jeden bachnął na linę – rzekł Ostry, wskazując trupa Niedźwiedzia dyndającego na stryczku przymocowanym do siatki lampy nad drzwiami.

– Nie mogliście go powstrzymać? Dlaczego do kurwy nędzy powiesił się na mojej zmianie?!

– Tak wyszło – zauważył filozoficznie Ostry.

– Niech no go który odetnie – zawyrokował Bambosz – a ja pójdę po lekarza. Chociaż to już sztywniak – dotknął stygnącego ciała Niedźwiedzia wciąż dyndającego na powrozie.

Bambosz wyszedł z celi. Szczęknęły zamki. Na korytarzu rozległy się przyciszone kroki oddalającego się strażnika.

– Odchlastajcie go – powiedział Ostry. – Ale tak, żeby lina została na karczychu.

Dopiero teraz przypomniałem sobie o Wydrze. Odszukałem go wzrokiem. Stał oparty o ścianę. Miał przymknięte oczy. Musiało go to wszystko nieźle wziąć. Ale nie ma miętkiej gry. Niech się chłopak uczy. Ostatecznie Niedźwiedź tak naprawdę był jego ofiarą. Zginął, żeby oszczędzić Wydrę. Chociaż może nie musiał zginąć. Może nie od razu powinienem łamać mu kark. Tyle tylko, że jakoś tak wyszło.

Po chwili do celi wkroczył Bambosz, prowadząc lekarza. Lekarz spojrzał tylko na ciało Niedźwiedzia rozpostarte na podłodze z resztką postronka

zaciśniętego wokół szyi i dla pewności dotknął tężejącego ciała.

– To trup. Do kostnicy – zawyrokował i nerwowo wycierając dłonie, które dotknęły Niedźwiedzia, w fartuch, ostentacyjnie opuścił celę.

– Jak to się stało? – zapytał Bambosz.

– Normalnie, panie naczelniku – pospieszył z odpowiedzią Gonzo. – Hajtnął się na linę. Zanim który przyfilował, już był udupiony.

– Nikt nic nie widział i nie słyszał, co? – warknął strażnik.

– Niby wszyscy widzieli i słyszeli – pospieszył z wyjaśnieniem Gonzo. – Tyle tylko, że to się stało tak szybko...

– A nie pomógł mu który? – Bambosz rozejrzał się po celi.

– Niby jak? – udał zdumienie Gonzo. – Pan to se, panie naczelniku, myśli, że tak łatwo wciągnąć na linę gościa, co tego nie chce? A zresztą co to my, zbrodniarze?

– Już ja wiem, kto wy, kurwa wasza mać – mruknął Bambosz.

– My same złodzieje. Postarać się – i owszem. Kwadrat wyczyścić – też bywało. Ale żeby zaraz mokra robota – tfu!...

– Raport będzie, to naczelnik zdecyduje, co i jak – Bambosz, dzwoniąc kluczami, zabrał się do wyjścia.

Gdy strażnik wyszedł, wszyscy powrócili na swe miejsca. Gonzo zawzięcie rzeźbił te swoje świece, Ostry zaczął wgapić się bezmyślnie w telewizor, Mańka, wykorzystując każdą wolną chwilę, bo noce nie należały przecież do końca do niej, ucięła sobie drzemkę. Tylko Suchy, nie mogąc znaleźć sobie zajęcia, siadł na swym łóżku i co jakiś czas posyłał mi zagadkowe, niezbyt przyjazne spojrzenia. Domyślałem się, o co mu chodzi. Suchy, odkąd trafił do naszej celi po przeniesieniu z berezy, to jest z więzienia w Rawiczu, od dawna miał ochotę się ze mną zmierzyć. Wyczuwałem to. Z jednej strony szukał okazji, z drugiej zaś bał się Ostrego. Szybko zorientował się, że Ostry nie jest jakimś tam podrzędnym mącieliem, ale mąci w całym pudle. Ponieważ jasne było, że jestem prawą ręką Ostrego, Suchy uznał, iż niebezpiecznie jest ze mną zadzierać, choć aż się do tego palił. A teraz? Teraz moja bójka z Niedźwiedziem chyba do reszty pozbawiła go wszelkich złudzeń. Niedźwiedź przy Suchym mógł uchodzić za prawdziwego atletę. A jednak, zanim bójka rozgorzała na dobre, złamałem mu kark jak zapałkę. Wystarczył jeden wprawny chwyt. Gdy Suchy pojawił się w naszej celi, zrobiłem wywiad na jego temat. Sąsiedzi zza ścian przestukali nam w kaloryfer, że Suchy był w Rawiczu jednym z mącieli. Domyśliłem się, że będzie szukał okazji, żeby wybić się na mąciela także i tutaj. Zwróciłem na to uwagę Ostremu. Ten jednak zbytnio się tym nie przejął. Przez jakiś czas tylko obserwował Suchego, po czym wreszcie oznajmił mi, że może w Rawiczu Suchy mógł być mącieliem, ale tutaj to wyższa szkoła jazdy. „Za mały jest” – stwierdził Ostry i całe szczęście, że była to rozmowa w cztery oczy, na spacerunku. Gdyby powiedział to głośno w celi, ani chybi sprawa skończyłaby się na parkiecie. Suchy przy Oстрыm też prezentował się nieszczerze. Już sama ksywka

mówiła za siebie. Mimo to wyczuwało się w nim jakąś taką szczególną determinację, zawziętość i nieustępliwość. Było logiczne, że ten facet o drobnej, niczym niewyróżniającej się posturze czymś jednak musiał się zasłużyć, by zostać w Rawiczu mąciacielem. Podrzędnym, ale zawsze jednak mąciacielem. Przywódcą git-ludzi, choćby i garstki, a nie wszystkich z całego więzienia. Szanowanym i poważanym przez niejednego osiłka, który – teoretycznie – mógłby go rozłożyć małym palcem. To właśnie zawsze mnie zastanawiało, gdy patrzyłem na Suchego. Tak jak i teraz. „Cicha woda” – pomyślałem i natychmiast przyszło mi na myśl inne skojarzenie: „sucha woda” – i w duchu aż roześmiałem się do tej myśli.

– Ty, sucha woda! – zwróciłem się do Suchego, który wciąż mierzył mnie wzrokiem. – Co tak lipujesz? Sucha woda brzegi rwie?

Rozległy się śmiechy. Śmiali się wszyscy. Począwszy od Ostrego, poprzez Gonza, a na Wydrze i Maryśce skończywszy. Wiedziałem. Tą odzywką nieźle sobie u Suchego nagrabiłem. Ale aż nadto dobrze wykorzystałem sprzyjającą sytuację. Niedawno udowodniłem swą siłę i moc. Pozbawiłem Suchego złudzeń i przy okazji nabrał do mnie jeszcze większego respektu. Mogłem więc teraz bezkarnie z niego szydzić. Wiedziałem, jak bardzo go tym dotykam, ale nic sobie z tego nie robiłem. Okiełznany wróg przestaje być groźny.

I nagle, w tle tych rozważań, pojawiła się myśl: zabiłem Niedźwiedzia. Dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę. Nie, właściwie nie było to zabójstwo w zwykłym tego słowa rozumieniu. Ot, po prostu wypadek na parkiecie. Gdybym był adwokatem, swoim własnym adwokatem, użyłbym zwrotu: zabójstwo w afekcie. Bo mimo wszystko był to afekt. Może w jakiejś mierze działałem w obronie. Jeśli nie własnej, bo na pewno nie, to w obronie Wydry. W obronie jego godności i człowieczeństwa. To było prawie tak, jakbym przez wzgląd na honor kobiety, która mi towarzyszy, tak jak wówczas Iza czy Patrycja, walczył w jej obronie, ale jednocześnie atakował. To nie było tak, że z zimną krwią, z premedytacją, zabijam człowieka. Niedźwiedź to nie był człowiek. Ani z naszego punktu widzenia – jako człowiek miał przecież krzywość – ani z punktu widzenia tych na zewnątrz. Niedźwiedź był nikim. Na wolności był tylko nic nieznaczącym, uciążliwym dla otoczenia pijakiem i menelem, obszcymurem żyjącym z kradzieży i rozbojów ze szczególnym okrucieństwem. Trafiając do więzienia, krył się za parawanem ortodoksyjnie wręcz przestrzeganych zasad grypserskiej nawijki. Odkąd pamiętam, traktowany bywał jak znawca gwar więziennych i prawdziwy autorytet w rozstrzyganiu sporów, czy na przykład, mając na myśli „zarumienić się”, należało powiedzieć „przyjarać cegłę”, czy też może „przypalić cegłę”. Ale gdy przychodziło do prób charakterności, gdy sprawy stawały na ostrzu noża, gdy trzeba było pochłastać się żyletką w imię grupowej solidarności albo gdy należało po prostu za pomocą pięści walczyć o swój status, Niedźwiedź najzwyczajniej w świecie wymiękał. Wycofywał się. Robił to co prawda tak, żeby nie szło za nim piętno tchórza i dekownika, ale na to złapać się mogli

tylko mniej myślący współtowarzysze. Jak na przykład Ostry. Ostry zawsze trzymał stronę Niedźwiedzia. Bo faktem jest, że Niedźwiedź swoją prawdziwą naturę ukrywał i czynił to całkiem nieźle. Przynajmniej jak na niezbyt skomplikowany umysł Ostrego. Ja jednak rozgryzłem Niedźwiedzia już po tygodniu. I on też się w tym zorientował. Toteż planując swoje gierki, najpierw patrzył na mnie, czy skłonny jestem je zaakceptować. A dopiero potem przystępował do sedna sprawy w rozmowie z Oстрыm.

Podszedłem do Wydry i usiadłem obok niego na łóżku. Chłopak odwrócił głowę. Ten gest nieco mnie zirytował. Wiedziałem, że zabójstwo, choćby to nawet była śmierć w bójkę, stanowiła dla niego szokującą nowość. I pewnie nadal ważył w sobie to, co zdarzyło się potem: pozorowanie samobójstwa. Wieszanie trupa na naprędcie splecionym powrozie. Zmowa milczenia. Pozorna obojętność żywych wobec śmierci. Ale wszystko to jakże niezrozumiałe w świecie za murem tutaj nabierało całkiem innego wymiaru. Już nie tak mistycznego. Wręcz przeciwnie. Zwykłego. Tłumaczonego przez tutejsze realia, a nie tamte zza bramy. Jeśli już ktoś miałby za to odpowiadać, czy choćby tylko cierpieć rozterki moralne, to ja, nie on. To przecież ja byłem zabójcą. Choć w świetle faktów, które wyjdą na światło dzienne, okaże się, że było to najzwyczajniejsze w świecie samobójstwo. Jeden z więźniów po prostu nie wytrzymał. Hajtnął się na linę. Może miał dość. Jak wielu przed nim i wielu po nim.

– Na czym skończyliśmy? – zapytałem jak gdyby nigdy nic.

Chłopak spojrzał na mnie spode łba. Mimo że silił się na okazanie mi w spojrzeniu niechęci i wrogości, rozszerzone źrenice i nadmiernie rozwarłe powieki, odsłaniające niemal białka oczu, pozwoliły mi się domyślić, że tak naprawdę w jego spojrzeniu kryje się strach. Strach i nic więcej.

– Boisz się? – spytałem.

– Ja? – Wydra uciekł ze spojrzeniem. – Dlaczego miałbym się bać?

– Tego już nie wiem. Jasnowidzem nie jestem. Nie bój się, nic się nie wyda.

– Pewnie... – westchnął.

– Chodzi ci o tamtego, tak? – uparcie drążyłem temat. – To głupi chuj był. Niby nasz człowiek, a tak naprawdę frajer. Aniołki teraz obrabia. Lipuje, co tam wiatrzą za parkanem. Może, jak każdy krawiec, kroi im katany. To byłby jego prawdziwy, złodziejski raj.

Chłopak wzruszył ramionami.

– Nie jorgasz, co?

Milczał.

– Pójdź kiedyś do Ostrego. On ci powie, co i jak. To prawdziwy mistrz doliniarzy. Mają swoje zawodowe określenia. Nawet ja nie bardzo się w tym orientuję.

Mały spojrzał na mnie tak, jakby chciał coś powiedzieć, nawet otworzył już usta, lecz zrezygnował. I tylko wbił we mnie ciężkie, przenikliwe spojrzenie.

– A teraz wytłumaczę ci, o co chodziło z tym kibelem. Ciekawi cię, za co

dostałeś bańki?

Mały bez entuzjazmu skinął głową. Rozpoczęliśmy kolejną lekcję.

W nocy na próżno starałem się zasnąć. Chciałem namówić resztę ludzi na jemiotę, to znaczy mocną – co znaczy mocną? – zajebicie mocną herbatę, paczka na szklanke, w dodatku zaprawianą tytoniem, proszkami od bólu głowy i czym tam popadnie, ale – widocznie po dzisiejszych zdarzeniach – wszystkim przeszła ochota nawet na jemiotę. A tak dobrze się przy niej rozmawia. Czasem nawet do samego rana, do dzwonka o siódmej, gdy strażnicy kończą nasz urzędowo przynależny sen i rozpoczynają nowy dzień, o jeden dzień mniej do odsiadki.

Ale dziś nie było chętnych na jemiotę. Wszyscy jak jeden mąż odwracali się ode mnie, kręcąc nosem na poczęstunek. Nic to, że potrząsałem trzymanym w dłoni wagonem, całkiem pokaźną, stugramową paczką herbaty. Wszyscy, czyli wszyscy trzej: Ostry, Suchy i Gonzo.

Niedźwiedź oczywiście byłby pierwszy. Ale jemu zaproponować już nie sposób. Podobnie jak Mańce. Albo Wydrze. Zresztą czy mały kiedykolwiek w życiu pił jemiotę, lub, jak to czasem w innych więźniach nazywają, czaj?

Gdy ja po raz pierwszy spróbowałem czaju, myślałem, że zdechnę. Byłem głupi szczaw, miałem może dwadzieścia jeden lat, może parę razy ożłopałem się wódki, ale nie na umór, tylko tak kontrolnie, na sztywnych prywatkach w ogólniaku lub u kumpli na studiach, dragów nie próbowałem i do tej pory nie wiem, co to za świństwo, ot, greczny chłopczyk z grzecznego domu, a tu nagle czaj. Nie myślałem, że można mieć taki odjazd po herbacie. Ordynarnym yunanie. I że to aż tak potem uzależnia. Toteż gdy pomiędzy wyrokami na spotkaniach u znajomych proponowano mi herbatę, ogarniał mnie pusty śmiech. „Ja bym ci, kurwa twoja mać, palancie, pokazał herbatę, to byś z glanów wyskoczył!” – myślałem wówczas i, rzecz jasna grzecznie, w uprzejmych słowach, dziękowałem. A herbatę, prawdziwą herbatę, robiłem sobie potem w domu. Sypałem całe opakowanie do szybkowara i gotowałem. Ale najlepszy szybkowar to więzienna buzała. Dwie żyletki przedzielone zapałką, podłączone do prądu. I takiej jemioty narobi że hej!

Tego wieczora nikt jakoś nie chciał dać się namówić na fundowaną przeze mnie jemiotę. No i git – pomyślałem – zostanie na zaś. Domyślałem się, o co im chodzi. Mimo wszystko mieli co do mnie wątpliwości, choć walka była czysta. Nie bardzo rozumiałem, do czego mogli mieć zastrzeżenia. Przecież Niedźwiedź przegrał na solówce. Uczciwie. W dodatku nie był nawet do końca człowiekiem. Był na wpół frajerem. Miał krzywość, skiepscił się, toteż Ostry zawiesił go w prawach i pozostawił sprawę do wyjaśnienia. Wiadomo było powszechnie, że sprawa zostanie pomyślnie wyjaśniona, a krzywość Niedźwiedzia wyprostuje się z chwilą, gdy podaruje swą paczkę Ostremu, ale mimo to, gdy z nim walczyłem, człowiekiem przecież nie był.

Przewracałem się na łóżku z boku na bok, lecz sen nie nadchodził.

Wiedziałem, że jeśli nie zasnę, cały dzień będę chodził nieprzytomny i wściekły. Po jemiole to co innego. Można przegadać noc i spokojnie doczekać do następnej. Wcale nie chce się spać. Ale bez niej jest ciężko.

Nagle wśród ciszy wyłowiłem szczęknięcie sprężyn łóżka i delikatne szuranie. Nastawiłem uszu, choć domyślałem się, że to któremuś z ludzi, Ostremu lub Suchemu, zachciało się Mańki. Jednak myliłem się. Szuranie rozległo się w okolicach łóżka Maryśki, potem zaś człapiące kroki skierowały się w tę stronę celi, gdzie było łóżko Wydry. Wiedziałem już, co się święci. Jednak zdawałem sobie sprawę, że interwencja zda się na niewiele. Za to dowiem się o wiele więcej, jeśli udam, że śpię, i po prostu posłucham, o czym będą mówić.

– Nie śpisz? – usłyszałem szept Mańki i skrzyknięcie sprężyn, gdy usiadła na łóżku Wydry.

– Nie śpię. Nie mogę spać – wyszeptał Wydra. – Słuchaj, ja tu nie wytrzymam.

– Wytrzymasz.

– Mówię ci, że nie.

– To co zrobisz? Zadzwońisz po strażnika i powiesz: nie podoba mi się tu, do widzenia, wychodzę?

– Nie wiem, co zrobię. Może zrobię jak tamten.

– Który?

– Ten, co go powiesili.

– Nie pieprz. Młody jesteś to i głupi. Nie tacy jak ty tu trafiali. Odsiadawali swoje i wychodzili. I o wszystkim zapominali. Ile masz do odsiadki?

– Pięć lat.

– Kawalek czasu to jest. Ale nie bój żaby. Musisz po prostu się tu ustawić.

– Ale jak, jak?! – chłopak podniósł głos.

– Ciszej... – syknęła Mańka. – Chcesz wszystkich pobudzić?

Przez chwilę nasłuchiwali, lecz z pozostałych łóżek dobiegały tylko odgłosy miarowego chrapania.

– Słuchaj – odezwała się Mańka – jesteś tu dopiero parę dni. Przejdziesz tę swoją amerykę, to i owo zrozumiesz, a jak przyjdą nowi, sam będziesz ich lał i sprawdzał, czy nadają się na ludzi. To tak jak w wojsku. Najpierw koty dostają bańki od dziadków, a potem, gdy sami stają się dziadkami, oddają dług nowym kotom. Byłeś w woju?

– Nie.

– Szkoda. To niezła szkoła życia. Lepiej by ci tu poszło, gdybyś był.

– Słuchaj, Marek, chciałbym, żebyś wiedział... – mały zająknął się.

– Że niby co?

– Że wtedy...

– Wyduś to z siebie wreszcie.

– Słuchaj, ja nie chciałem. Ale bałem się, że będą mnie bić. Albo że mnie zabiją.

– Ale powiedz wreszcie, o co chodzi?
– O to, co było wtedy w nocy. Gdy kazali ci siadać na kiblu.
– Ach, o tym mówisz? Nic się nie stało. To jasne. Musiałeś być sztywny.
– Nie, to było na siłę! Nie chciałem, żeby mi zesztyniał, słowo honoru, ale...

Mańka roześmiała się.

– Jak mówiłem, że musiałeś być sztywny, nie chodziło mi o twojego małego. Sztywny to inaczej charakterny. Twardy.

Jak w harlekinie! – pomyślałem ze złością i uniosłem się z posłania.

– Mańka, ty paparuchu, odknaj się od harcerza, bo ci naprawdę przypierdolę! Chcesz, kurwo, na tron?!

Mańka w okamgnieniu znalazła się na swym koju. Wstałem i podszedłem do Wydry. Chłopak na mój widok aż się skulił.

– Słuchaj, szczeniaku – syknąłem – jak jeszcze raz ten cwel się do ciebie przypierdoli, to masz go skopać. Jak tego nie zrobisz, to ja skopię ciebie. Wezmę cię na glany. Ale tak cię zgłanuję, że nie będzie co zbierać. Kumasz?!

– Tak... – zadzwonił zębami.

– Co ty sobie, kurwa, myślisz, popaprańcu?! – nakręcałem się coraz bardziej i niepomny, że inni śpią, podniosłem głos. – To ja się tu za tobą wstawiam, uczę cię, chronię, żeby cię nie zgnoili albo nie zrobili cwela, a ty sobie szeptanki po nocach z parową urządzasz? To dajcie sobie, kurwa mać, buzi, a ja wam obu w dupy wsadzę jako wasz pierwszy kochanek w miłosnym trójkąciku!

– Cichy, kurwa twoja zajebana mać – warknął ze swego posłania Ostry – zhaltuj szamot! Odjebało ci?! Cweluj gnić!

Zniżyłem głos do szeptu.

– Myślisz, że mnie nie żal Mańki? Ale to nie ma nic do rzeczy. Będę ją pieprzył i poniżał. Bo tak trzeba. Jak pierwszy raz dałem cwelowi obciągnąć, to myślałem, że się pohaftuję, ale zrobiłem to, bo wiedziałem, że inni patrzą i czekają. Czekali, czy okażę się sztywny. I doczekali się. Podjudzali mnie, chachali się, a ja trzymałem laskę w cwelim pysku i brało mi się na rzyganie. Niewiele dawało nawet to, że starałem się myśleć o jednej takiej dupie, co ciągnęła druta naprawdę koncertowo. Byłem świeży jak ty. I wyobrażałem sobie bóg wie co. Jeszcze nie przesiąknęłam murami. Dymać cwela? To była jakaś abstrakcja. Jakiś straszny sen. A teraz? Normalka. Popatrz, jak się optyka zmienia. Posiedzisz, to sam zobaczysz. Bo coś przecież musisz zrobić ze swoim małym. Ileż możesz go zadreczać własną łapą?

Wydra patrzył na mnie, nic nie mówiąc. Wiedziałem, że na razie sens tych słów jeszcze do niego nie dociera.

– Myślisz, że nie wiem, że wśród frajerstwa są porządni goście? Wiem. Nieraz nawet lepsi od niejednego człowieka. Ale zasady to zasady. Frajera trzeba niszczyć. I traktować go tak, jakby od urodzenia był niczym. Zerem. My ludzie przynajmniej od zewnątrz musimy sprawiać wrażenie, że trzymamy się

razem. I za nic mamy frajerów, cweli, kapusiów, obcych – zrobiłem pauzę i spojrzałem na Wydrę. Na jego obliczu powoli zaczęło pojawiać się zrozumienie. – Chcesz znać historię Mańki? Mańka była kiedyś człowiekiem. Garuje za napad z kindybałem w rękę.

– Napad z bronią? – spytał zaciekawiony Wydra.

– Ach, ty palancie – parsknąłem śmiechem. – Kindybał to chuj. Napad z kindybałem w rękę to nasze określenie na gwałt.

Teraz i mały się roześmiał. Pomny, że obudzony Ostry znów może się awanturować, wtulił twarz w poduszkę. Gdy udało mu się opanować wesołość, spojrzał na mnie, czekając na ciąg dalszy.

– Mańka, zanim została Mańką, nieźle sobie radziła. Wafłowała się trochę ze mną.

– Co robiła? – spytał zdumiony chłopak. – Wafłowała się?

– Tak, a bo co?

– Robiliście sobie coś z tymi, no, kindybałami?

Teraz ja z trudem stłumiłem śmiech.

– Nic z tych rzeczy. „Wafel” to nie to samo, co w szkolnej gwarze. Wafel to herbatnik. Kolega. Przyjaciel.

Mały spojrzał na mnie jakoś tak dziwnie. Jak na potwora. Bestię. Bazyliszka. Domyśliłem się, o co mu chodzi.

– Mańka była porządnym gościem. Naprawdę. Ale pewnego dnia któryś przez przypadek dotknął ją kindybałem w łaźni. Ten, co dotknął, to był nasz człowiek i musiał powiedzieć, że Mańkę przecwelił. Mańka z początku się opierała. Biła się parę razy. Ale nawet jak wygrywała, to i tak nikt nie traktował tego poważnie. Bo jak walczyć z cwelem? Damskie głosy śmigają pod niebiosy. Ale jakoś tak było, że przyszedł kryzys. Fajek nie było. Dosłownie chodziliśmy po ścianach. Uradziliśmy wtedy z Ostrem i Zgredem, który wyszedł już na wolkę, że jak Mańka załatwi nam wagon szlugów, to przestanie być cwelem. Nie wiem, jak ona to zrobiła, bo o fajki w więźniu było wówczas naprawdę ciężko, ale zrobiła. Któregoś dnia rzuciła na łóżko Ostrego karton popularnych i myślała, że jest git. Ale nie ma miętkiej gry. Rzuciliśmy się na te szlugi jak sępy. Przyjaraliśmy. Paliliśmy jeden od drugiego, tak byliśmy wygłodniali. A jak już nam przeszło, to Ostry, jako że mąciciel i miał we wszystkim głos, popatrzył tylko na Mańkę, co już była jak w siódmym niebie, rzucił jej kostkę margaryny i powiedział: „Smaruj dupę, Mańka, bo ułani jadą!” Mańce z początku nie mieściło się to w głowie. Coś tam trukała, że niby jak to tak, że zrobiła, co miała zrobić, ale nawet chyba i ona kumała, że nie tak prosto wyprostować cwela. Gdy zrywaliśmy z niej sztany, znaczy spodnie, narobiła wrzasku, ale dostała parę razy w baniak i spokorniała. A potem sunęliśmy ją równo, jeden po drugim, żeby ten cwel niedojebany odtąd naprawdę był cwelem jak się patrzy.

Mały patrzył na mnie szeroko rozwartymi oczami. Wypłaciłem mu lekką blachę w czoło.

– Jorgasz? Nie ma miętkiej gry!

Mały spojrział na mnie spode łba.

– A teraz idź kimać. Przekumaj to sobie i bacz, żebyś nie podzielił losu Mańki.

Dźwignąłem się z łóżka małego i wróciłem na swoje.

Batory, skrzypiąc nienaoliwionymi kórkami, stanął pod drzwiami. Szczęknęły rygle. Otworzyły się drzwi. Funkcyjny w asyście strażnika, Jana Bez Głowy, zaczął wydawać śniadanie Suchemu, który od kilku dni pełnił funkcję starszego celi zamiast Niedźwiedzia.

– Znowu hermetyk? – mruknął z niezadowoleniem Ostry. – Dalibyście, kurwie syny, białego szaleństwa.

– Spadówa na bambus! – rzucił funkcyjny. W normalnych układach Ostry po prostu rozniósłby frajera, nie bacząc nawet na obecność strażnika czuwającego za drzwiami, ale funkcję kalifikatora pełnił akurat Grzdyl (nie wiadomo, za jakie grzechy), prawdziwy charakterniak na piątym oddziale. Swego czasu celował w fuchę mąciela, ale jakoś nic z tego nie wyszło.

– A co ty się, Grzdylu, bratasz z klawiaturą? – mruknął Ostry.

– Taki fart – odciął się Grzdyl. – We no Ostry platory i cweluj z glana do blatu, bo gad lipuje.

Ostry zabrał talerz z chlebem, margaryną i dżemem. Drzwi celi zatrzęsnęły się.

Zabraliśmy się do jedzenia.

Dzisiejszy dzień, choć miał być jednym z wielu dni, które dzieliły mnie, a zwłaszcza Wydrę, od końca wyroku, zapowiadał się jednak ciekawiej. Po południu mieliśmy spotkać się u holownika psów z tym śmiesznym frajerem od teatru. Cwelem w kolorowej apasce.

Słabo pamiętałem Romea i Julię, lecz mimo to na tyle kojarzyłem sobie główny zarys akcji, by mieć poważne wątpliwości, czy można to wystawić w więzieniu. Nie zadawałem sobie już pytania, po co to w ogóle robić. Na pewno byłaby to jakaś rozrywka w szarej, więziennej rzeczywistości. Zeszłoby ludziom trochę czasu. A i widzowie, którzy w znakomitej większości pewnie teatru na oczy nawet nie widzieli, też się trochę zabawią. Jednak trochę odstręczała mnie tematyka. Romeo i Julia, sztuka o miłości grana w więzieniu, gdzie jedyną formą „miłości” jest usługa cwela? Jakoś mi to nie pasowało.

Mimo tych wątpliwości wziąłem Wydrę na naradę. Do rozmowy zaprosiłem też Ostrego. Nie żebym liczył na jego pomoc i rozsądny głos w dyskusji, ale po prostu nie chciałem, by Ostry jako mąciela miał wrażenie, że coś odbywa się poza jego wiedzą i władzą. Już na początku przekonałem go do idei więziennego teatru tym, że jedną z ról dostanie Kizior, prawa ręka Świdra, mąciela z drugiego pawilonu i dzięki temu Ostry będzie miał lepszy kontakt z kumplem. Pozostało omówić dalszą obsadę. Nie da się ukryć, że i ja miałem ochotę pobawić się w tę szopkę. Gdy byłem na polonistyce, kombinowałem

trochę ze studenckim teatrem. Napisałem jakiś tekst, potem parę skeczów do kabaretu. Udział Wydry w przedstawieniu też wydał mi się oczywisty. Trudno było ukryć, że nie tylko w tej celi, ale także w porównaniu z ogółem odbywających wyroki stanowiliśmy coś w rodzaju elity kulturalnej. Do mniejszej rólki można było wziąć Suchego. Wciąż jednak głowiłem się nad obsadą głównej roli kobiecej, Julii. I wówczas niespodziewanie podsunął niezłą myśl Wydra. Zaproponował do tej roli Mańkę.

Z początku zrobiliśmy wielkie oczy. W głowie jakoś pomieścić się nie mogło, by ludzie robili coś wspólnie z frajerem i to w dodatku ciężkim, cwelom. Choć z drugiej strony kto jak kto, ale właśnie cwel był po prostu jakby do tej roli stworzony. Perwersyjny dowcip tego pomysłu sprawił, że gdy minęło pierwsze zaskoczenie i ja, i Ostry, byliśmy przekonani, iż jeśli ktoś w ogóle może grać Julię, to tylko Mańka. A to się ludziska ubawią!

Mańka nawet specjalnie nie protestowała. Dla zasady jedynie próbowała słabo się bronić przed „tą głupotą”, ale Ostry wypłacił jej blachę i sprawę angażu Mańki potraktowaliśmy jako przypieczętowaną. Musieliśmy tylko omówić z Oстрыm inną, ważną kwestię. Trzeba było coś zrobić z niebezpieczeństwem symbolicznego przecwelenia, na przykład poprzez dotknięcie przedmiotów, których dotknie Mańka. Grypserskie normy traktowały bowiem cwela jak prawdziwego pariasa, a przecwelenie i kiepskość przenosić się mogły, niczym bakterie, przez dotyk i „nieczyste” przedmioty. Ostry myślał, myślał i w końcu zawyrokował: na czas, gdy będziemy bawić się w teatr, rzuca zastawkę na przecwelenie przez dotyk. Odtąd Mańce wolno podać rękę, wolno dotykać przedmiotów, których ona wcześniej dotknęła, ale tylko wtedy, gdy jest to konieczne i uzasadnione. Na przykład na scenie czy w trakcie prób.

Przyznam, że decyzja Ostrego w pierwszej chwili wydała mi się szokująca. Oto dla doraźnej korzyści, i to w dodatku niewymiernej – bo jakąż wymierną korzyść mogło przynieść organizowanie więziennego przedstawienia? – Ostry podważył jedną z najważniejszych zasad grypserki. Ot tak, jednym pstryknięciem palca warunkowo uczłowieczył cwela. Warunkowo, lecz mimo wszystko w jakiś sposób uczłowieczył. Z żalem pomyślałem o wszystkich tych porządnych, charakternych ludziach przypadkowo lub złośliwie dotkniętych w łaźni kutasem, albo o tych, którzy nie wiedząc, że przedtem dotknął tych przedmiotów cwel, brali ze stołu paczkę papierosów lub kubek z kawą. I gdy o tym myślałem, przypominałem sobie historię samej Mańki, która przez przypadek z charakternego gita stała się parową. Wiedziałem, że Ostry jako mściciel ma prawo wpływać na życie w więzieniu, tłumaczyć niejasności grypserskich zasad, być wyrocznią w kwestiach spornych, ale – i to właśnie nie mieściło mi się w głowie – nie ma przecież prawa zasad tych tworzyć! Przynajmniej nie sam. Podjęcie tak brzemiennej w skutki decyzji, która praktycznie burzy zasady grypserki, wymaga co najmniej postawienia jej na ogólnokrajowym zlocie mścicieli. Inaczej ludzie, a w szczególności zdumieni

samowolą Ostrego inni mąciciele, mogą uznać jego decyzję za herezję, zdegradować go, spuścić do wora, wypalając mu przedtem płynnym plastikiem serduszko wytatuowane pod lewym okiem, likwidując podobną metodą pozostałe oznaki władzy i zaufania grupy, a nas wszystkich, ofiary jego pochopnej decyzji, którzy dotknęli na przykład Mańki, przecwelić. Wcale mi się to nie uśmiechało.

- Ostry – powiedziałem – czyś ty to gitnie przekumał?
- Co?
- Że tykając Mańki i jej fajansów nie cwelimy się.
- Bo co?
- Bo inni mąciciele mogą mieć migawy, że rozpierdalasz zasadę.
- To nasza zasada.
- Ale mimo to...
- Zacynkuję Świdrowi i klawo.
- Ale zasada to zasada.
- Ja tu jestem od nawijki i zasad!
- Ale...
- Co ale? Git jest i zhaltuj szamot. Nie dygaj i nie szpońć.

Wzruszyłem ramionami. Może rzeczywiście Ostry miał rację, że to wewnętrzna sprawa naszego więzienia. Dobrze przynajmniej, że pogada o tym ze Świdrem. Zawsze co dwóch, to nie jeden.

- Na początku, kochani, chciałbym, żebyśmy zastanowili się nad tekstem.

Spojrzałem spode łba na frajera. Dziś nie miał na sobie tej pedalskiej apaszki, tylko rozchełstaną koszulę, ukazującą owłosiony mostek, ale kolczyk w uchu mówił sam za siebie.

- Nie bardzo pana rozumiem, naczelniku – mruknąłem złośliwie. Słyszac o naczelniku, frajer aż się zachnął.

- Nie jestem, mój kochany, z pionu, tego, no, penitencjarnego. Nie jestem żadnym naczelnikiem.

- A ja nie jestem pańskim kochanym. Rozumiemy się?! – wstałem, zacisnąwszy pięści.

Może niepotrzebnie podniosłem głos. Frajer rozejrzał się niepewnie. Mógłbym przysiąc, że szukał dzwonnka, by przywołać strażnika. Nie znalazł go jednak. Był zdany tylko na siebie. Pomyślałem, że teraz, zamiast podpierać się obcym tekstem Szekspira, będzie zmuszony grać własną sztukę. On kontra my.

- Widzicie, panowie – zaczął cichutko, rozglądając się niepewnie na boki, jakby skądś szukał wsparcia – Szekspir nie pisał swej sztuki z myślą o więzieniu. Tu chodzi o to, by adaptować tekst tak, by przystawał do waszych, to znaczy więziennych warunków.

- Nie bardzo rozumiem – powiedziałem po raz drugi. Stanęliśmy w punkcie wyjścia.

– To proste – frajer, widząc, że nie zostanie mimo wszystko zaatakowany, pobity, zgłanowany, powoli odzyskiwał rezon. Widocznie uświadomił sobie, że strach miał zbyt wielkie oczy, a my nie przyszliśmy tu tylko po to, by go zamordować. – Tekst oryginału, Romea i Julii, potraktujmy jako bazę dla naszej sztuki. Zgoda, musimy zachować pewne elementy oryginału, ale chciałbym, żeby akcja sztuki bardziej kojarzyła się ze współczesnym zakładem penitencjarnym niż ze średniowieczną Weroną.

– No i git – podsumowałem – bo myśmy uradzili, żeby do roli Julii wyznaczyć prawdziwego cwela.

– Słucham? – frajer podniósł na mnie zdumione oczy.

– Julię zagra więzienny pedał – wyjaśniłem. – Taka nasza celowa kobitka.

– To niezwykle interesujące rozwiązanie! – zachwycił się frajer.

– I my tak uważamy. Wie pan z pewnością, jak sobie radzimy w więzieniu z naszymi męskimi potrzebami?

Frajer uśmiechnął się kokieteryjnie i lubieżnie pomacał ucho z kolczykiem.

– Tylko – kontynuowałem – nie bardzo wiem, jak chce pan dostosować akcję sztuki do naszych realiów.

– Liczyłem na panów pomoc. Mam koncepcję, by w tekście sztuki zaistniał wasz specyficzny, więzienny język. I żeby to on stanowił punkt odniesienia do zrozumienia szekspirowskich realiów.

– Niby jak pan to sobie wyobraża? – zdumiałem się. – Chciałby pan, żeby dialog między dwojgiem zakochanych wyglądał na przykład tak? – Zaimprovizowałem naprędce. – „Lipuj, mana, co ci truckam. Ach, lipuję, mój sztywniak. Chciałbym walnąć ci patelnię”. I tak dalej. I tym podobne. Tak to ma być?

– No – westchnął frajer – pan to odebrał może ciut zbyt dosłownie...

– Ale tak to się u nas mówi. Tak się te sprawy nazywa po imieniu. O to niby panu chodziło?

– Pan jest człowiekiem inteligentnym – frajer wbił we mnie przenikliwe spojrzenie.

– A skąd niby pan to wie? Jestem więźniem. Siedzę za włamanie i bestialskie pobicie. Połamałem znanemu chirurgowi wszystkie paluchy. Już pierdolony łąpownik nigdy nikogo nie będzie operował. To mój trzeci wyrok. Wy, na wolności, nazywacie to recydywą. Zgniłą recydywą.

– Naczelnik, to znaczy ten pan, z którym tu ostatnio rozmawialiśmy, bardzo pana chwalił.

– Nie daj żyć! – wzruszyłem ramionami. – Psychol panu nabałakał takiego chłamu?

– Jaki znów psychol?

Zmitygowałem się.

– Nic. Widocznie nasz więzienny psycholog ma o mnie wciąż jeszcze dobre zdanie.

– Przecież jest pan człowiekiem wykształconym. Polonistą. Zna pan więc

z pewnością teatr i jego realia.

– Panie kochany! – teraz ja nieświadomie użyłem tego zakazanego zwrotu.

– To było dawno i nieprawda. Wie pan, kim teraz jestem? Chce pan wiedzieć? Jestem doradcą mąciela. Wie pan, co to znaczy?

– Wiem. Wasz psycholog opowiadał mi o panu. Powiedział, że jest pan jedynym, który...

Zająknął się. Wbił we mnie ciężkie spojrzenie. Uciekłem z oczami.

– Pomoże mi pan? – szepnął cicho.

– Niby dlaczego?

– Bo, widzi pan, to jest dla mnie szansa. Nie będę tego ukrywał. Chcę obronić doktorat. Chcę mieć materiał do mojej pracy. Co panu właściwie szkodzi?

– Już nie wspomina pan o wychowawczej, resocjalizującej roli teatru, wpływającej na życie biednych więźniów? – przycisnąłem go do muru.

– Jak pan widzi, nie.

– I tak trzeba było od razu. Bez całego tego zadęcia. Bez tego nadmuchanego szpanu. Rozumiem, że zawieramy układ. Pan broni doktorat. Pytanie tylko: co z tego wszystkiego mamy my?

– No, nie wiem... – zastanowił się frajer. – Może skrócenie wyroków?

– Na jakiej podstawie? Że co, bawiliśmy się w teatr? A wystąpił pan chociaż z takim wnioskiem do władz?

– Nie, ale...

– To gadaj pan zdrów. Jaki mamy w tym interes?

– Hmmm, interes...

Spojrzałem na frajera i coś zaświtało mi w głowie.

– Jak ważny jest dla pana ten doktorat?

– Bardzo! – podniecił się frajer. W oczach zabłyśły mu iskry.

– Nasza cena jest taka: tysiąc paczek popularnych, dziesięć litrów spirytusu i próby codziennie. Popołudniami.

– Zaraz, ile to będzie... – frajer zaczął kalkulować, patrząc w sufit.

– Nieważne. Mówię krótko. Dziesięć litrów spirytusu, tysiąc ramek szlugów i zawieramy układ. Albo stoi, albo sobie idziemy – znacząco spojrzałem na Wydrę, który dotąd siedział jak trusia i nie zabierał głosu.

– Stoi – odruchowo rzekł frajer. Pewnie nie zdążył nawet policzyć, ile będzie go to kosztować. Widocznie jednak jego domniemany doktorat wart był każdej ceny.

– Kontrolują tu pana, jak pan przychodzi?

– Nie – frajer spojrzał na mnie zdziwiony.

– Nie robią rewizji? Do teczki – wskazałem dyplomatkę stojącą obok jego krzesła – też nie zagląдают?

– A dlaczego mieliby zaglądać?

Pomyślałem, że frajer ma tu widocznie jakieś specjalne prawa. Tym lepiej, tym lepiej!

– To zostaw pan nam oryginalny tekst i przyjdź pan za dwa dni. Z pierwszymi dwoma litrami spiryta. Zakitraj pan to w tej trumience.

– Że niby co mam zrobić? – nie zrozumiał frajer.

– To proste. Każdą butelkę owiń pan w papier, żeby nie dzwoniła. Dołóż pan fajek ze sto paczek i przynieś mi pan w tej swojej teczce. Na wierzch połóż pan jakąś szmatę, gdyby jednak kazali otworzyć teczkę. Jakby chcieli kontrolować, nie pozwól pan i powiedz, że to kostium do teatru. Uchyl pan wieczko i pokaż szmatę. I to wszystko. A ja zrobię panu z Szekspira więzienny gryps, skoro tak pan to widzi. Układ stoi?

– Stoi.

– No i git.

– Słucham? – zdziwił się frajer.

– Nic. Znaczy, że wszystko w porządku – zapewniłem go.

Siedziałem nad tekstem Romea i Julii i wyraźnie mi nie szło. Ileż to lat temu bawiłem się słowem? Kiedy ostatnio napisałem jakiś tekst, opowiadanie, wiersz, cokolwiek? Już prawie nie pamiętam. Gdy trafiłem po raz pierwszy do pudła, rzuciłem się na otaczającą rzeczywistość jak głodny sęp. Myślałem: będzie z tego rewelacyjna powieść. Pokażę świat zza murów innym. Może zgarnę z tego niezłą kasę. Ale szybko mi to przeszło. Chyba nie potrafiłbym sprzedać swych doznań i wrażeń innym, którzy nigdy nie siedzieli, w formie książki. Bo niby dla kogo miałyby być ta książka? Dla frajerów. Dla zjadaczy codziennego białego chleba powszedniego, a nie dla tych, którzy na co dzień muszą żreć czarny, więzienny chleb razowiec. Rzeczywistość uwięzionych, nijak się ma do ciepłego, sytego świata tych, którzy nigdy dotąd nie spróbowali smutniaka. Hermetyka. Delbanki. A wraz z nimi – całej więziennej rzeczywistości. To tak trudno powiedzieć. Tak trudno wyartykułować. Dlatego właśnie zarzuciłem początkowy zamiar opowiedzenia tym zza muru o wszystkim, co się tu dzieje. Teraz jednak miałem przed sobą tekst Szekspira. I z niego, z Romea i Julii, zobowiązałem się – za fajki i spirytus – zrobić sztukę. Sztukę o tym, co nas dotyczy. Nas, więźniów. Tyle tylko, że odbiorcami tej sztuki, widzami, mieli być również więźniowie. A więc sami swoi. A im można było wytłumaczyć wszystko łatwiej. Bez uciekania się do niezrozumiałej dla ludzi z zewnątrz abstrakcji, opowiadania wszystkiego od początku, ciągnięcia historii od przysłowiowych Adama i Ewy.

– Wydra, śmigaj tu!

Wydra przydreptał do mnie i rzucił wzrokiem na rozłożone na łożku papiery.

– Rozwiąż tę kwestię!

Chłopak spojrział na maszynopis sztuki, potem na mnie.

– Co niby mam z tym zrobić?

– Co? A co tylko chcesz! Dlaczego to niby ja miałbym mieć patent na nieomylność? Pisałeś kiedyś wiersze?

– No, wiesz...

– Pisałeś czy nie?! – uciąłem krótko.

– Pisałem. Gdy miałem osiemnaście lat. Pisałem wiersze dla jednej takiej, jeszcze w liceum. Sonety. Opowiadałem ci. Basia miała na imię. Sonety.

– Skoro pisałeś sonety, nie będziesz miał trudności, żeby tę scenę napisać wierszem – podałem mu kartkę, na której nabazgrałem układ sceny.

– I co mam z tym zrobić? – zapytał, wczytując się w moje zapiski.

– To, co robił kiedyś, dajmy na to, Szekspir. Chwytał wrażenia, wyobrażał je sobie jako materiał dla teatru, a potem, gdy był już gotów, przerabiał to na poezję. Jazda, do roboty!

Chłopak spojrział na mnie niepewnie, ale się nie odezwał i tylko pochylił się nad tekstem. Potem wziął do ręki długopis i na skrawku papieru zaczął robić notatki. A może od razu zaczął przerabiać tekst na zapisaną wierszem sztukę. Tego nie wiedziałem. I szczerze mówiąc, nie zastanawiałem się nad tym. Skoro mieliśmy z założenia stanowić zespół autorski, prawdziwy autorski team, nie miało znaczenia, co który z nas robi w danej chwili. Liczył się efekt końcowy. I nie miałem wątpliwości, że powinien on powalić wszystkich, a głównie naszego frajera-reżysera, na kolana. Frajer miał koncepcję na teatr więzienny w ogólności, ale co do szczegółów, nie wiedział zupełnie nic i całkowicie zdawał się na nas. To właśnie stanowiło dla nas nie tyle szansę, bo przecież nic z tego nie wynikało, ile raczej wyzwanie. Za dobry tekst i skuteczne z nim zmagania mogliśmy otrzymać napitek, kiranie, czyli dziesięć litrów spirytusu, co w warunkach więziennych stanowiło niesamowitą wręcz i tylko w snach możliwą abstrakcję, oraz tysiąc ramek szlufów, co przy sprzyjających układach oznaczało, my wszyscy mamy zapewnione palenie – poza doraźnymi paczkami i nieprzewidzianymi darowiznami – na długi, długi czas. I tego należało się trzymać.

– I jak ci idzie, młody? – zagadnąłem Wydrę.

– Jakoś idzie – mruknął, ślęcząc nad tekstem.

– Zrobisz coś z tym barachłem?

– Właśnie robię.

– No i git. Jak coś będzie niejasne, pytaj.

– Na razie wszystko jasne.

– To luzuj i rób swoje.

Mały wzruszył ramionami i pochylił się nad tekstem. Pracowicie przekształcał moje didaskalia w wierszowane wypowiedzi aktorów.

Zerknąłem mu przez ramię.

– Myślisz, że to jest kwestia, którą wypowie Mańka?

– Taką przynajmniej kwestię wypowiedzieć powinna.

– Jesteś pewien?

– A jak byś to inaczej zrobił? Chyba tylko tak.

Spojrzałem na tekst. Mały oddał chyba najważniejszą ideę. W kilku oszczędnych słowach zawarł kwintesencję całej sceny. Spojrzałem na niego

z niekłamany m uznaniem.

– Miałeś coś wspólnego z teatrem?

– Kiedyś, na pierwszym roku, zaproponowali mi pisanie do studenckiego teatrzyku.

– To tak jak mnie – westchnąłem z nostalgią.

– I co? – spytał z zainteresowaniem mały.

– A co miało być? Nic. Życie sobie, a sztuka sobie.

– I nie wzięło cię to?

– A co niby miało mnie wziąć? Pisanina? Teatrzyk? I co bym z tego miał? Eee, młody, ty naprawdę nie znasz życia.

– Może i nie, ale gdybyś się do tego tekstu zabrał, to...

Wydra zawiesił głos i spojrzał na mnie niepewnie. Wiedziałem, o co mu chodzi. Zaświerzbiała mnie ręka, ale pomyślałem, że może jeszcze warto poczekać z wypłaceniem blachy. Zaciekawiony, jak z tego wybrnie, udałem, że nie rozumiem.

– To co?

– Wiesz... – łypnął na mnie i odrobinę się odsunął. Czytał w moich myślach czy jak? – ...to nie siedziałbyś tu.

– Co ty gadasz?! Miałem być jakimś prorokiem, a studencki teatrzyk moim zbawicielem? Nie świruj głodnych kawałków. Nie potrzebuję zajebanego misjonarza, który chce mnie sprowadzić na dobrą drogę. Bierz się do roboty! – warknąłem.

Po dłuższej chwili Wydra uniósł głowę znad kartki.

– Może coś takiego? – wpatrzył się w tekst, a po chwili zaczął z patosem recytować.

Cóż to, ty, lala, tańczysz z tym frajerem?

Toż to tylko git-człowiek, ja, Romeo,

Z tobą się klawo mieszać powinienem...

Nie chciałbym grabłem wydziarganym

Twojej witki kiepszczyzną splamić.

Niech szama trukać zacznie klawo

O tym, co skroić z tobą byłoby zabawą...

– A cóż to ma być? – przerwałem mu bezceremonialnie.

– O co biega? Coś nieklawo?

– Ja się pytam, co to ma być?!

– Wiersz. Na początku jedenastozgłoskowiec, jak w oryginale, a potem...

– Człowieku, czyś ty ocipiał?! Jaja sobie strugas z Szekspira?!

– Czegoś się przykitrał? Przecież nawijałeś, że ma to być adaptacja, którą skumają garownicy.

– Ty, nie bądź świętszy od papieża! Ledwie liznąłeś grypsarki, a już taki z siebie ortodoks.

– Co jest? – obruszył się Wydra. – Skoro to ma być o pudle i grane w pudle,

to chyba tak będzie najlepiej.

Zastanowiłem się. W pierwszej chwili pomysł chłopaka zaszokował mnie, ale po chwili przyznałem, że trafił w dziesiątkę. Że też wcześniej o tym nie pomyślałem! Spojrzałem na leżące przede mną kartki. Fakt: ja poszedłem na łatwiznę. Po prostu skracałem tylko tekst oryginału, zostawiając najważniejsze wątki i najbardziej soczyste dialogi.

– Wiesz co? – klepnąłem Wydrę w ramię i uśmiechnąłem się szeroko. – Masz łeb! Dopiero teraz pomyślałem, że to powinno być właśnie tak! Masz coś jeszcze?

Wydra mile połączony moim uznaniem uśmiechnął się.

– Mam tu odpowiedź Julii. Znaczą Mańki.

Dziargana graba niczym jest, mój waflu,

Gdy szama gitnie o zabawie prawi.

Nawijka twoja zawraca mi w kaflu

I czuję, że mnie niekiepsko zabawisz.

– Klawe! – wybuchnąłem śmiechem i rozradowany trzepnąłem Wydrę w kark. – Gitne! Jak to było?... Nawijka twoja zawraca mi w kaflu... Cha, cha, cha!... Ty czaisz, co to będzie się działo?! Jak się garowniki będą chachać?

– Po co drętwą nawijkę mają uchać? A to jest w sam raz dla nich!

– Panowie! Ja nie wierzę własnym uszom! Na litość boską! Co to jest?!

– Jak to co? Romeo i Julia. W więźniu. Akcja odbywa się właśnie w mokrej celce.

– O Jezu... – jęknął frajer. Bawiła mnie jego mina, wywalone ku niebu oczy i dramatycznie załamane ręce. – Panowie, przecież to Szekspir! Co wyście zrobili! mistrzowi znad Avonu?

– Nie wiem, o co panu chodzi – mruknąłem.

– Co to jest, tu na przykład: – trzęsącą się ręką sięgnął po kartkę i jękając się z oburzenia, zaczął czytać:

Monterku, jary obszcymurze,

Posuń się, tyś za cienki Bolo.

Twe kiepskie bluzgi skicioruję

I rozstrzygniemy rzecz na solo.

Nieprzytomnym wzrokiem prześliznął się po naszych twarzach i bezsilnie opadł na krzesło. Przez chwilę ciężko oddychał, w końcu wyszeptał:

– Kto zrozumie ten bełkot? I co to w ogóle znaczy? Nic z tego nie pojmuję!

– Zdaje się, że zapomniałeś pan, gdzie jesteś. Dla więźnia te wierszowane szekspirowskie farmazony to dopiero niezrozumiałe brednie. Trzeba podać to

po ludzku, żeby w ogóle ktoś chciał tego słuchać.

– Boże! – frajer po raz kolejny załamał ręce. – I kto to mówi? Polonista! Z kim ja muszę pracować!...

– Panie! – warknąłem. – Polonistą to może ja byłem. Ale trochę już w życiu odsiedziałem. Jak pan chce zrobić Szekspira o więzieniu, to mówię: tylko tak!

– A ten Monterek? Albo Katapulta? Co to w ogóle za jedni?

– Montecchi i Capuletti. Swojskie ksywki.

– Boże... Boże... – frajer tarł z zapamiętaniem skronie i mierzwił rzadkie, wyleniałe włosy.

Zrobiło mi się żal palanta. On chyba rzeczywiście nie czuł tego przedstawienia, podobnie jak nie miał zielonego pojęcia o więzieniu. Ale za to chciał obronić doktorat. I tego właściwie należało się trzymać.

– Panie kolego! – nie wiedzieć czemu użyłem tego zwrotu, ale na frajera najwyraźniej podziałał. Uniósł głowę i spojrzał na mnie jakby przytomniej. – Niech pan spojrzy na to inaczej. Nie z perspektywy Szekspira, klasyki, wielkiej sztuki. Pan jest reżyserem, nieprawdaż? – W milczeniu skinął głową. – Czy bawi pana wyłącznie odtwórcze powielanie utartych schematów? Nie miałyby pan ochoty zrobić czegoś zupełnie wyjątkowego? Zgoda, niech to będzie oparte na klasyce, ale niech jednocześnie będzie to artystyczny szok, nawet skandal. Jeśli już chce pan wywołać skandal, bo przecież wystawienie Szekspira w więzieniu już samo w sobie jest obrazą teatralnej klasyki, to niechże pan pójdzie za ciosem aż do samego końca. Zapewniam, tłumaczono Szekspira na wiele języków, ale nikt nigdy nie przetłumaczył go na grypserkę. Pan będzie pierwszy. Jeśli nawet przedstawienie odbywać się będzie tylko tu, w więzieniu, sprawa na pewno nabierze rozgłosu. Jeżeli nie podobają się panu niektóre dialogi, możemy je dopracować.

– Myśli pan? – spojrzał na mnie w zamyśleniu. Najwyraźniej pękał. Należało kuć żelazo póki gorące.

– Przecież mając zamiar wystawić Szekspira w więźniu, chyba nie myślał pan, że prości zbrodniarze przemienią się natychmiast w genialnych aktorów i że będą sypać jak z rękawa jedenastozgłoskowcem jak w oryginale.

– Nie, rzecz jasna, ale...

– Więc czego pan chciał?

– Chciałem dostosować główne wątki sztuki do realiów zakładu, tekst oczywiście skrócić, nieco przerobić, nawet odrobinę ubarwić...

– Drogi panie! Byłoby śmieszne i nierealne, gdyby więźniowie mówili ze sceny drętwą nawijką.

– Ale to jest bardzo daleko posunięta w tekst ingerencja!

– Pan to wie i ja to wiem. A oni muszą się domyślać, o co chodzi w sztuce, jeśli to ma być dla nich rozrywka, tym bardziej że nieźle na tym skorzystają. Bo nie zapomniał pan o naszej umowie, prawda? – uśmiechnąłem się znacząco.

Byłem przygotowany do przejęcia towaru. Sto ramek szługów upchniemy

z Wydrą po kieszeniach, ale na przemycenie dwóch litrów spirytusu pod cełę wymyśliłem specjalny sposób. Kazałem ludziom w pralni zgrzać żelazkami długą, wąską rurę z grubej folii. Pytali, na cholerę mi taki badziew, ale zapłaciłem dwiema paczkami papierosów i powiedziałem, że głównie im do tego. Albo zrobią szczelny rękaw i dostaną fajki, albo niech spadają na bambus. Przestali gadać i nazajutrz miałem gotową foliową rurę. Można było do niej nalać ze trzy litry płynu i nie wzbudzając niczyich podejrzeń, założyć na szyję i nosić w tym spirytus, wódkę, cokolwiek. Patent był naprawdę genialny, ale nie zamierzałem go sprzedawać. Gdyby się inni zwiedzieli, od razu zaczęliby litrami wnosić wodę na teren więźnia, w końcu klawisze zorientowałyby się, że coś jest nie tak, odkryliby sposób, a wówczas byłby problem ze spirytusem od reżysera.

– Nie zapomniałem, ale... myślałem, że pan żartował – reżyser nerwowo obciągnął rękawy marynarki.

Teraz ja nie wierzyłem własnym uszom.

– Żartowałem? Żartowałem?! – Przyskoczyłem do niego błyskawicznie i złapałem za klapy. – Czy ty myślisz, palancie niedojebany, że pojarzę i kirunek kosimy z rakiet albo dostajemy codziennie do obiadów? Uważasz, pojebcu, że tu są wczasy?!

Chętnie bym go uderzył, ale wiedziałem, że mogę sobie pozwolić tylko na słowa i wytarganie marynary. Przysunąłem się jeszcze bliżej.

– Jeśli na następne spotkanie nie skołujesz szluga i spirytusu, to swój doktorat wkitrasz sobie w styję! – wysyczałem w rozwarte ze strachu i zdziwienia oczy.

– W co? – uniósł pytająco brwi.

– W styję. Czyli w dupę!

Nagle zauważyłem, że coś zmieniło się w jego twarzy. Puściłem gościa. Odsunąłem się. Poza strachem i zdziwieniem w jego wzroku dojrzałem ni mniej ni więcej tylko zachwyty.

– Panie Romanie – westchnął. – Romku... Mogę tak mówić? – zachwyty zmieniał się w zalotność. Nie czekając na moją odpowiedź, mimo że otwierałem już usta, żeby powiedzieć: „Nie, nie możesz”, ciągnął dalej. – Przepraszam cię najmocniej. Ale najwyraźniej źle cię zrozumiałem. Nie chciałem cię zdenerwować, ale cieszę się, że pokazałeś mi się od innej strony. Wspaniale wyrażasz emocje. Rola pójdzie ci wyśmienicie! Wiesz? – zajrzał mi w oczy i poufale chwycił za ramię. – Zrobię wszystko, żeby sprawić, aby przez ten czas, kiedy tu będę, twój... – łypnął na przypatrującego się tej scenie w niemym zdumieniu Wydrę – ...wasz pobyt w więzieniu wydał się znośniejszy.

– Zaczynaj od realizacji umowy! Fajki i spirytus! – szarpnąłem się. Jego ręka spadła mi z ramienia i bezwładnie zawisła w powietrzu.

– Ależ oczywiście, kochany. Ależ oczywiście.

Wydra, adaptując ze mną Romea i Julię, uczył się języka błyskawicznie. Gdy miał wątpliwości lub użył niewłaściwego słowa, podsuwałem mu stosowny zwrot. Grypserka bez wątpienia była jego wielkim odkryciem i chyba mimo wszystko zabawą. Bawił się z początku dziwacznie dla ucha brzmiącymi sformułowaniami i podobnie jak ja kiedyś z zapalem godnym świeżo upieczonego adepta zastępował wszelkie możliwe zwroty języka potocznego określeniami z więziennej gwary. Wydawało mu się pewnie, że jest to sens i idea grypserki, ale wszystko dopiero było przed nim. Wiedziałem, że wcześniej czy później nadejdzie czas na prawdziwą naukę. Na razie jednak z pewnym pobłażaniem patrzyłem na Wydrę. Niechże się chłopak bawi, póki może – myślałem, choć zdawałem sobie sprawę, że gdy okres ameryki dobiegnie końca, Wydra albo stanie na wysokości zadania i zostanie przyjęty do grona git-ludzi, albo mimo całego zaangażowania, mojego i jego także, zostanie skiepszczony, sfrajerowany, może nawet zrobią z niego cwela.

Zauważyłem, że wokół mnie i chłopaka, odkąd zająłem się jego edukacją i wziąłem go pod opiekę, wytworzyła się dziwna próżnia. Suchy stronił ode mnie, Gonzo udawał, że świata nie widzi poza tymi swoimi fajansami, które rzeźbił z wosku, a Ostry całymi dniami gapił się w telewizor. Nikt nie tylko nie dokuczał chłopakowi, ale także i nie zwracał się do mnie. Fakt, dużo czasu spędzałem sam na sam z Wydrą, wciąż zajęci byliśmy przerabianiem Romea i Julii i dosłownie żyliśmy tym przedstawieniem, ale nie usprawiedliwiała to pustki, która się wokół nas nagle wytworzyła. Myślałem, że może ma to związek ze sprawą Niedźwiedzia, ale nie byłem pewien. Zresztą cóż takiego się stało? Lekarz orzekł, że to było samobójstwo, nawet klawisze nie robili specjalnego dochodzenia, ot, zapytali pro forma, co i jak, a potem przeszli nad tym domniemanym samobójstwem do porządku.

Co gorsza miałem wrażenie, że sprawa nie dotyczyła tylko mnie i chłopaka, ale że w ogóle coś się porobiło pod celą. Mogłem zrozumieć, że ludzie z tego czy innego powodu mogą się od nas izolować, ale nie tłumaczyło to faktu, że w ogóle kontakty pomiędzy mieszkańcami naszej celi znacznie się rozluźniły. Jakoś nikt nie proponował nocnych rozmów przy jemiole, rzadko kiedy chłopaki grały w karty i tylko snuły się z kąta w kąt, patrząc wokoło wilkiem. Możliwe, że na ludzi działało w ten sposób puste łóżko po Niedźwiedziu. Więzienie było jednak przepełnione, pojawiła się więc nadzieja, że wolne miejsce nie będzie się zbyt długo marnować.

Postanowiłem coś z tym zrobić. Gdy po kolacji Wydra postanowił na dłużej odwiedzić ubikację, podszedłem do Ostrego.

– Ostry, herbatniku, kurwa twoja mać, coś taki zajeżony? Może by tak kirą zagiercować z chrabąszczykiem?

– Gierka? – Ostremu zabłyśły oczy, ale nagle się zreflektował. – Coś ty tam, Cichy, wymózgował? Przecież z nim waflujesz.

– Nie został jeszcze podniesiony. Póki co można.

Ostry spojrzał na mnie podejrzliwie.

- Kiepsko się robi. Tradycja upada – wzruszyłem ramionami.
- Grypsierka się odwróciła – westchnął z żalem Ostry.
- To jak? Może rowerek albo kubany?

– Czemu nie? – rozruszał się Ostry. – Hej, Gonzo! Suchy!

Suchy i Gonzo podeszli bliżej.

– Pogiercujemy z harcerzem w rowerek i kubany? – spytał Ostry.

– Git! – napalił się Suchy, ale potem spojrzał na mnie. Nic nie mówiąc, wskazał wiele znaczącym ruchem głowy na mnie. Bali się mnie. Teraz to sobie uświadomiłem. Cóż, Niedźwiedź robił tu za celowego siłacza, a przecież wystarczyła chwila, żeby jego wyrok skończył się grubo przed czasem.

– Nie pękaj – uspokoił go Ostry. – To właśnie wist Cichego.

Suchemu rozjaśniła się gęba. Wyciągnął do mnie rękę.

– Kopsnij witeę.

Uścisnąłem mu dłoń. Następny w kolejce był Gonzo. Atmosfera pod celką trochę się oczyściła. Gdy Wydra wyszedł z bardachy, było już ustalone, że najpierw zrobimy mu rower, a jak się ciut przyjara, dostanie kubany. I nawet żeby nie zasnąć zbyt wcześnie postanowiliśmy tej nocy posiedzieć trochę nad jemiolą i pogwarzyć jak za dawnych, dobrych czasów.

Ostry włączył buzałę. Wyciągnąłem swoją dużą paczkę herbaty. Na czterech powinno wystarczyć, tym bardziej że Gonzo już sypał do wody zdobyczne środki przeciwbólowe, które zakombinował podczas niedawnego pobytu w gabinecie lekarskim, Suchy dołożył trochę tytoniu, zaprawił pastą do zębów i jemiola zapowiadała się wybornie.

Widząc nasze przygotowania i pamiętając moje opowieści o jemiole, Wydra zaczął się koło nas kręcić. Zerkał na nas, pytając nieśmiało wzrokiem, czy może się przyłączyć. Na dymiącą jemiolę spoglądał co prawda jak na jakiś diabelski wywar, ale widać było, że ciekawość zwycięża obawę i że chłopak aż się pali, by jej spróbować.

– Kitraj się, chrabąszcz, jak ludzie kirają – zgasił go Ostry.

Wydra spojrzał jeszcze na mnie, mając nadzieję, że może się za nim ujmę, ale udałem, że nie spostrzegam jego błagalnego spojrzenia. Nie pozostawało mu nic innego, tylko powrót na swe łóżko.

Jak za dawnych, dobrych czasów zasiedliśmy nad jemiolą. Ostry równo rozdzielił między nas gorący, siarczyście gorzki napój. Trzeba było pić, zanim nie ostygł, dopóki parzył język i gardło. Inaczej nie dawało się go przełknąć.

– Mikro czaju – mruknął z żalem Gonzo. Niedawno przenieśli go z młyna, to znaczy z więzienia w Poznaniu. Tam na jemiolę mówili czaj. Gonzo twardo upierał się przy swych językowych przyzwyczajeniach.

– Lipuj, co wiatrzą za parkanem! – wyciągnąłem z kieszeni kolejną paczkę herbaty i zamachałem mu nią przed nosem. Od razu morda mu się ucieszyła.

Nagle poczułem się mistrzem ceremonii. Ostatecznie pili moją herbatę. Mogłem więc czynić honory gospodarza imprezy.

– Gonzo, a co zrobisz, jak wyśmigasz na wolkę?

– Zaprawię się – odrzekł bez namysłu Gonzo. – Kurwa mać, jak ja się zaprawię! Wykiram dwa litry chary i walnę na micę! I wszystkie tufty wyszłoję na wszystkich metach!

– A potem?

– Co potem? – nie zrozumiał Gonzo.

– Co zrobisz potem?

– To samo z abarotem.

– Z hajsem będziesz miał przekręt.

– Mam wafli na wolce.

– A jak im się robi w karmanach bryndza?

– To pójdziemy do roboty.

Wzruszyłem ramionami. Ile czasu nacieszy się wolnością taki Gonzo? Miesiąc? Dwa? Mały włóczęga. Pijaczyna. Kieszonkowiec. A jak weźmie się do grubszej roboty, jak obrobi mieszkanie czy robi włamanie do sklepu, to nazostawia śladów i zapuszczają go już następnego dnia. Nic nie ma gość pomysłu. Ciemny jak tabaka w rogu.

– A ty, Suchy?

– To lipujcie, co wam zapodam. Jak się wykitram na wolkę, to śmignę do swej jareckiej i normalnie ją załupię. Albo ją przejebię. Ta szmatecka mnie wychłała. Frajerstwo i pizdolizów brała na kwadrat, a ja jej mieszałem. Niby halinę miała, ale z psami to z dala, a żeby coś zakitrać, to Boże broń. Jak deczko rudego zakitrałem pod pokładem i świecideł z ostatniej roboty, to ta gruzinka, jarecka moja, kurwa jego mać, popłynęła do skowerni, fanty moje gadom kopsła, a mnie chła. Że skurwysyn, bo przecież jej synuś, kurwy jebanej, to tu się zgadzało, w dupę jebana jej mać. Ale zaczęła kufą brechać, żeby mnie utopić: co, jak i kiedy. Kiedy robić chodziłem, kto ze mną herbatnikował, co kitrałem po arbajcie, a mnie, kurwa jego mać, mnie nijak się jorgnąć nie knajało, kiedy ona, ta tufta, moja jarecka, skumać to mogła, jak ino ciągiem do góry namiotami leżała, kirala dynksa i waliła się, aż gwizdało. Jak się na halinę, znaczy na mój kwadrat wchodziło, to syf aż haltował. Nic tylko logrem jechało, dynksem i sokiem z patelni. Więc potem przyśmigały psy ze skowerni, nawet nie gamzali, tylko z mety obrączki i na dołek. Po drodze glanowanie, lolą bez plery, a robole na szlaku aż się chachali, jak to złego garuchę dobre psy jebią i że niby komarować mogą spoko, jak klajniaków tak ostro haltują. Ale zerwałem im się. Śmigłem w uliczkę i wałę do pierwszej bramy. Jeden pies się skitrał, ale drugi śmiga za mną. Chciał mnie dopaść z lewej mańki, lecz mu kopłem cięte bańki.

– Ożeniłeś mu kosę?! – zdumiał się Gonzo i spojrzał na Suchego z niekłamany uznaniem.

– Miałem kosę za parkanem, nie wymacali jej. I sprzedałem pieskowi. Ale ten drugi już przyśmigał z kominem w witce. Gdybym miał grabszytk fartu, tobym nie leżał, ale to ta moja jarecka, tufta, mnie ujaiła. I tą kosą sam się utopiłem.

– A pies? Wylizał się? – spytał Gonzo.

– Rechtu nie miał!

– To jednego psa mniej. Za zdechłego psa! – oznajmił Gonzo i wychylił swą resztkę jemioly.

– A co ty zrobisz, jak się wyklepiesz? – zwrócił się do mnie z nienacka Suchy.

– Ja? – spojrzałem na niego zaskoczony. Może nie miałem ochoty brać udziału w ich opowieściach, ale moc jemioly i więziennej nostalgii robiły swoje. Wyciągnąłem z kieszeni kolejną paczkę herbaty. – Tu jest wagonik do spóły. Ostry, nastaw jemioly!

Ludzie powitali mój gest z pomrukiem zadowolenia i błyskiem w rozszerzonych źrenicach.

Ostry nasypał herbaty do buzały. Suchy otworzył nową paczkę ze szlugami. Zaczął rozkruszać jednego, by było co wsypać do jemioly.

– Więcej siana! – upomniał go Gonzo.

– Ramki, kurwa twoja mać, nie wykirasz! – zdenerwował się Suchy i na zaprawę do jemioly przeznaczył pięć papierosów.

Gdy gotowy już napój Ostry rozlał do naszych kubków, popijając jemiolę, podniecony ekstraktem teiny i nikotyny, rozpocząłem swą opowieść.

– Gdy wyjdę na wolność, najpierw obmyślę dobry skok. Ale nie taki fajansiasty. Jakiś kiosk, sklep z charą czy inny badziew. To ma być skok stulecia. Albo coś koło tego. Nie wiem jeszcze. Może dziana stacja benzynowa. Może kantor wymiany walut. Coś, gdzie nie ma trefnego towaru, z którym trzeba bujać się potem u pasera i sprzedawać za ćwierć ceny. To ma być żywy hajs. W używanych papierkach. Jeden dobry skok bez ryzyka. Bez śladów. Robota doskonała. Zgarniam hajs i kitram się. Cichnę. A gdy sprawa przyschnie, żyję jak król. Jadę na Majorkę. Obracam cudowne, ciemnoskóre laski. Liżę im te ich czarne patelnie, a potem jebię je w podgrzewanych basenach pod palmami. Wyleguję się w słońcu tropików. Wynajmuję sobie cadillaca z kierowcą w mundurze i w czapce i każę się wozić. W te i we wte. Dla picu. Piję tylko najdroższe drinki i koktaile. Żadnej goudy. Szamię tylko homary i krewetki. Żadnego smutniaka i delbanki. I jest git. Jest naprawdę git.

Urwałem i rozmarzonym po jemiole wzrokiem potoczyłem po zebranych przy stole ludziach. Zamiast aprobaty napotkałem tylko zimne, uważne spojrzenia.

– Co jest, kurwa w dupę jebana? – spytałem.

– Nic – odparł zimno Gonzo. – Pan hrabia woli Majorkę. I nawet o nawijce zabył. Gamza jak jakiś frajer. Jak literat od sztuk w teatrze.

– A co, kurwa twoja jebana mać, mam do końca życia obrabiać te pierdolone kioski? Coś ci nie podchodzi, Gonzo? Że co, że nie chcę od razu po wyjściu na wolność uwalić się tak, że zhaltuje mnie pierwszy patrol i wrócę tu w try-miga? O to ci biega? A od tego, jak gamzam, wara! Skoro jorgasz, co nawijam, to się ciesz! Nie bądź taki grypsor-ortodoks, bo ci jaja posiwieją.

– Cichy, nie zajeżaj się! – powiedział Ostry. – Ludzie trukają, co mózgują.

– Ja to pierdołę! – wybuchnąłem. Jemioła paraliżowała mi mózg. Byłem jak w transie.

– Cichy – upomniał mnie Ostry – nie pierdol ludzi, bo ludzie ciebie wypierdolą.

Zabrzmiało to jak groźba.

– Ja nie pierdołę ludzi – zmitygowałem się nieco ochłonawszy. – Ale każdy z nas tutaj ma prawo do swojej historii. Gonzo do swojej. Suchy do swojej. I ja do swojej. Co komu do tego, że nie chcę być obszczymurem, lecz chcę nachapać się prawdziwego hajsu, a potem zbastować?

– No – zastanowił się Ostry – właściwie nic. A czy – spojrzał na mnie przeciągle, zastanawiając się widocznie nad czymś i dopiero po chwili wydusił to z siebie – a czy nie chciałbyś do tego spółasa?

– Niby do czego? – spojrzałem na niego zdziwiony.

– Do tej swojej roboty. Tej na zicher. Czystej.

Przyjrzałem się Ostremu. I dopiero teraz uświadomiłem sobie, że tak naprawdę wcale go nie znam. Po raz pierwszy spojrzałem na niego jak na współtowarzysza niedoli z jednej celi, a nie jak na mąciela, przywódcę git-ludzi, który tak na dobrą sprawę trzymał, pospołu ze Świdrem z sąsiedniego bloku, nasz zakład w garści. Pod okiem wytatuowane serduszko. Symbol mąciela. W kącikach oczu, odwzorowujące linie zmarszczek, proste, zielone kreski – przedłużki. I pięć kropek na lewej powiece. Znak, że był kiedyś pięciokrotnie sprawdzany. Symbole zaufania git-ludzi. Na ramionach wytatuowane pagony generalskie. Dwadzieścia lat stażu w pudle. Przedtem miał pułkownika, ale belki musiał sobie wysmażyć roztopionym plastikiem z płonącego wkładu do długopisu i na zabliźnionym miejscu dotatuować generalskie wężyki. Po pięć sznytów na każdej ręce. Pocięty jak rzeszoto brzuch i klatka piersiowa. Ciemniejsza szrama na szyi, znak, że kiedyś próbował się wieszać. Prosty bandzior. Bezwzględny. Nieustępliwy. Nieobliczalny w swych reakcjach. Czy z kimś takim jako zaufanym pomocnikiem mógłbym wykonać swój skok – jeśli chodzi o skromną miarę mojego życia i moich potrzeb po wyjściu na wolność – skok stulecia, mojego stulecia?

Przyjrzałem się uważnie Ostremu. Owszem. Mógłbym. Ale pod jednym warunkiem. Ostry nie miałby nic do powiedzenia. Może tu w więzieniu mógł rządzić podobnymi sobie git-ludźmi, ale tam na wolce w czasie skoku ważna była inteligencja nie zaś determinacja. Tam liczyła się synchronizacja czasu, bezbłędne opracowanie szczegółów aż do perfekcji, ślepe posłuszeństwo. Pozostawała tylko jedna kwestia do rozwiązania. Podział łupu. Bo jeśli dwóch gości napada na jedną stację lub jeden kantor, powinni łupem się podzielić. Ale to też nie był problem. W stosownej chwili Ostrego należało po prostu zlikwidować. Wygarnąć mu z komina. Sprzedać kosę. Albo tak jak Niedźwiedziowi po prostu złamać kark. To nie tylko wydawało się możliwe. To

było wręcz konieczne.

Uśmiechnąłem się.

– Ostry, jak biega o ciebie, możesz być spółasem. Jak będziesz chciał, to razem przejebiemy te laski na Majorce. Wszystkie, co do jednej.

– Te czarne dupki? – zapalił się Ostry.

– Dokładnie. I będziesz im wylizywał te ich czarne soki z patelni. Popijał dżin z tonikiem na basenie. Pływał z nimi. Opalał się na jedwabnych leżakach. A jak ci się znudzi, każesz sobie samolotem sprowadzić z Polski czyściochę. Goudę. Skrzynkę albo dwie. I będziemy kirali, aż puścimy pawia. A tego pawia hotelowi boye, bo przecież będziemy dzianymi gośćmi, oprawią w ramki i dadzą dopisek: tego pawia puścili na ścianę Jego Ekscelencja Ostry i Jego Ekscelencja Cichy, szmalcowni goście z dalekiego, wschodniego kraju, co lubili się zabawić, zakirać, pojechać i w ogóle byli git. I zostanie po nas kawał historii na Karaibach. Albo na Tahiti. Haiti. I wszędzie tam, gdzie jest dużo dup, dużo gołych cycków, i w ogóle jest spoko. Jorgasz, Ostry?

– Ja pierdołę – rozmarzył się Ostry. – Jorgam. Co bym miał nie jorgać.

– No i git! – podsumowałem.

– I co tak lipicie? – zwróciłem się do Suchego i Gonza, którzy spuściwszy nosy na kwintę przysłuchiwali się mojej rozmowie z Ostrym.

– A bo co? – mruknął nieprzyjaźnie Gonzo.

– A bo jajco – zgasiłem go w okamgnieniu. – Kikuj który na delbanę, bo czas zagiercować!

– Wpół do pierwszej – odezwał się Suchy.

– No i git! Czas na rowerek.

Razem z Ostrym włożyliśmy między palce u nóg śpiącego Wydry zwitki papieru. Podsunąłem Ostremu zapalną, a on podpalił ją papierki. Przez chwilę nic się nie działo. Ale gdy ogień dotarł do skóry, Wydra we śnie począł nerwowo przebierać nogami, jak gdyby udając jazdę na rowerze. Wybuchnęliśmy śmiechem. Mały pedałowal jak się patrzy. Ogień zaczynał parzyć mu stopy. To był najwyższy czas, by przystąpić do gierki w kubany. Szybko owinęliśmy go w koc – akurat, z lekko poparzonymi stopami, zaczął się budzić – i zaczęliśmy tłuc go pustymi kubkami po głowie ledwie rysującej się pod kocem. Rozbudzony nagle młody wył wniebogłoso. Z okrytą kocem głową nie wiedział, co się dzieje.

– Cichy! Ratuj! – zawył.

Z całej siły uderzyłem go swym kubkiem w głowę. Zamilkł natychmiast. Ostry spojrzał na mnie i podniósł do góry rękę.

– Basta! Niech który lipnie pod derę. Cichy, odjechało ci?

Suchy odchylił koc i dojrawszy strużki świeżej krwi spływające po skroni małego, rzekł:

– Basta będzie. Chyba że chcecie go zajebać.

– Basta to basta. Niech se kima – orzekł Ostry i przykrył na powrót rozkrwawioną głowę małego kocem.

– No i git – zatarł potężne łapska Gonzo i ziewnąwszy, poczłapał w stronę swego łóżka.

– Żeś mu przyjechał na głucho – przyznał Suchy i przyjaźnie klepnął mnie po plecach. – A ja myślałem, że się herbatnikujecie.

– Nie ma miętkiej gry – odparłem. – Zresztą harcerz nie jest jeszcze dźwignięty. To jeszcze nie człowiek.

– No, to kit i trzym się git – pożegnał mnie Suchy i powlókł się w stronę swego łóżka.

W każdym razie miałem nadzieję, że odtąd atmosfera pod celką wróci do normy. Powinno być tak, jak bywało dawniej.

Klawisz Pipa stanął na progu celi. Dostrzegł mnie od razu, lecz swoim zwyczajem wbił wzrok w ścianę i beznamiętnym głosem powiedział:

– Więzień Cichecki Roman. Jest?

Zwracając się do Pipy, należało wstać i głośno powiedzieć „jestem”. Tak też uczyniłem.

– Do naczelnika! – rzekł Pipa i kilkakrotnie uderzył pękiem kluczy w otwartą dłoń, wielkie, czerwone łapsko.

Gdy wprowadzał mnie do gabinetu, naczelnika, tak jak poprzednio, jeszcze nie było.

– Niech zaczeka – warknął Pipa i opuścił gabinet. Wychodząc, zamknął za sobą drzwi na klucz. Dało mi to do myślenia. Po co miałyby to robić, skoro naczelnik zaraz miał się pojawić? Coś mi w tym wszystkim nie pasowało.

Było dokładnie tak samo jak poprzednim razem. Na biurku leżała otwarta, napoczęta paczka cameli i zapalniczka. Tym razem bez zbytniego zastanawiania się natychmiast skorzystałem z okazji. Łapczywie zaciągnąłem się papierosem. Gdy umysł się rozjaśnił, zacząłem się gorączkowo zastanawiać, dlaczego znów zostałem wezwany do pustego gabinetu, dlaczego strażnik dokładnie zamknął drzwi i o co w tym wszystkim chodzi. Przecież nie o to, że naczelnik chciał się zabawić w dobrego wujaszka i poczęstować swego ukochanego pupilka dobrą fajką. Jeśli miał do mnie jakiś interes, czemu się, do cholery, nie zjawiał?

Czas mijał. Naczelnik wciąż nie przychodził. Czułem, że już się nie zjawi. Zamiast niego wejdzie za chwilę strażnik i bez komentarza zaprowadzi mnie z powrotem do celi. Idiotyczność tej sytuacji a nade wszystko brak jakiegokolwiek sensownego wytłumaczenia, które mógłbym przedstawić ludziom w celi, doprowadzała mnie do pasji.

Nagle wpadła mi do głowy myśl, by nie siedzieć tu tak bez sensu z założonymi rękami tylko rozsądnie ten czas wykorzystać.

W pierwszej chwili pomyślałem o możliwości ucieczki. Ostatecznie o wiele łatwiej było wymknąć się z pokoju naczelnika niż z celi. Wystarczyło tylko unieszkodliwić strażnika, głupiego Pipę, który pewnie tkwił teraz po drugiej stronie drzwi i patrząc na zegarek, czekał na moment, gdy będzie mógł mnie już wypuścić. Jednak po namyśle pomysł ten wydał mi się bezsensowny.

Uciekać tak bez planu, bez przygotowania i rozeznania? Uciekać całkiem na wariata? Jeśli nawet uda mi się odebrać Pipie broń, to co mam robić dalej? Jak ominąć posterunki straży więziennej? Jak wydostać się przez trzy strzeżone bramy? A może wziąć Pipę na zakładnika? Rozważałem i taką ewentualność, ale przypomniała mi się niedawna próba ucieczki jednego gościa z drugiego pawilonu. Nie znałem go, ale historia głośnym echem odbiła się w całym więźniu. Gdy wziął zakładnika i szedł już z nim przez plac w kierunku pierwszej bramy, snajperzy na wieżyczkach, mimo że trzymał pod bronią jednego z klawiszy, oddali salwę. Faceta dosłownie rozerwało na strzępy, a strażnik nie został nawet draśnięty. Zresztą po co uciekać? Połowę wyroku mam już przecież za sobą. Nie figurowałem zbyt często w raportach. Może realne jest więc warunkowe zwolnienie? Nie sposób przecież ukrywać się do końca życia po jakichś melinach, drząc przed każdym napotkanym psem. Żeby wykonać swój zaplanowany wielki skok, musiałem mieć swobodę działania.

Porzuciwszy myśl o ucieczce, rozluźniłem się i opanowałem dreszczyk emocji, gdy wyobrażałem sobie, jak trzymając Pipę pod bronią, usiłuję przemierzać korytarze, plac, a potem forsować kolejne bramy. Sięgnąłem po kolejnego, czwartego już chyba papierosa i powróciłem do rozważań, co miały oznaczać te wezwania na rozmowy z nieobecnym naczelnikiem. Byłem jednak tak samo głupi, jak i przedtem.

W końcu zgrzytnął klucz w zamku i na progu pojawił się Pipa.

– Do celu.

– Następnym razem zostawcie jeszcze flaszkę! – warknąłem.

Pipa, choć słynął z łagodności, zniecacka i bez słowa uderzył mnie w twarz. Aż się we mnie zagotowało. Chociaż uznałem niedawno, że ucieczka z Pipą na muszce jako zakładnikiem nie ma szans powodzenia, gotów byłem – bo emocje w tym momencie zaczęły brać górę nad rozsądkiem – najpierw gada skopać, a potem wyrwać mu pistolet i mimo wszystko próbować nawiać. Grabisz sobie, gadzie, grabisz! – pomyślałem – u wielu ludzi sobie nagrabiłeś; wyroki kiedyś się kończą, a ty się pod ziemię nie zapadniesz, wielu zapamięta cię jako prawdziwą pipę, ale ci, na których się wściekłeś, na pewno będą chcieli się odegrać. Opanowałem się jednak. Zlizałem z rozciętej wargi krew. Na dobrą sprawę nawet ucieszyłem się z tego, że mnie uderzył i że mam rozcięte usta. Znaczy to, że było jakieś przesłuchanie i że musiałem się stawiać, skoro mnie pobili.

Jeszcze na korytarzu starałem się wyciskać z pękniętej wargi krew i rozmazywać ją po twarzy.

Gdy znalazłem się w celi, ludzie przyjrzeni mi się uważnie.

– Brali na huk? – spytał Ostry.

– Deczko. Parę lolek, glanów, normalka – stęknąłem, udając, że rozcieram obolałe od bicia plecy.

– Za czym?

Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że podniecony perspektywą ukazania

się w roli zbitego męczennika, zapomniałem wymyślić powód wezwania.

– A, takie tam pierdoły – mruknąłem.

– Nie żeń bałacha, żeś dostał bęcki za friko – Ostry spojrzał na mnie nieufnie.

Gończkowo usiłowałem coś wymyślić. Cokolwiek. Pomyślałem, że dobrym pretekstem mogła być sprawa teatru.

– Teatr gadom nie podchodził. Mieli migawy.

– Eeee – Ostry nie spuszczał ze mnie podejrzliwego wzroku – chyba nawet sam cap wykumał tę szopkę, holownik jest za krótki. Naprawdę dostałeś bęcki za teatrzyk?

– Bo się stawiałem. Łatwo się zajeżam.

– Hmm – mruknął Ostry, ale nie powiedział nic więcej. Co do tego, że łatwo wyprowadzić mnie z równowagi nikt chyba nie mógł mieć wątpliwości. Mimo to wiedziałem, że nie wytłumaczyłem się przekonująco.

Podszedłem do zlewu i zmyłem z twarzy zbędną już krwawą maskę. Nie zastanawiając się zbyt nad tym, co robię, ściągnąłem także bluzę i podkoszulek, by przy okazji zmyć z siebie zapach potu. Gdy namydląłem tors, zauważyłem, że Ostry bacznie mi się przygląda. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że przecież nie mam na plecach żadnych siniaków, żadnych śladów bicia.

„Kurwa jego mać!” – przekląłem pod nosem swoją głupotę. Pocieszałem się tylko myślą, że Ostry nie patrzył na mnie akurat po to, by sprawdzić, czy plecy rzeczywiście są posiniaczone od bicia pałką.

Anna przysłała mi paczkę. Dziesięć kartonów papierosów, pięć dużych paczek herbaty. Spojrzałem na etykietę i wzruszyłem ramionami. Real Earl Grey. Głupia dupa mogła kupić byle co, a nie taką drogą. Czy ona myśli, że robimy tu sobie angielską herbatkę z cytrynką? Chociaż skąd ona może właściwie wiedzieć, do czego jest tu herbata? Chyba jakoś nigdy jej o tym nie mówiłem.

W paczce był też list. Rzuciłem okiem na rzędy drobnych, pisanych maczkiem literek. Nie miałem ochoty, by teraz nad nimi ślęczeć. Wsunąłem list z powrotem do paczki, między pudełka z herbatą.

– Jak ci idzie? – zwróciłem się do Wydry.

– Wciąż się zastanawiam nad koncepcją – odparł Wydra. – Zgoda, Romeo i Julia to sztuka o miłości i nienawiści, ale dlaczego musi kończyć się źle?

– Bo zawsze wszystko kończy się źle. Jakby tobie albo mnie się farciło, nie siedzielibyśmy tutaj.

Wydra wzruszył ramionami i westchnął ciężko.

– Na razie wszystko trzyma się kupy i jest prawie jak u Szekspira. Katapultka jest człowiekiem, gitem, a Monterek festem. Leżeli kiedyś w jednym więźniu. Tłukli się zdrowo i się nienawidzą. Romek jest synem Monterka, a Julka córką Katapulty. Kochają się. Znaczą mają się ku sobie. Ale ich jareccy strasznie ich za to napierdalają: że nie i nie, kurwa wasza mać, szczeniaki. Dotąd jest git.

I któregoś dnia... No właśnie. Na tym się kończy.

– Nie masz pomysłów, co dalej, tak?

– Może Julkę i Romka, jak idą po ulicy, zabija przypadkowo pijany pies albo klawisz po arbajcie, a Monterek i Katapulta zapominają o waśniach, jednoczą się w walce z wymiarem i podpalają psiarnię?

– Czyś ty oszalał? – żeby pokazać mu, co myślę o jego władzach umysłowych, sam sobie wypłaciłem potężną blachę. Fakt, może odrobinę zbyt mocno. – A kto by nam pozwolił to wystawić?

– To może inaczej: Julka i Romek rzucają się pod pociąg, a zrozpaczeni Monterek i Katapulta kończą odwieczną wojnę między gitami i festami.

– Tyś na baniak upadł? Tego się zrobić nie da!

– To już nie wiem.

– Poczekaj! A gdyby tak zmienić nieco zakończenie?

– Niby jak?

– Może to starzy się zatłuką, a Romek i Julka niech się połączą. Niezły pomysł, co?

– U Szekspira jest odwrotnie.

– To akurat nie problem. Przecież to, co wystawiamy, w ogóle tak pasuje do Szekspira, jak kwiatek do kożucha. Grunt, żeby ktoś kogoś zatłukł i będzie git. Ludzie to kupią.

– A Julek i Romka, to znaczy odwrotnie: Romek i Julka, będą się kochać?

– Coś nie gra?

Nagle twarz Wydry ożywiła się, a oczy zabłyśły.

– Czeka! Mam git pomysł! Na zakończenie Romek pokaże wszystkim, jak kocha Julkę! Cha, cha, cha! Dobrze, co? Rozumiesz?

Nie rozumiałem.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Przecież Julkę gra Maryśka. Na koniec gwizdniesz na chłopaków, podlecą, przytrzymają Mańkę i ściagną jej sztany, a Romeo robi swoje!

– Cha, cha! – roześmiałem się szczerze ubawiony, lecz nagle spowaźniałem i spojrzałem z dezaprobatą na Wydrę. – Oszalałeś? Kto na to pozwoli? Jak to proponujemy...

– ...Poczekaj, daj mi skończyć – powstrzymał mnie Wydra. – W tym cała rzecz, żeby nikomu nie mówić, że mamy taki zamiar.

– Jak sobie to wyobrażasz? – spytałem nieufnie.

– Normalnie. Tekst się kończy, sztuka się kończy i jest git. Romeo i Julia są zakochani, połączeni miłością, wypowiadają ostatnie kwestie i tylko my oraz wtajemniczeni wiedzą, co będzie dalej. Gwizd, chłopaki dopadają Mańkę i normalnie, cha, cha, cha, jest to, co ma być!

Roześmiałem się ubawiony. Pomysł Wydry naprawdę mi się spodobał. Wypłaciłem mu lekką blachę.

– Co, czego?

– Git wymózwowane!

Wydra pokraśniał z zadowolenia.

– Tylko temu ładnemu w apaszce ani mru-mru! – zastrzegłem.

– Przecież to mój pomysł, żeby trzymać rzecz w tajemnicy aż do końca – obruszył się chłopak, ale po chwili jakby zmarkotniał. Spojrzał na mnie zafrasowany. – Jak myślisz, nic nam za to nie zrobią?

– Za co?

– Za to z Mańką na scenie. To gruby przekręt.

– Tak, dołożą ci hakenkrojca. Będiesz miał piątala, a potem krawat za cwela – trąciłem go w bok. – To przecież zabawa. Gierka i nic więcej. Ty nawet nic nie musisz robić. Wystarczy, jak chłopaki zerwą Mańce sztany. Wszyscy będą wiedzieli, o co chodzi.

– Ale mimo wszystko... – Wydra spojrział na mnie niepewnie.

– Dzieciak z ciebie. Najpierw proponujesz, a potem dygasz jak baba.

– Tylko nie jak baba! – zaperzył się Wydra i zacisnął swe drobne piąstki.

Dostrzegłem jego gest. Przyznaję, wyprowadził mnie nim z równowagi.

– Co, może solo? – zawołałem odruchowo.

Chłopak zerwał się z łóżka. W jego oczach dostrzegłem dziwną mieszankę z jednej strony strachu, bo przecież zdawał sobie sprawę, że rozłoży go jednym palcem, a z drugiej – ślepej determinacji, która każdemu człowiekowi, nie bacząc na rozkład sił i kalkulację szans, każe stawać w obronie honoru zawsze i wszędzie.

Zagalopowałem się, ale słowo się rzekło. Wzdychając, uniosłem się z łóżka i stanąłem naprzeciwko Wydry, mierząc wzrokiem jego mikrą sylwetkę.

– Suchy, solo będzie. Śmigaj na kata – zawołałem.

Wydra, decydując się stanąć ze mną na parkiecie, naprawdę mi zaimponował. Stawało się jasne, że jego miękki, damski charakter twardnieje i że już wkrótce będą z niego ludzie. Skoro zdając sobie sprawę z braku jakichkolwiek szans, przyjął wyzwanie, postanowiłem nagrodzić odwagę jedynie delikatnym rozkwaszeniem wargi. Bójka zmywa wszystkie spory i zniewagi niezależnie od tego, kto wygra.

– Do pierwszej farby! – rzuciłem Suchemu, który jako sędzia stanął z boku i uśmiechając się pod nosem, patrzył na mnie i na Wydrę jak na mających stoczyć bój słońia i mrówkę.

Przyjąłem postawę. Wydra stanął naprzeciwko. Nie atakował. Obserwował mnie czujny, skoncentrowany. Żeby zbyt długo nie przedłużać tej farsy, postąpiłem krok do przodu i zamachnąłem się, celując w twarz. Odskoczył niespodziewanie. Moja pięść przeleciała mu obok ucha. Całe szczęście, że cios był markowany – nie chciałem przecież uderzyć go zbyt mocno – bo inaczej z rozpędu zatrzymałbym się na ścianie. W tej samej chwili pociemniało mi w oczach i w ustach poczułem słony smak. Zdezorientowany zamrugłem oczami. Usłyszałem okrzyki zdziwienia Suchego i kibicujących Gonza i Ostrego, a nawet Mańki. To mnie otrzeźwiło i całe szczęście, bo oto dostrzegłem zbliżającą się po raz wtóry do mej szczęki zaciśniętą pięść

chłopaka. Wystawiłem łokieć. Cios nadział się na gardę. Następnie chwyciłem chłopaka za obie ręce, zupełnie jak chwyta się zamierzając cię pobić kobietę. Dopiero teraz dotarło do mnie: mały mnie uderzył! Spojrzałem Wydrze w oczy, popchnąłem go w stronę ściany, aż się zatoczył i szykując się do ataku jak rozjuszony byk, splunąłem najpierw i rzuciłem się w kierunku chłopaka, który stęknąwszy, wpadł plecami na ścianę.

– Pierwsza farba! – zawołał Suchy, pokazując moją ślinę czerwieniejącą na podłodze.

Doskoczyłem do Wydry i zacząłem miażdżyć mu twarz szybkimi, mechanicznymi ciosami. Poczulem obezwładniające mnie z tyłu czyjeś ręce. Szarpnąłem się.

– Odcwel się od harcerza! Basta jest! Przyfarbowałeś!

– Spad, kurwa mać! Utrupię szczeniaka!

Złapały mnie kolejne silne ręce. W końcu, działając we trzech, Suchy, Ostry i Gonzo odciągnęły mnie od Wydry.

– Solo było do pierwszej farby i basta! – krzyknął Suchy.

Wydra, słaniając się na nogach – zdążył przecież zaliczyć co najmniej kilka ciosów, zanim mnie powstrzymali – rozejrzał się niepewnie.

– Basta jest. Kopsnijcie se witki – rzekł Suchy.

Wydra, wahając się przez moment, pierwszy wyciągnął dłoń. Nagle cała moja wściekłość i rozjuszenie zniknęły bez śladu. Bo co się stało? Nic. Zlekceważyłem chłopaka, a on to wykorzystał i przypadkowo mnie trafił. Właściwie powinienem być z niego zadowolony. Postępował jak prawdziwy, charakterny człowiek. Stał do walki. Wykorzystał moment. Starał się wygrać. A nawet wygrał, to on pierwszy rozkwaśił mi wargę. Kiedy to sobie uświadomiłem, znów mną zatrzęsło, ale tym razem na moment tylko, od razu wzięłem się w garść.

Uścisnąłem wyciągniętą dłoń Wydry. Fakt, może odrobinę za mocno, bo chłopak aż zasyczał, ale niech sobie nie myśli, że brak mi pary. Lewą ręką zaś wypląciłem mu blachę.

– Nie gap się i orientuj!

Ludzie parsknęli śmiechem. Dopiero teraz byliśmy prawie kwita.

– Nie, nie i nie! To absolutnie nie do przyjęcia!

Frajer w apaszcze rzucił kartki na biurko. Wymieniliśmy z Wydrą znaczące spojrzenia i ruszyłem do kontrataku.

– Przecież chyba wszystko ustaliliśmy już przedtem, prawda? – tu wstałem i oparłszy się rękami o blat biurka, nachyliłem się nad reżyserem. – Nie chcesz chyba odwracać kota ogonem, co?

– Nie, co też... Ależ skąd...

– To git – usiadłem pewny, że przestraszony pozą frajer już zgodził się na wszystko, lecz okazało się, że był to tylko jego chwilowy odruch zaskoczenia.

– Ale przecież nie tak kończy się u Szekspira.

– Słuchaj – warknąłem. – Tu nic nie jest jak u Szekspira. Widziałeś kiedyś, żeby w teatrze nawijali grypserką?

– Z tym akurat już się pogodziłem – westchnął frajer, lecz zaraz poniósł głos. – Ale przecież u Szekspira giną kochankowie, a starzy się godzą!

– A w więźniu jest odwrotnie. Giną ci, co się żrą, a ci, co kochają, żyją dalej w zgodzie. Chciałeś, żeby to było moralne i miało wartości resocjalizacyjne? To masz, czegoś chciał. I tak nikt się nie połapie, że u Szekspira jest inaczej.

– Ci, którzy znają tekst oryginału...

– Ale to jest luźna adaptacja – wpadłem mu w słowo. – Może zakończenie troszkę się różni, za to wymowa pozostaje ta sama: nienawiść jest zła i prowadzi do śmierci, a miłość jest gitna i zwycięża nad nienawiścią. Jest tak czy nie?

– Jest, ale...

– Skoro sam mi przyznajesz rację, to znaczy, że tak jest i basta. Czyż to nie piękne? – pochwyliłem plik kartek z biurka i na chybił trafił zacząłem czytać:

MONTEREK

Co, nie podchodzi ci, że feschczę?

Nie będziesz, gicie obdziargany,

Żenił bałachów o wyższości

Grypsu, bo wezmę cię na glany!

KATAPULTA

Ty, feście, chcesz mnie wziąć na glany?

Sama mi się w karmanie kosa

Otwiera, gdy feschczenie słyszę,

Choć damski głos śmiga w niebiosy.

CHÓR

Tak bój rozpoczął się okrutny,

Do krwi ostatniej, bój o życie.

Tak się reguły z zasadami

Zmagały, farbując obficie.

Nagle w tej samej, mikrej chwili

Obaj zadali kosą pchnięcia.

I Katapulta, i Monterek

Na wieki padli w swe objęcia.

– Czyż to nie piękne? – wzorem frajera spojrzałem w górę i przewróciłem oczami. – Czyż to, kurwa, nie piękne?!

– Piękne – zgodził się wreszcie reżyser. Miał przymknięte oczy. Widocznie wsłuchując się w tekst, dopiero teraz go zrozumiał. Po chwili otworzył oczy i spojrzał na mnie nieco przytomniej. – A czy mógłbyś mi to jakoś przetłumaczyć? Sens ogólny chyba uchwyciłem, ale mimo wszystko niektóre

słowa, prawie połowa, a właściwie większość, szczególnie w tych pierwszych zwrotkach, to dla mnie czarna magia.

Wziąłem kartkę i rozpocząłem tłumaczenie.

– Monterek, matka czyli przywódca festów, zdenerwował się i powiedział do Katapulty: co, nie podoba ci się, że należę do subkultury fest-ludzi? Ty, wytatuowany gitowcu, nie będziesz mi tu pleść głupstw o wyższości subkultury git-ludzi nad subkulturą festów, bo cię skopię. Gdy to Katapulta usłyszał, odparł: co, chcesz mnie skopać? Gdy słyszę gadkę festa, to nóż mi się sam w kieszeni otwiera, choć słowa i obelgi pochodzące z ust frajerów są dla git-człowieka nieważne i mu nie ubliżają. O walce jest chyba jasne. A co do reguł i zasad: reguły mają feści, a git-ludzie mają zasady.

– Teraz to zupełnie co innego! – frajerowi zabłyśły oczy. – To naprawdę jest coś! Tu jest idea! Tu tkwi przesłanie! – zatarł ręce. – No cóż, może to nie jest dokładnie tak, jak u Szekspira – na moment zmarkotniał, lecz po chwili odzyskał rezon – ale jeśli odpowiednio to zinterpretować, wydobyć z tego głębień, sens, istotę... – rozmarzył się.

– Czyli co, może być? – brutalnie przerwałem jego natchnione uduchowanie.

Zamrugał oczami i westchnąwszy, powrócił do świata konkretów, gdzie trzeba jasno i precyzyjnie odpowiadać na proste pytania.

– Może być – westchnął.

– No i git! – z rozmachem klepnałem go w plecy, aż się zakrztusił.

Wydra coraz lepiej opanowywał słownik grypserski. Gdy już dość biegle posługiwał się gwarą i wreszcie przestał mu się mylić pies ze skowymem i haukaczem (jak wiadomo pies to policjant, skowyr to pies, a haukacz, czyli papuga, to adwokat), uznałem, że pora przystąpić do bardziej wyrafinowanej nauki języka, zanim wreszcie przyjdzie czas na przyswajanie właściwej ideologii.

Poczęstowałem go papierosem. Wydra od pewnego czasu nie tylko przyjmował papierosy, by nie narażać się odmową, lecz zaczął się nawet zaciągać. Gdy paliliśmy, przepytałem z kilku podchwytliwych sformułowań, w rodzaju akowcy kołują aksamitną biżuterię (złodzieje drobiu kradną kury), krawiec kroi klientom katany (złodziej kieszonkowy przecina ofiarom odzież), klawisz wymacał buzałę wkitraną w szkic blatu (strażnik znalazł grzałkę z żyletek schowaną w stołowej nodze). Wydra miał problemy tylko z tym szkicem blatu, z resztą poradził sobie bez trudu.

– Niekiepsko już jorgasz – pochwaliłem go. – Z nawijką jeszcze deczko kulawo, ale za miech będzie git.

Wydra uśmiechnął się zadowolony.

– Skoro już jesteś taki mądry, to powiedz: czym cię zrobił ojciec? – spytałem.

– Jak to czym? – uśmiechnął się Wydra. – Kindybałem!

– Kindybałem, powiadasz – uśmiechnąłem się złośliwie. – A mnie ojciec zrobił git-człowiekiem.

Wydra aż się zakrzuszył. Łypnął na mnie wrogo i zgrzytnął zębami. Klepnąłem go w ramię.

– Nie zajeżaj się. To ulubione pytanie, jak cię będą sprawdzać. Lepiej, żebyś je znał, to nie będą się z ciebie śmiali. I lepiej, żebyś teraz pogimnastykował się przy mnie niż potem przy nich. Kapujesz czy nie?

– Kapuję – skinął głową Wydra. Z miejsca wypłaciłem mu zasłużoną blachę.

– Za co?!

– Myśl, co mówisz! Przypucowaleś się, że kapujesz! Znaczy, że chlasz, sprzedajesz, kablujesz.

– Myślałem, że chodzi o to, czy rozumiem...

– W grypsie słowo „kapować” ma tylko jedno znaczenie. Zapamiętaj to sobie. Gdybym chciał zapytać, czy rozumiesz, to jak bym powiedział?

– No, czy jorgam, kumam...

– Sam widzisz. A ja cię zapytałem, czy kapujesz, czy jesteś kapusiem. W grypserce jest jak w ruskim: dywan to nie dywan, kawior to nie kawior, krawat to nie krawat. Uważaj na takie rzeczy.

Wydra zagryzł wargi.

– Dobra, harcerz – rzekłem, częstując go kolejnym papierosem. – Dość tych gierek. Trochę pojęcia o nawijce masz, reszty dowiesz się w praniu. Pora przystąpić do rzeczy. A teraz przypuлуй się: chcesz grypsować i być człowiekiem czy wolisz zostać frajerem?

Poniewczasie zdałem sobie sprawę, że stawiając pytanie w ten sposób, w zasadzie nie pozostawiałem mu wyboru. To tak, jakbym zapytał: wolisz być piękny, młody i bogaty czy brzydki, stary i biedny? Toteż gdy odparł „chcę grypsować”, zapytałem:

– Na pewno? Czy wiesz, że grypsuje się jawnie, twardo i do krańca?

– Teraz, skoro mi powiedziałeś, wiem.

– Ale czy wiesz, co to znaczy?

– Przecież rozumiem, co do mnie mówisz.

– W porządku – machnąłem ręką. Byłem pewien, że chłopak może mieć na ten temat tylko domysły. Toteż należało najpierw wyjaśnić mu, w czym rzecz.

– Wiesz, jacy ludzie siedzą w kryminale – przypaliłem sobie papierosa i podałem ogień Wydrze. – Tylko sztywniaki się liczą. A frajerstwo jest poza nawiasem. Frajer siedzi, żałuje za grzechy i myśli o poprawie. Ale ty nie chcesz być frajerem, prawda?

– Mówiłem już, że nie.

– I nie myślisz o poprawie?

– Człowieku! – zachnął się Wydra. – O czym ty mówisz? O jakiej poprawie? Jechałem z dziewczyną, chciałem uniknąć jednego zderzenia, ale wjechałem w inny wóz, stojący na poboczu, ona zginęła, a ja dostałem pięć lat. Co mam robić, żeby się poprawić?

– Posłuchaj. Jak zaczynasz grypsować, to musisz wiedzieć, gdzie jest twoje miejsce. Wiesz, po co się grypsuje? Bo tylko razem jesteśmy silni. Psy, kaci, papugi, proroki i klawisze myślą tylko o tym, jak nas zamknąć, zgnoić i jeszcze zmusić do posłuszeństwa. Musisz zdecydować. Albo jesteś złodziej i bandzior, a więzienie jest twoim domem, albo jesteś kiepski i wymiękasz, a wtedy ludzie, grypsujący, mają cię za nic. Frajer jesteś i tyle. Człowiek, który grypsuje, dokładnie wie, kto jest jego wrogiem i z kim musi walczyć, żeby przeżyć. A klawisze, całe to pieprzone mrowisko, wiedzą o tym i muszą się z nami liczyć. Bo razem stanowimy siłę. Jak jeden samotny frajer zrobi głodówkę, to go wezmą, wsadzą mu do pyska rurę i naleją zupy jak kacze, a potem skopią tak, że nie będzie miał siły ani zdrowia zwymiotować. Jak się rzuci na szybę, to go zszyją. Ale jak to samo robi kupa sztywnych chłopaków, jak wyrzucą platerę i zaczną głodować, bo żarcie nie daje się już przełknąć, albo zbiorowo się pochlastają, dopominając się o swoje prawa, to wtedy oni krzyczą „bunt, bunt!”, ale ustępują, bo z wszystkimi naraz rady sobie nie dadzą. Tylko w ten sposób możemy walczyć z tym piekłem, które jest w więzieniu. Ludzie żyją w piekle, więc stają się diabłami. Niszczą frajerów i gwałcą wystraszonych, bo sami nie chcą być zgwałceni i wystraszeni. Bo więzienie to piekło i nikogo nie obchodzi, co się tutaj dzieje. Więc musimy mieć jakieś zasady. Coś, co będzie nas trzymać przez te lata spędzane do końca wyroku. Rozumiesz?

– Tak – odparł zamyślony Wydra. Najwyraźniej zastanawiał się nad moimi słowami.

– Te gryperskie zasady, cała więzienna gwara, jak się dobrze nad tym zastanowić, to tylko dziwactwo – ciągnąłem. – Bo co się w końcu stanie, jak powiesz do kogoś: „Mały, daj szluga”, albo jak taki cwel na przykład poczęstuje cię papierosem, kiedy chce ci się jarać? Nic. Ale jak spojrzysz na to z innej strony, to zrozumiesz, że muszą być jakieś zasady, żeby utrzymać porządek i jasno określić, kto jest kto. Frajerzy zasad nie mają i tym się od nas różnią. I nie ma znaczenia, jakie są te zasady. Że wydają ci się głupie, śmieszne, bezsensowne. Albo je akceptujesz, bo tak sprawdza się ludzi, i trzymasz z nami, a my z tobą, albo nie akceptujesz i wtedy jesteś frajerem. Kapujesz?

– Nie kapuję! – zawołał Wydra.

– Czego nie kapujesz? – spytałem wzdychając.

– Niczego nie kapuję! Nigdy i niczego!

Roześmiałem się. Chłopak, jak się okazało, był czujny i wykazał się bystrością, choć teraz bynajmniej nie bawiłem się w słowne gierki. Ot, jakoś tak odruchowo zapytałem, czy kapuje, w znaczeniu: czy rozumie. Ale nie wypadało przyznać się do przejęzyczenia.

– Jak nie kapujesz, to jesteś git! – klepnąłem go w kolano. – To jedna z fundamentalnych zasad grypserski. Kapować nie wolno, odegrać się wolno. Za kapowanie paru wolki nie doczekało. Jednego znaleźli, jak huśtał się na

linie. Drugiego z pochlastanymi strunami. Innego, co wychodził z grupą do arbajtu przy torach, wrzucili pod pociąg. Fart miał, bo mu tylko szkity odchlastało. Resztę wyroku odgarował jako inwalida. Niejednego z kosą ożenili. A i tak na końcu kapuś idzie do przecwelenia. Ten, co go tylko przecwela, może mówić, że ma farta. Ale nawet cwel, najgorszy dupodajec za szlugi, może kapusiowi napluć w baniak czy wziąć na glany. Kumasz?

– Kumam.

– A druga zasada to zakaz współpracy z administracją. Trochę wiąże się z pierwszą.

– Jasne. Skoro nie wolno kapować...

– Kapowanie to skrajność. Dla człowieka coś w ogóle nie do pomyślenia. A jeśli chodzi o współpracę, to pamiętaj: człowiek gardzi wszelkimi przywilejami i funkcjami. Znałem nawet paru takich, którzy wypięli się na warunkowe, przedterminowe zwolnienie. Chociaż to już chyba była przesada. Albo może i nie. Może po prostu nie mieli dokąd pójść, toteż łatwo im było odstawiać wielkich charakterniaków i sztywniaków – zadumałem się, ale po chwili otrząsnąłem się z zadumy i wróciłem do tematu. – W każdym razie człowieka nie zrobisz starszym celi, ani innym sługusem gadów.

– Zaraz, a ten, którego... – Wydra zająknął się i spojrzał na mnie jakby nieco przerażony własną śmiałością. – Albo ten, który teraz na jego miejsce został starszym celi, jak mu tam, Suchy. Przecież to byli ludzie, grypsujący, no nie?

– Chodzi ci o Niedźwiedzia i Suchego? Ktoś musi przecież być starszym celi. Często, jak cela jest mieszana, na funkcję wypycha się frajera, a u nas, niestety, gibają sami ludzie.

– To dlaczego nie zrobiliście starszym celi Mańki?

– Zwariowałaś?! – spojrzałem na niego przerażony. – Przecież to cwel! Jako starszy, musiałby odbierać talerze z żarciem od kalifaktora. Gdyby dotknął naszych platerów, wszyscy bylibyśmy cwelami! Ty wiesz, co się stało, gdy pół roku temu przyjęli na kalifaktora nowego więźnia? Był to cwel, który przez parę lat był na wolce, a gdy znów poszedł leżeć, udawał, że cwelem nie jest. Ale po paru tygodniach przyszedł gryps, bo ludzie chcieli go sprawdzić, co to za jeden. Gryps przyszedł z pudła, gdzie ten kalifaktor leżał ostatnio: „Pozdrówcie od nas Janka Wojdala – bo tak się skurwysyn nazywał – to bardzo miły chłopak”. To oznaczało, że był tam cwelem. Ludzie wpadli w szal, bo okazało się, że zakonspirowany cwel wydawał im żarcie. Wtedy prawie stu ludzi połknęło kotwice na ostro.

– Co połknęli? – Wydra zrobił zdumioną minę.

– Nie wiesz, co to jest kotwica? Połyk na ostro?

– Nie.

– Kotwica to sprężynujący drut. Ramiona ściska się i zakleja chlebem, połyka, kwasy rozpuszczają chleb, ramiona prostują się i wbijają w ścianki żołądka. To świństwo można usunąć tylko operacyjnie.

– O Boże!... Przecież to szaleństwo... Po co oni to połykali?

– Oni, powiadasz? My pod celką też połknęliśmy. Nawet ja. Zresztą to ja tak uradziłem, wspólnie z Oстрыm. Popatrz – rozpiąłem koszulę i pokazałem Wydrze blizny na brzuchu. – Te trzy nieregularne to pamiątka po tym, jak chcieli mnie rozgrypsować feści. Zablokowali dostęp do berła i musiałem rzucić się na okno. A ta – pokazałem czerwieniejącą jeszcze, stosunkowo świeżą bliznę – to właśnie po operacji wyciągania kotwicy.

– Ale dlaczego to zrobiliście?

– Na znak protestu, że cwel wydawał nam żarcie. Zresztą tylko w ten sposób mogliśmy oczyścić się z krzywości i uniknąć przecwelenia. Mówię ci, to było gorsze niż bunt. Karetki jeździły tam i z powrotem, klawisze mieli dyżury po parę dni bez zmruczenia oka, była wielka afera, bo cały szpital był zapchany garuchami, którzy połknęli kotwice, wozili nas nawet do sąsiednich miast.

– Ale połknąć takie coś, żeby przebić sobie żołądek?

– Tak było trzeba – wzruszyłem ramionami. – Zresztą nieźleśmy sobie użyli. Po takiej operacji leżysz sobie w wolnościowym szpitalu jak panisko, usługują ci prawdziwe dupy, pielęgniarki z prawdziwymi cyckami i pizdami. Jak się zakręcisz, to nie tylko z siostrzyczką ponawijas, ale i ogóra zakisisz. Nie takie one święte, zwłaszcza te starsze. Dostajesz dobre, szpitalne żarcie, patrzysz w niebo bez krat, po prostu raj. Warto zaprawić połyk, choćby i na ostro, żeby zrobić sobie chociaż dwa tygodnie takich wakacji. Zresztą co ty możesz wiedzieć? Posiedzisz parę kalendarzy, to się jorgniesz. Ale nie mówię, że zawsze robi się to dla idei czy na znak protestu. Czasem ludziom po prostu odbija. Nie wie taki, co robi. Jedzie wtedy mojką po strunach, połyka pałąk od wiadra albo wbija sobie gwóźdź w dudy. A czasem człowiek tak bardzo tęskni za wolką, choćby taką lipną, w szpitalu, że gotów jest połknąć nie tylko kotwicę, ale i raka, albo zrobić sobie zasypkę.

– Zasypkę? – Wydra spojrzał na mnie pytająco.

– Nasypać sobie do lipka tłuczonego szkła i roztartego ołówka kopiowego. Po czymś takim szpital murowany. Choć już niejeden przez to oko stracił.

– Kurwa! – bluznął przerażony Wydra.

Z miejsca wypłaciłem mu blachę.

– Za co?! – krzyknął.

– Przykaleczyłeś, harcerz. Kurwy nie skrańcowałeś.

– A bo to wszystko jest naprawdę popieprzone.

– Przyjrzałeś się kiedyś witkom Ostrego? Po pięć sznytów na każdej. Przyciąłeś?

– Myślałem, że to po jakiejś bójce.

– E tam! Widzisz, niektórzy w pierdlu świrują, odbija im, i wtedy to robią. Inni robią to, by wydostać się na wolkę, choćby na parę tygodni do wolnościowego szpitala. Inni znowu, bo tak trzeba. Bo mają krzywość, którą trzeba wyprostować. Albo wpadają w tarapaty, trafiają na przykład do wrogiej celi i wtedy pochlastać się i wzywać strażnika to jedyne wyjście z opresji.

A inni jeszcze robią to, by coś wymusić na strażnikach. Bo człowiek klawisza nie prosi, człowiek żąda. A honor dla człowieka to rzecz święta. Zresztą każdy sznyt to jakby order, dodatkowy punkt, poświadczenie charakterności. Jorgasz, harcerz?

– Staram się – westchnął Wydra. – Ale mimo wszystko nie rozumiem. Przecież to chyba kurewsko boli. Ileż trzeba mieć siły i samozaparcia, żeby się okaleczyć...

– Lepiej cierpieć ze swojej niż z cudzej ręki – wygłosiłem starą więzienną sentencję, szczególnie popularną wśród amatorów samookaleczeń.

Wydra patrzył na mnie zmarszczywszy brwi. Najwyraźniej intensywnie się nad czymś zastanawiał. Byłbym przysięgł, że mój wykład dotyczący samoagresji nie trafił mu do przekonania. Mimo to postanowiłem zejść z tego tematu i wrócić do gryperskich zasad.

– Jest jeszcze parę rzeczy, o których musisz wiedzieć.

Wydra jakby przebudzony z głębokiego snu zamrugał oczami i spojrzał na mnie przytomniej.

– Na przykład nie być cwelem i niszczyć cweli. To kolejna zasada. I wreszcie ostatnia z najważniejszych: człowiekowi nie wolno wykorzystywać drugiego człowieka ani ubliżać mu bezpodstawnie.

Wydra popatrzył na mnie jakoś tak dziwnie. Poczujęm się w obowiązku dodać:

– Ta ostatnia zasada to, niestety, coraz częściej tylko teoria. Weźmy na przykład takiego Niedźwiedzia. Dorobił się krzywości. Ostry uznał, że go wyprostuje, gdy Niedźwiedź da mu swoją raketę. Ale nie ma się czemu dziwić. Ostry rzadko dostaje paczki, a przecież każdy chce żyć. Mąciiciel tym bardziej. Skoro stoi na czele, musi coś z tego mieć, prawda?

– Owszem – Wydra zgodził się bez entuzjazmu.

– Dobrze. Na dzisiaj basta. Dość ci nawrzucałem do baniaka. Przekumaj to sobie, przekomaruj się z tym, a jutro ciąg dalszy.

Zabawa w teatr rzeczywiście była fenomenalnym pomysłem. Niezależnie od tego, czyja to była inicjatywa, tego frajera w apaszcze i z kolczykiem, holownika, samego naczelnika, czy też może dogadali się w tej sprawie wspólnie, zabawa ta zaczęła wypełniać sensne, monotonne więzienne dni sporej grupce garowników. Zresztą zauważyłem, że zabawa, bo tak z początku wszyscy traktowaliśmy spektakl, powoli przestawała być tylko zabawą. Zaangażowaliśmy się w Romea i Julię bez reszty. Trudno się jednak dziwić, że rzuciliśmy się na sztukę jak głodne wilki i dosłownie wypruwaliśmy z siebie flaki, chcąc, by przedstawienie wypadło jak najlepiej. Z takim samym zapałem rzucilibyśmy się na wszystko, co pozwalałoby zabijać kolejne puste godziny przedzielone śniadaniem, obiadem, kolacją, bezsensownymi wizytami u lekarza, wychowawcy czy w bibliotece, by choć na chwilę zmienić powietrze, wyrwać się z celi i pooglądać przez moment inne mordy niż te, na które do

obrzydzenia trzeba było patrzeć co dzień, mordy współtowarzyszy z pokoiku o wymiarach cztery na cztery. Ale szczęśliwców było niewielu. W próbach brało udział zaledwie kilkunastu więźniów, a byli to niewątpliwie więzienni intelektualiści, dzięki czemu doskonale się ze sobą dogadywaliśmy – może poza Kiziozem z celi Świdra, którego zaangażowaliśmy tylko po to, by Ostry i Świder mogli mieć ze sobą łatwiejszy kontakt. Ludzie ci w dodatku już na pierwszej próbie wykazali się niemałymi zdolnościami aktorskimi. Może nie prezentowali poziomu Holoubka czy Zapasiewicza, ale jak na scenicznych debiutantów byli całkiem niezli. Wydra zaś okazał się urodzonym dramaturgiem, scenografem i inscenizatorem. A nawet reżyserem, bo frajer w apasce, Jureczek pierdolony, kurwa jego mać, nie czuł, o co w tym wszystkim tak naprawdę chodzi. Bardziej przeszkadzał niż pomagał. Taki z niego był reżyser, jak z koziej dupy trąbka. Zresztą jak mógł się na coś przydać, skoro nawet dobrze nie rozumiał, o czym mówią aktorzy na scenie. Grypserska nawijka wciąż była dla niego czarną magią, choć trzeba uczciwie powiedzieć, że powoli oswajał się z więzienną gwarą. Gdyby dać mu więcej czasu, pewnie w końcu zaczęłby lepiej kojarzyć zarówno naszą gwarę, jak i zwyczaje, sęk jednak tkwił w tym, że czasu było niewiele. Ale to już był jego problem. W każdym razie jeśli jego celem miał być doktorat, trafił na dobry grunt. Chyba nie mógłby znaleźć bardziej oddanych sztuce ludzi, chociaż robili to tylko dla zabicia czasu, i na większą jeszcze pomoc w adaptacji niż moja i Wydry.

– Romeczku... – usłyszałem nad uchem. W panice zerknąłem na resztę zgromadzonych w sali i oczekujących na rozpoczęcie próby pożał się Boże aktorów. Reżyser, jak zawsze od jakiegoś czasu, miał maślane oczy, ale tym razem wyraźnie dojrzałem w nich determinację.

– Wolałbym – szepnąłem ze złością – żebyś nie zwracał się do mnie w ten sposób, kiedy w pobliżu są inni. Tu działają twarde prawa. I musisz je respektować, czy tego chcesz, czy nie.

– Przepraszam, ale ja...

Zawahał się. Najwyraźniej zanosilo się na poważniejszą rozmowę. Ale tutaj? Teraz? Wykluczone!

– Nic nie gadaj – warknąłem – ani słowa, bo nie ręczę za siebie.

– Ale powiedz mi tylko – wyszeptał, spuściwszy oczy jak panienka – powiedz mi... czy wiesz...

– Co wiem?

– Czy wiesz, co chcę ci powiedzieć...

Widziałem, że jest napięty do granic. Chociaż zrobiło mi się trochę żal tej biednej cioty, czułem, że ciekawie będzie to pociągnąć. Te wpatrzone we mnie z psim uwielbieniem oczy, te miny rozkochane i niedwuznaczne gesty, kiedy nikt ich nie widział, wywoływały we mnie dziką wręcz chęć poznać się nad nim. Nie mogłem jednak ryzykować. Zbyt nie spoufalanie się z nim mogło być dla mnie groźne.

Już miałem mu odwarknąć, że wiem, oczywiście, że wiem, kiedy zbliżył się do nas Wydra. Przed nim, przede wszystkim przed nim, nie mogłem dać poznać, że prowadzę jakąś grę z tym pedałem.

– Cichy – Wydra miał natchniony wyraz twarzy. Widać było, że bardzo przeżywa udział w tym niekonwencjonalnym teatryku. – Powiedz mi, co zrobić z ojcem Laurentym? A może wprowadzimy go, żeby tej parce pojebców dał ślub?

Uśmiechnąłem się szeroko. Rozluźniłem. Aż takiego zaangażowania z jego strony mimo wszystko się nie spodziewałem. W dodatku powiedział „parka pojebców”, nie zauważywszy, że mówi tym samym i o sobie, bo w końcu on przecież obsadzony został w roli Romea.

– Wydra, kurwa twoja mać, wiesz, coś powiedział? Wyjątkowa samokrytyka. Dobrze, że tylko ja to słyszałem. A Laurenty? Spadaj na drzewo. Sam wykumaj, czy to podchodzi.

– Dobra – Wydra zarumienił się i zagłębił w skrypcie. Na odchodnym rzucił mi jeszcze proszące spojrzenie, ale tym razem nie miałem zamiaru mu pomagać. Byłem pewien, że sam da sobie radę.

Obok mnie drżało popieprzone jestestwo smutnego pederasty, gotowe na każdy mój ruch. Poczucie, że mogę za jednym zamachem zniszczyć go lub uszczęśliwić, bawiło mnie i podniecało. Nigdy wcześniej nie czułem się tak wszechwładny.

– Wypierdalaj stąd – rzuciłem łaskawie, nie obdarzywszy go nawet spojrzeniem – wypierdalaj do holownika. I zrób tak, żeby nikogo poza tobą tam nie było. Wtedy ci powiem – schyliłem się i udałem, że podciągam skarpetki.

Moja moc była przeogromna. Byłem dla niego bogiem. Czułem to. Od kiedy wściekłem się na niego, mogłem mieć wszystko. Nie dość, że koncertowo wywiązywał się z umowy, przynosząc na próby w swej dyplomatce fajki i po dwa litry spirytusu, który przelewałem do podwieszzonego na szyi foliowego rękawa, to jeszcze podsyłał mi paczki, których zawartość przekraczała wszelkie oczekiwania. Nikt, nawet Anna, nie przysyłał mi nigdy takich rakiet. Przeżyłem szok, kiedy między jednym a drugim tekturowym dnem pudła znalazłem erotyczne świerszczyki. Pedalskie, rzecz jasna.

Wiedziałem jedno. W ręce wpychało mi się coś, co było stuprocentową Mańką, ale różniło się od niej zasadniczo. Mańka była Mańką z konieczności, nie z wyboru. A to coś – pachnące, dobrze ubrane, dziane, rozedrgane – czekało na każde moje łaskawe skinienie. Gotowe. Chętne. Zakochane. A ja? Mnie nie robiło żadnej różnicy. Sytuacja była, jaka była. Nie miałem wyboru, a potrzeby i owszem. Zawsze byłem nienasycony, korzystałem z cweli częściej niż ktokolwiek. A jak coś samo lezie w łapy, to nie ma sensu ani czasu rozmyślać nad tym, co to jest i jak się nazywa. Tu i teraz miałem wspaniałą okazję wyżyć się jak nigdy od co najmniej pięciu lat i nie zamierzałem z tego rezygnować.

Rozejrzałem się. Frajera już nie było. Garownicy-aktorzy z uwagą słuchali tego, co Wydra im wykładał. Chrabąszczyk miał charyzmę. Tylko zrobić zdjęcia min starych garuchów chłonących każde słowo noworodka na ameryce! Uśmiechnąłem się. Nagle poczułem szturchnięcie w plecy.

– Cichecki! Rusz się!

Odwrociłem się gwałtownie. Ujrzałem przed sobą strażnika, Buraka.

– Co jest?

– Do psychologa.

Wyraźnie widziałem, że strażnik nie jest zadowolony. Był tu sam, a odprowadzając mnie do głupka, musiały spuścić z oczu resztę. Do niedawna pilnowali nas we dwóch, razem z Pipą, ale Pipa gdzieś się ulotnił.

– Sam trafię – zaproponowałem.

Burak obrzucił mnie uważnym spojrzeniem. Nie ufał mi, ale chciał wyczytać z moich oczu, że mimo wszystko nie wykręcę mu żadnego numeru. Nie miałem zamiaru niczego mu ułatwiać. Mnie tam nikt nie idzie na rękę, więc niby dlaczego ja miałbym? Obdarzyłem go drwiącym spojrzeniem. Ale zaryzykował. W końcu to tylko jeden więzień i przejście kilku metrów po korytarzu, od drzwi do drzwi. Wolał puścić mnie samego niż pozostawić bez opieki kilkunastu chłopu. Recydywy. Ryzykowałby wyrzuceniem na pysk.

– Idź – rzucił, otwierając zamek ze zgrzytem.

Przez chwilę stałem sam na korytarzu. Sam. Byłem wolny. Wbrew pozorom. I tylko przez moment. Mogłem wrócić do świetlicy albo bez słowa, albo mówiąc, że są jakieś zmiany w scenariuszu. Mogłem też zdecydować się, wejść do pokoju holownika i popastwić się nad zakochanym palantem... Przez chwilę miałem swoją kilkusekundową wolkę.

Szarpnąłem klamkę. Drzwi ustąpiły z cichym wizgiem. Znajome wnętrze zdało mi się nieco odmienione. Przy zakratowanym oknie majaczyła sylwetka. Na dźwięk otwieranych drzwi facet drgnął. Odwrócił się.

– Romku... – usłyszałem.

Nie pozwoliłem na więcej słów. Dосkoczyłem do niego. Za mną trzasnęły drzwi. Próbował mnie objąć. Złapałem go za nadgarstki i spojrzałem w twarz.

Luźne, więzienne spodnie nabrzmiały pożądaniem. Wiedziałem, że teraz, wbrew wszelkiej logice, spełni się to, o czym marzyłem przez te wszystkie więzienne lata. Teraz, właśnie teraz będę miał wszystkie moje kobiety naraz. W jednej chwili najpiękniejsze elementy każdej z nich, te elementy, które składały się ostatecznie na jeden ideał – tym ideałem się stały. Złazy się w jedno, które teraz, już za chwilę, będzie całkiem i tylko moje. Nie będę szukał fragmentów w wielu. Będę miał całość. Nareszcie.

Żelazny uścisk na nadgarstkach sprawił, że frajer upadł na kolana. Ułamek sekundy wystarczył, żeby mój spęczniały wspomnieniami, wyobrażeniami i tłumionymi pragnieniami fiut znalazł się w jego ustach. Jęknął. Wiedziałem, że spełniłem część jego marzeń. Bardzo musiałem się starać, żeby na tym się nie skończyło. Wiedziałem, że tylko autentyczny finał mnie uspokoi. A czego

chciał on? O to nie dbałem.

Był delikatny. Umiejętnie i z czułością doprowadził mnie do momentu, kiedy byłem prawie gotów.

Złapałem go za rękę. Podniosłem. W jednej chwili leżał wypięty na biurku holownika. Scena jak malowanie. Przypomniały mi się jego słowa: „Pokazałeś mi się od innej strony. Wspaniale wyrażasz emocje. Rola pójdzie ci wyśmienicie”.

Wdarłem się w niego brutalnie, bezceremonialnie, gwałtownie, bez żadnych wstępów. Nie zważałem na protesty, jęki, słowa, prośby. Czułem opór, ale im mocniej napierałem, tym bardziej opór ten łamałem. Zwiniętą w pięść dłoń wpakowałem do ust, by nie krzyknąć, kiedy kończyłem. Poczułem smak krwi. Dopiero wtedy się ocknąłem. Dopiero wtedy sprzed oczu ulotniły mi się twarze tych, które kiedyś... a teraz... teraz już nie...

Zobaczyłem odrapaną, białą szafkę, biurko i białe, wypięte dupsko. Zapiąłem spodnie.

– Masz, czego chciałeś. A teraz wara ode mnie i ani słowa, bo zabiję. Nie mam nic do stracenia i dobrze o tym wiesz.

Nie czekałem na odpowiedź. Szybko wyszedłem i wróciłem do świetlicy. Przy drzwiach czekał na mnie Wydra z pytaniami dotyczącymi sztuki. Po raz kolejny dzisiaj poczułem się jak bóg.

Gdy jak zwykle o dziesiątej zgaszono światło, sięgnąłem po foliowy rękaw ukryty pod materacem.

– Niekiepsko ma fachura: zajara, zakira i zakisi ogóra – rzuciłem na głos więzienną sentencję. – No, złodzieje, za zdrówko fachury-aktora. Kopsać kubany, zakiramy twardego. Frajer reżyser postawił.

Szczęknęły sprężyny łóżek, po podłodze zatupały bosc stopy. Po chwili wszyscy – rzecz jasna, z wyjątkiem Mańki – stali już przy stole. Ponieważ taborety wywędrowały za drzwi wraz z poskładanymi w kostkę ubraniami, party musiało odbywać się na stojąco. Ale nie można było inaczej. Stół, czyli blat, miał swą symbolikę. Jednoczył, bratał, scalał, choćby nawet nie było na czym siedzieć. Wydra również stanął przy stole z naszykowanym kubkiem. Na jego widok Ostry fuknął:

– A ty tu za czym, cycu?!

– Zhaltuj szamot, Ostry! – warknąłem. – On ma takie samo prawo jak my!

– To cyc, a nie człowiek – upierał się Ostry. – Git, nasyp mu w kuban, ale niech kira na koju, nie przy blacie.

– Gdyby nie on, nie byłoby kirania. Prawie sam robi ten teatrzyk – odparłem. – Zresztą o co biega? Nawijać już umie jak człowiek, charakterny jest, sztywny, witkami macha, nie chla i w ogóle jest git.

– To może go sprawdzim?

Spojrzałem na Wydrę. Czy już był gotowy, aby stać się człowiekiem? Upłynął zaledwie miesiąc. Z pewnością nie przekazałem mu jeszcze wielu ważnych rzeczy.

Chłopak tymczasem wyprężył się i zaczepnie spojrział na Ostrego. Przestraszyłem się. Bałem się tego egzaminu chyba bardziej niż on, mimo że to on by ryzykował, nie ja. To on miał wiele do stracenia, gdyby coś poszło nie tak. Żeby zyskać na czasie, a może by puścić sytuację w niepamięć, zdobyłem się na wymuszony uśmiech i sztuczną wesołość.

– My se nawijamy, a twardy paruje. Kopsać kubany! – potrząsnąłem trzymanym w dłoniach foliowym rękawem, w którym zabulgotał spirytus.

– Recht – mruknął Ostry, podstawiając swój kubek. – Wpierw zakirajmy.

Nalałem pierwszą kolejkę. W kubku mieściła się dokładnie ćwiartka. Ostry, Suchy, Gonzo, ja i Wydra – to razem litr i ćwiartka. Z dwóch litrów pozostawały na następną kolejkę trzy ćwiartki, ale stanowiły raczej premię dla najwytrwalszych. Po więziennej abstynencji ćwiartka spirytusu, czyli pół litra wódki na głowę, to było aż nadto.

Nalewając Wydrze, dyskretnym gestem dałem mu znać, by się oszczędzał. Jeżeli nie zapomną o egzaminie, niech ma chociaż nad nimi przewagę, pozostając bardziej trzeźwy. Nie wyglądał bowiem na kogoś, kto ma zaprawę w piciu, a tym bardziej w piciu spirytusu.

Wypiliśmy po pół kubana.

– Git kira – wykrztusił Gonzo przez ściśnięte, sparzone spirytusem gardło. Z oczu popłynęły mu łzy.

– Kuken! – roześmiał się Suchy, pokazując Gonza palcem. – Huknął w rynnę jak frajer! – ale umilkł natychmiast, bo w kącikach oczu Ostrego również pojawiły się łzy.

– Przytnijcie harcerza – szybko zmieniłem temat. – Wykirał i nawet się nie skrzywił.

– Cichy, kopsnij deczko Mańce – mruknął Ostry – niech se też twardego zakira. – I dodał ciszej: – Bo jeszcze chlać jej strzeli do dekla.

Podszedłem do łóżka, na którym leżała Mańka.

– Jak chcesz zakirać twardego, to kopsnij kuban.

Maryśka, uszczęśliwiona nieoczekiwaną propozycją, zerwała się z łóżka i wyciągnęła do mnie rękę z kubkiem. Ostrożnie, by nie dotknąć cwelowskiego naczynia, wlałem jej niecałe pół kubka.

– Dzięki – mruknęła.

– Będziesz dziś lepiej druty ciągnąć.

Mańka tylko popatrzyła na mnie spode łba, ale nie odezwała się. Przechyliła kubek i wypila spirytus jednym haustem.

– Co będziemy tak stali przy tym blacie jak kindybały jakieś – rzekł Ostry, gdy wróciłem do stołu. – Klapnijmy u mnie na koju. Zajaramy jak ludzie – wyciągnął paczkę popularnych i wziął się do częstowania. Poczęstował nawet Wydrę. Całe szczęście, że nauczyłem go palić.

Spirytus zaczął robić swoje. Sam nieźle go już poczułem, choć od kilku dni ćwiczyłem picie po kryjomu, gdy frajer przyniósł pierwszą partię. Wypijałem sobie na wieczór po setce i zasypiałem jak dziecko. Zaprosiłem ludzi na picie

tylko dlatego, że miałem ochotę wreszcie porządnie się uwalić. Bo co za przyjemność z picia po setce i tylko na noc, cichcem, ostrożnie, żeby nie było czuć alkoholu. A w grupie zawsze raźniej. I ozór można wreszcie rozpuścić, i wyluzować się jak należy.

Trzymając kubki w dłoniach, usiedliśmy na łóżku Ostrego.

– No, to na drugi szkit! – zawołałem ochoczo i wychyliłem resztę spirytusu. Za moim przykładem poszli pozostali. Tylko Wydra, pomny moich zaleceń, ledwie pociągnął małego łyżeczka.

– Kurwa jego mać – westchnął Gonzo. – Dawno nie kirałem twardego.

– A ty w ogóle kiedyś go kirałeś? – uśmiechnąłem się złośliwie. – Dynksa kirałeś tylko, ty obszcymurze.

– Ty, kurwa jego mać, ty, inteliget. Eą! – wściekł się Gonzo. – Masz migawy?

– Luzuj się, Gonzo – upomniał go nieco bełkotliwie Ostry. – Cichy stawia, to zhaltuj szamot.

– A co? Zło... dziej nie s-stawia, bo nie prze... prze-tego... przewrócił – ćwiartka spirytusu z minuty na minutę robiła na nim coraz mocniejsze wrażenie.

– Borys Polewoj? – podniosłem wzrok na Ostrego.

– Polewoj! – zgodził się Ostry.

Rozlałem pozostałe prawie trzy ćwiartki na czterech. Kubek Wydry ominałem z premedytacją. Też mi nieźle szumiało w głowie, ale nie na tyle, by odmówić sobie kolejnej porcji. Policzyłem: prawie czterysta gram twardego na twarz. To już było coś. Mnie – po parodniowej zaprawie i przy odpowiedniej masie – dawało to nieźle w czub, ale nie rozwalało. A tymczasem tamci najwyraźniej mieli dość. Długa abstynencja i mikra budowa robiły swoje. Uśmiechnąłem się ze złośliwą satysfakcją: padną na ryj, zanim zdążą pomyśleć o egzaminowaniu harcerzyka. Gdy jednak spojrzałem na Wydrę, zdałem sobie sprawę, że na nic moje fortele. Chłopak, choć ledwie umoczył mordę, zaczynał wymiękać. Miał maślane oczka i w ogóle wyglądał, jakby dostał obuchem w łeb. Dyskretnie się przechyliwszy zajrzałem mu do kubka. Z pierwszej kolejki miał w kubanie co najmniej połowę. Ale widocznie i to przy braku zaprawy w picciu musiało mu wystarczać.

– Nie chlaj więcej – szepnąłem mu.

– Ja, kurwa twoja mać, nie chlam! Nie kapuję! Nigdy i nigdzie! – krzyknął znienacka Wydra, patrząc na mnie cokolwiek nieprzytomnym wzrokiem.

– Git człowiek – wzruszył się Suchy. – Nie k-k-kapuje...

– Pierdol się – szepnąłem Wydrze i boleśnie ścisnąłem go za ucho, aż zasyczał. – Nie pij więcej, bo już masz dosyć.

– Co... co, kurwa... – zabełkotał Wydra. Wypłaciłem mu potężną blachę. Może trochę przesadziłem, bo aż zmiotło go z łóżka na parkiet. – Za... za co?... – wystękał, gramoląc się z podłogi.

– Za darmo! – warknąłem, pochylając się nad chłopakiem. – Przykaleczyłeś.

Nie skrańcowałeś. Jak chcesz zdać egzamin, to idź zhaftować biżuterię, potem waser na baniak, a dopiero potem, kurwa twoja pierdolona matka, możesz przyśmigać między ludzi. No już! A może chcesz, żeby od razu zrobili z ciebie cwela?!

Wydra spojrział na mnie jakby przytomniej i chwiejnym krokiem powlókł się w stronę bardachy.

– Nieeee sz-sz-szamaaać... – przeciągle westchnął Gonzo, słysząc odgłos spuszczonej wody. – Tfu, kurwa – splunął.

– Gonzo, czego kaleczysz? – mruknąłem.

– Ęą... ty ęą... ja ci, kurrrwa... ja ci... – Gonzo machnął ręką i wbił wzrok w podłogę. Powoli przestawał kontaktować. Postanowiłem to wykorzystać. Ten skurwysyn zawsze działał mi na nerwy.

– Ostry, ja bym Gonza spuścił do wora. Obszczymur kaleczy nawijkę. Już nikt, kurwa twoja mać, nie przyuważa skrańcować. Strzelają kiepską nawijkę jak rekiny.

– Eppp... – beknął Ostry. Też powoli dochodził do stanu rozkładu.

Głowy Suchego, Gonza i Ostrego kiwały się jak wahadła. Szybko wypity spirytus działał jak burza. Rozkładał ich z minuty na minutę. Ja zresztą też czułem, jak powoli odpływam. Ale żadnych sensacji. Wszystko pod kontrolą. Przyjemne ciepło. Lekkie kołysanie. Euforia. Moc. Siła. I jednocześnie powolne wyciszenie. Coraz mniej obchodziło mnie to, co działo się wokół. Powoli wszystko przestawało być ważne. Ważny byłem tylko ja. Ja sam.

– Coś wam powiem, ludzie – oczyma duszy ujrzałem się pośród palm, na słonecznej plaży, otoczony ciemnoskórymi dziewczynami. – A ja na pierdoloną Majorkę czy Hawaje, a może Haiti, i tak, kurwa wasza mać, pojadę. Jak pragnę wolki mojej jedynej.

Rozejrzałem się niczym Cezar po przemowie do swych wiernych żołnierzy. Ale nikt mnie chyba nie słuchał. Z bardachy dobiegł po raz wtóry odgłos spuszczonej wody i rozległy się ciężkie kroki. To Wydra z załzawionymi oczami i zmiętą twarzą, po wyrzyganiu się, powoli zmierzał do zlewu. Rozległ się szum wody, usłyszałem głośne parskanie i po chwili ujrzałem Wydrę z głową ociekającą wodą. Szeroko rozstawionymi palcami zaczesał mokre włosy i ciężko usiadł na łóżku, sadowiąc się między mną a coraz niebezpieczniej kiwającym się Oстрыm.

– Jak ci? – spytałem go.

– Git... – wystękał Wydra.

– Popatrz – dyskretnym ruchem pokazałem mu przysypiających kompanów – mają już dość. Zaraz pójdą kimać.

– To co, nie będzie egzaminu? – spytał Wydra.

Na dźwięk słowa „egzamin” Ostry powoli, niepewnie uniósł zwieszoną głowę.

– Egzamin dla chrańszczyka... – potoczył nieprzytomnym wzrokiem. – Nawijacie o egzaminie?

– Nie, nikt nic nie nawijał – odparłem. – Cweluj kimać, Ostry.

– No i git – westchnął Ostry i nie bacząc, że impreza wciąż jeszcze trwa i że prawie wszyscy oprócz Mańki siedzą na brzegu jego łóżka, zwałił się na kołdrę.

– Gooonzo, Su... Suchy! – zawołałem. Język też zaczynał mi się plątać.

– Czego, k-k-kurwa t-twoja... – ocknął się przytomniejszy nieco Suchy.

– Wy... wypierdalaj na kojo.

– I chu, kurw... – Suchy ledwo zwałił się z łóżka Ostrego i chwiejąc się na nogach, w końcu dotarł do swojej pryczy. Zwałił się na pościel i natychmiast zachrapał.

Pozostało tylko spławić Gonza, który najzwyczajniej w świecie spał na siedząco.

– Gonzo – szarpnąłem go za ramię. – Gonzales!

Na nic jednak zdały się wszelkie próby obudzenia go. Wydra po rzyganiu doszedł już do siebie, kazałem mu więc chwycić Gonza za nogi, sam złapałem obszcymura pod pachy i zanieśliśmy go do koja. Ponieważ Gonzo spał na pięttrze, na górnym łóżku, uznałem, że wrzucanie go na górę byłoby zbędną przesadą i nadmiarem wysiłku, toteż złożyliśmy go po prostu na podłodze. Na odchodnym porządnie kopnąłem skurwysyna w żołąd i w nery. Nigdy go nie lubiłem. Gonzo tylko stęknął. Nawet się nie obudził. Jego spirytusowe znieczulenie tak mnie podochociło, że miałem ochotę na serio wziąć go na glany, ot, choćby skopać mu mordę, i już-już się do tego zabierałem, ale nagle poczułem, że ktoś mnie odciąga do leżącego jak kłoda Gonza. Był to Wydra. Ciągnął mnie za ramię.

– Zostaw go, Cichy. Idź spać. Też masz dosyć.

– Czego się przypierdalasz! – mruknąłem i usiłowałem kopnąć Gonza w zęby, ale zachwiałem się – to jeszcze pamiętałem – i omal nie przewróciłem. Na szczęście Wydra zdołał mnie podtrzymać.

– Cichy, idź kimać!

– Gdzie moja kosa? – rozejrzałem się bezradnie. – Ożenię mu kosę. Flaki mu wypruję.

– Dobra, dobra, wyprujesz mu jutro, a teraz idź kimać.

Pamiętam jeszcze tylko, że ktoś – pewnie Wydra, a może nie – chwycił mnie z tyłu. To jeszcze zapamiętałem. Myślałem, że chcą mi nasmarować styję maryską i zgwałcić, toteż odruchowo sięgnąłem po nóż. Wymacałem go w materacu. Był na swoim miejscu. Poczułem pod palcami chłodną stal i wówczas film urwał mi się do reszty.

Obudziły mnie hałas, krzątania i podniesione głosy.

– Ostrożnie! Za nogi!

– Kurwa, cały mundur popaprałem!

– Do raportu stanieta za tom wódkę!

Otworzyłem oczy. Strażnicy, Jan bez Głowy i Burak, stali przy łóżku Wydry.

Zobaczyłem, jak chwytają chłopaka pod ramiona i za nogi, a potem, stękając, wynoszą bezwładne ciało z celi.

Poderwałem się z łóżka. Ostry i Suchy spali jak zabici. Za to Mańka i Gonzo stali przy drzwiach i coś szeptem mówili. Podeszedłem do nich.

– Co tu się dzieje?!

Mańka obrzuciła mnie błędnym wzrokiem. Była roztrzęsiona. Głos jej się łamał.

– Szłem do kibla i poślizgłem się. Na podłodze kałuża krwi. Patrzą, a to harcerz.

Jak przez mgłę przypomniałem sobie, że zanim zmógł mnie spirytus, Wydra coś do mnie mówił, chciałem dołożyć Gonzowi, Wydra chciał mnie powstrzymać, potem sięgnąłem po nóż...

Z wrażenia aż zaschło mi w gardle. Jezu, zabiłem chłopaka – przemknęło mi przez myśl. A potem przetoczyła mi się przez głowę cała lawina innych myśli: dołożą mi odsiadki za zabójstwo, lubiłem szczeniaka, po cholere tyle piłem, zwierzę jestem, ostatni skurwysyn, jak się z tego wywinąć, co gadom powiedziała Mańka...

– Co im powiedziałaś?! – po raz pierwszy od dawien dawna zwróciłem się do Mańki nie jak do kobiety.

– A co im miałem powiedzieć? Jak zobaczyłem kałużę krwi i chłopaka z podejrzanymi strunami, siadłem na klapę i gady przybiegły. Zaczęli niuchać i mówią, że wódą śmierdzi. Ode mnie akurat nie jechało, bo wypilem przecież tylko na ząb, ale Gonzo wstał, podeszedł, a od niego to było czuć, to się do niego dopieprzyli.

Zaraz! – uświadomiłem sobie nagle – co on powiedział? Wydra z podciętymi żyłami?!

– ...i pytają: a wódka skąd, a co, a jak...

– Czekaj! – przerwałem Mańce. – Jak powiedziałaś? Miał podcięte żyły?

– Przecież mówię. Pojechał sobie po strunach.

– To on nie był posunięty kosą?

– Kosą? A skąd! Podciął sobie żyły kawałkiem szkła.

Zbaraniałem. Przestałem z tego cokolwiek rozumieć. Myślało mi się zresztą nad wyraz ciężko. Łeb bolał, męczył kac, spirytus też pewnie jeszcze ze mnie nie wyparował, ale zrozumiałem najważniejsze: jeśli chłopak podciął sobie żyły szkłem, to znaczy, że nie ja go zabiłem. Odetchnąłem z ulgą.

– I co z nim? – spytałem Mańki.

– Był nieprzytomny. Ale chyba żył, bo jak go nieśli, to leciał im przez ręce. Sztywny nie był, to żył.

– Co ty tam wiesz – mruknąłem, słysząc te brednie.

– Swoje wiem – odcięła się Mańka. – Dobrze, że poszedłem się wyjulać i że się poślizgłem, bo do pobudki wykrwawiłby się na amen.

– Która to może być godzina?

Mańka spojrzała za okno. Na nocnym niebie jaśniały pierwsze pasma

brzasku.

– Do pobudki jeszcze daleko. Będzie po piątej.

– Cholera, trzeba było na noc otworzyć okno, toby się tak tą gorzałą nie nasyfiło.

Gonzo spojrział na mnie krzywo.

– Na mnie wszystko poszło.

– No i git – obrzuciłem obszczymura krzywym spojrzeniem. – Kiraleś? Kiraleś. I jeszcze mi, kurwa twoja mać, wiąchy puszczałeś. A o goudę nie pytali?

– Pytali.

– I coś im nabałakał?

– Przyżeniłem kitu, że kupiłem. Kurwa jego mać – westchnął – jak mnie baniak napierdala...

– To weź schnij.

Gonzo wzruszył ramionami i powlókł się do łóżka. Tylko Maria stała jak kołek, nie wiedząc, co ze sobą zrobić.

– Słuchaj, Cichy...

Podniosłem na nią zdumiony wzrok. Czego ten cwel jeszcze ode mnie chciał? Przecież Mańka doskonale zdawała sobie sprawę, że nienawidzę cweli. Potrzebuję, nawet częściej niż inni, ale nienawidzę.

– Czego? – warknąłem.

– Jak myślisz, on z tego wyjdzie?

Zerknąłem na kałużę krwi. Sporo tego było. Wiem, doskonale wiem, że w zwykłych wypadkach pochlastańcy najpierw puszczają trochę farby do jakiegoś naczynia, potem mieszają z wodą, leją to na podłogę, mażą ściany, dzwonią po strażników i kładą się na koju, udając, że zemdleli z upływu krwi. Wtedy tej juchy pomieszananej z wodą jest od cholery i ciut-ciut. Tyle że w słońca z trudem by weszło. Stare numery. Ale mały, mały chyba nie robił numerów. Pociął się spokojniutko, po cichutku. A krwi było prawie tyle, jakby mieszał z wodą. Tylko dlaczego to zrobił? O co mu, do cholery, chodziło? Przecież wszystko szło tak dobrze, integrował się, powoli stawał się człowiekiem, a w dodatku znalazł sobie dobre zajęcie z tym teatrykiem. Dlaczego gnojek pojechał sobie po strunach? Gdyby siedział dłużej, rok, dwa, trzy, to rozumiem. W pudle każdemu prędzej czy później odbija palma. Człowiek ma dość i nie wie, co robi. Ale on? Tu i teraz? W dodatku mając zajęcie? Wrażliwy? Niegłupi? Dusza artysty?

– Wyjdzie? – głos Mańki sprowadził mnie na ziemię.

– A co to ja, prorok jestem? – warknąłem. – Nie wiem. Może wyjdzie, może nie. Ale lepiej gdyby wyszedł – westchnąłem.

– Polubiłem tego szczeniaka – powiedziała Mańka.

Podniosłem na Mańkę zdumione oczy. Ach, ty pierdolony cwelu! – pomyślałem. Polubiłeś? Gównno to kogo obchodzi. Wyartykułowałem swe myśli na głos.

- Polubiłeś? To wiesz co? Spadaj na chuj! Bo gównu kogo obchodzi.
 - Cichy... - Mańka wpadła mi w słowo i spojrzała jakoś tak dziwnie.
 - Czego chcesz, parowo?!
 - Inaczej gadałeś trzy lata temu. Pamiętasz?
- Pamiętałem. Nawet się wtedy przyjaźniliśmy.
- Wtedy byłeś człowiekiem.
 - Teraz też jestem.
 - Nie. Teraz jesteś cwelem. Parówą. Nikim.
 - Za co ty mnie tak nienawidzisz?

Może właśnie za to, że kiedyś się z tobą przyjaźniłem, pieprzony cwelu! - przemknęło mi przez myśl. - Że z człowieka, git człowieka i kumpla, stałeś się parówą. A parowy trzeba gnębić. Bo zawsze tak było, jest i będzie. Bo na tym polega podział na ludzi i frajerów, ludzi i cweli.

- Za co cię nienawidzę? Za to, czym jesteś!
- Przecież to wyście zrobili ze mnie cwela. Dałem wam wtedy te papierosy. Dałem, kurwa mać, dałem! - rozdarł mordę.
- Stul szamot!
- Bo co, skopiesz mnie? Proszę bardzo. Ale oddam ci. Tym razem ci oddam. Zrobimy uczciwe solo. Tamci śpią i mają wszystko w dupie. Albo wiesz co? Przecwelię cię. Chcesz? Zobaczysz, jak to fajnie być cwelem.
- Nie zbliżaj się! - ryknąłem wielkim głosem.
- A co mi zrobisz?
- Załatwię cię jak Niedźwiedzia. A oni potem cię powieszają. Nikt cwela nie pożałuje.

To poskutkowało. Mańka wiedziała, że ze mną nie ma żartów.

- Cichy - powiedziała zrezygnowana - ja wiem. Wszystko wiem. I rozumiem. Zobacz. Spójrz sam. Wytrzymuję w tym piekle. Jeśli chcecie, daję dupy. Liżę wam. Bo tak robią cwele. Kurwa twoja mać, popatrz, jaki ze mnie cwel? Przecież garuję za gwałt. Choć chce mi się wyć, nie siadam na klapę.

- A spróbowałbyś tylko usiąść!
- Cichy, a co byś zrobił na moim miejscu?

Spojrzałem na niego kompletnie zaskoczony.

- No tak - powiedział. - Dokładnie tak, jak słyszałeś. Co byś zrobił, gdybyś był na moim miejscu? Bo zawsze możesz być. Byłem człowiekiem. Tak jak ty. A ty zawsze możesz zostać cwelem. Tak jak ja.

- Nie wiem, co kombinujesz - warknąłem - ale jeśli chcesz mnie przecwelić, to złamię ci kark. Zgoda. Może nawet zdążysz mnie przecwelić tak, żeby to wszyscy zobaczyli. Ale zapłacisz za to życiem. Twoim pierdolonym, nic niewartym życiem cwela. I twoją wolką. Bo jak wyjdiesz żywy, możesz nie być cwelem. Możesz rąbać laski, jeśli chcesz. Ale jak tylko wrócisz do pierdła, znów wszyscy będą żądać twojej dupy. Cwelem w pudle jest się do krańca. Chyba o tym wiesz.

- Nie trafię do pudła. Choćby dlatego, że taki sam ze mnie cwel, jak

z ciebie. Ty jesteś inteligentny gość. I powinieneś rozumieć.

– A co tu ma do rzeczy inteligencja? – obruszyłem się.

– Pomyśl, Cichy, pomyśl. Jak byś się czuł na moim miejscu?

Przez chwilę zacząłem to sobie wyobrażać, ale wyobrażenie było zbyt koszmarne, by to kontynuować.

– A odpierdol się ty ode mnie, parówo.

– I to wszystko, co chciałbyś mi powiedzieć?

– Wszystko! I spadaj na chuj!

Mańka spojrzała na mnie jakoś tak dziwnie.

– Chciałbym, żeby ten chłopak przeżył.

– Wypierdalaj schnąć! A może chcesz walnąć audiencję?!

Mańka bez słowa odwróciła się i poszła do swego łóżka. To o audiencji to była czcza pogrózka. Seks z cwelem był chyba ostatnią rzeczą, o której w tym momencie mógłbym marzyć.

Gdy położyłem się na swym łóżku, jakoś tak automatycznie sięgnąłem do penisa. Zamknąłem oczy i spróbowałem wyobrażać je sobie po kolei. Monika, od brzegu do brzegu pełna miłości, wierna rzeka, której wilgotna otchłań czekała na mnie na dworcu Warszawa-Powisłe... A potem... Kurwa, pamiętałem, jak wyglądała, ale nie potrafiłem przypomnieć sobie jej imienia, a potem ta od szachów, szachowe mistrzostwa Polski, i jak kochaliśmy się podczas burzy na wiślanej skarpie w Płocku, pioruny waliły w wodę, a ona wyła z rozkoszy jak suka, ale jej imię też zagubiło się w mroku niepamięci... A potem ta, no, jak jej tam, Ewa. Nie. Ewelina. Dziewiętnastoletnia porno modelka. Studentka pierwszego roku polonistyki. Nie wiem, czy skończyła studia. Trochę pisała. I chyba nieźle się znała na literaturze. Ale przy jej doskonałym ciele, ruchach, naturalnym pożądaniu wszelkiej perwersji – studia chyba nie były konieczne. I tak lepsza byłaby z niej dziwka niż nauczycielka polskiego. A potem...

Nie. Nic nie pomagało. Wciąż na pierwszy plan wysuwały się białe pośladki Jureczka. Reżysera-doktoranta. Fundatora spirytusowej libacji. Tak jak wówczas, wchodząc w niego, miałem je wszystkie, tak teraz, kiedy znów usiłowałem mieć je wszystkie, w wyobraźni pojawiał się tylko on.

Przestałem dręczyć biednego kapucyna, wiedząc, że i tak nic z tego nie będzie. Pozostały mi niespełna dwie godziny snu. Łeb łupał jak oszalały. W ustach piekielna suchość. W myślach pustka. I niepokój o Wydrę. Po co to zrobił i czy z tego wyjdzie?

Cóż było robić? Położyłem się spać.

Tego ranka dzwonek obudził tylko mnie i Mańkę. Obudziłyby może jeszcze Wydrę, który też wypił niewiele, ale chłopak teraz pewnie był w jakimś szpitalu. Jeśli przeżył. Bo jeśli nie, leżał w zimnej kostnicy z tabliczką u nogi.

Postanowiłem jeszcze poleżeć przez chwilę. Mańka za to poczuła się w obowiązku zwlekać nas wszystkich z łóżek. Nie było to łatwe zadanie. Nie

mogła na przykład śpiocha potrząsnąć. Dotknięcie przez cwela groziło przecweleniem. Mańka mogła więc liczyć tylko na siłę i sugestywność swego głosu.

– Wstawaj, chuju! Ty parówo w mordę szlojona!

Usłyszawszy głos Mańki, która wypowiadała tę kwestię, natychmiast otworzyłem oczy. Mało tego: podniosłem się szybko na łokciach, by zobaczyć, kogo Mańka w ten sposób budzi. Nie mogłem uwierzyć własnym oczom: Mańka stała nad łóżkiem Ostrego i wyzywała go od parów.

– Mańka, odjechało ci?!

– Cichy, odpierdol ty się ode mnie! Chuj jesteś i tyle!

– Co?! – aż wstałem z łóżka. – Co, ty cwelu?! Powtórz, bo chyba się przesłyszałem!

– Nie przesłyszałeś się wcale. Układ jest prosty: ty się do mnie nie przypierdalasz, a ja cię nie przecwelam.

– Co? – zawołałem wściekły. – Warunki mi stawiasz?!

– A owszem! – rozdarła się Mańka. – Stawiam ci! Bo mam cię dość! Powyżej uszu! Chcesz, to mnie zabij. Ale wpierw cię przecwelę. Ja to po prostu pierdolę. Mam odgibać jeszcze pięć kalendarzy. Wystawiając wam dupę. Biorąc w szamę. Rzygać mi się chce, rozumiesz?! Rzygać! I jednego skurwysyna do obsługi mniej. Ciebie! Wal się renią grabowską! A jak się do mnie przypierdolisz, to cię przecwelę. Za wszystko! Za całość!

Wiedziałem: to już nie były żarty. Mimo to jednak nie mieściło mi się w głowie, żeby Mańka ot, tak po prostu się zbuntowała.

Na szczęście Ostry, słysząc wrzaski Mańki, obudził się.

– Mańka – wystękał, otwierając oczy. – Ześwirowałaś? Do człowieka tak nawijasz, paparuchu jeden?

– I do wszystkich tak będę nawijał!

Ostry wstał z łóżka i bez słowa, z całej siły uderzył Mańkę pięścią w twarz. Gdy się przewróciła, powoli, metodycznie zaczął ją kopać.

Zerwałem się z łóżka i chwyciłem Ostrego za łokieć.

– Zbastuj, Ostry. Drugiego sztywniaka pod celką nie trzeba.

– Co? – Ostry przestał kopać skulonego na ziemi cwela i spojrzał na mnie niezbyt przytomnym wzrokiem. – Jakiego sztywniaka? Ktoś pierdolnął w kalendarz? Nic nie pamiętam...

– Bo kimałeś po twardym jak rekin. Harcerz pojechał po strunach – i w skrócie opowiedziałem mu o nocnych wydarzeniach.

– Nieklawo – podsumował Ostry.

– Teraz jorgasz: Mańka deczko się zajeżyła.

Ostry spojrzał z pogardą na skulonego na ziemi cwela i trącił go nogą.

– Ale paparuch mącić pod celką nie będzie – i kucnąwszy nad leżącym, zawołał. – Uchasz, parówo?

Mańka stęknęła coś niewyraźnie.

– Usiądziesz na klapę i nawiniesz gadom, żeby cię przetargali do frajerskiej

celki – powiedział Ostry do Mańki. – Jak nie, to marny twój los. Cwelom se możesz mącić, a nie ludziom.

Decyzja Ostrego nieco mnie zaskoczyła. Ostatecznie dobrze jest mieć cwela pod ręką. Przydaje się, gdy człowieka najdzie ochota.

– Ostry, przekumałeś? Cwela wypierdalasz, celową panienkę.

– Ta się znarowiła. Nową się zrobi.

– Co? – uniosłem ze zdumienia brwi. – Nie chcesz chyba... mnie... albo Suchego czy harcerza...

– Bez sztempu. Weź się nie trzęś. – odparł Ostry i klepnął mnie przyjacielsko w ramię. – Przyśmigają nowi. Przytnij se: w pudle ścisk, a tu trzy luźne koja. Po Niedźwiedziu, Mańce i Cienkim, co wyśmigał na wolkę. A ty, paparuchu – znów trącił nogą Mańkę – jak klawich przyśmiga, przekręcisz mu, żeś cwel i chcesz pod cwelską celkę. Jorgasz?

– Jorgam – stęknęła Mańka.

– To targaj się z parkietu i michę wyglancuj, bo z kichawy juchcisz.

W zamku zachrobotał klucz i drzwi celi się uchyliły.

– Zabierać łachy!

Suchy pownosił do celi taborety z ubraniami. Rzuciliśmy się na łachy i ubieraliśmy się na wyścigi. Nikt jakoś nie kwapił się do mycia czy golenia. Nawet Ostry, znany esteta i miłośnik swej brzytwy, odpuścił sobie poranną toaletę. Tak jak staliśmy, nieogoleni, cuchnący przetrawionym spirytusem i potem zalatującym alkoholem, z gąbką w gębach, kacami we łbach i mnóstwem wątpliwości, czekaliśmy na kolejne pojawienie się w oddziałowego drzwiach i na poranny apel. W końcu się doczekaliśmy.

Drzwi otworzyły się z nieprzyjemnym wizgiem i do celi wszedł Bambosz z notatnikiem i długopisem.

W okamgnieniu ustawiliśmy się w równym ordynku. Nie było tego wiele: ja, Ostry, Suchy, Gonzo i Mańka. Suchy, jako starszy, wystąpił krok do przodu i zameldował:

– Panie komendancie! Starszy celi piętnastej, więzień Suchecki, melduje skazanych na apelu porannym. Stan celi: sześciu. Obecnych pięciu.

Bambosz zanotował i przyjrzał się nam badawczo.

– Trzeba było chociaż przewietrzyć. Jedzie od was jak z gorzelni.

– To tylko ja – usiłowałem ratować sytuację Gonzo. – Ja pochlałem.

– I dlatego jesteś zapisany do naczelnika. Ale i tak jedzie kirą od was wszystkich. Ten chłopak, Wydrzycki, też miał alkohol we krwi. W tej resztkę, co mu pozostała.

– Przeżyje, panie komendancie? – wyrwałem się.

– Nie wiem. Może. Zawieźli go na transfuzję. Aleście narobili dymu... No dobra. Ktoś się chce gdzieś zapisać?

– Ja – odezwała się Mańka. – Marek Roźniecki. Do wychowawcy. Chciałbym prosić o przeniesienie do innej celi.

– Tak? – zdziwił się Bambosz. – Dobrze ci tu było, Roźniecki. Co się stało?

– Jestem cwelem – rzekła cicho Mańka. – Chcę być we frajerskiej celi.

– Też mi rewelacja. Cwelem to ty jesteś od dawna – mruknął Bambosz. Kogo jak kogo, ale Bambosza nie podejrzewałem o taką wnikliwość i rozeznanie w sytuacji. Zaimponował mi, klawisz skubany.

– Ale teraz się zmieniło. Proszę zapisać mnie do wychowawcy na rozmowę w sprawie przeniesienia.

– Po waszemu: na nawijkę – uśmiechnął się Bambosz i skrupulatnie zanotował coś w notesie. – Ktoś jeszcze?

Zapadła grobowa cisza. Nikomu jakoś nie chciało się udawać, że mamy niecierpiące zwłoki sprawy w administracji, księgowości, bibliotece. I – aż dziw bierze – nikt nie poczuł się chory i nie zapisał do lekarza.

– Spoczniej – zakomenderował Bambosz. – Koniec apelu. Wolno jarać. Aha, i wywietrzcie ten syf. Otwórz no który lipo – mówiąc to, obrócił się na pięcie, opuścił celę i zamknął za sobą drzwi uniwersalnym kluczem.

Po śniadaniu zazgrzytał zamek i w celce pojawił się strażnik z góry, Pipa.

– Więzień Gonera Czesław.

– Jestem – odezwał się Gonzo.

– Do naczelnika.

Bez zbędnych dyskusji Pipa pociągnął za łokieć Gonza, wyszedł z nim na korytarz i zamknął z powrotem drzwi celi. W niespełna minutę później pojawił się Bambosz.

– Więzień Roźniecki. Do wychowawcy.

Mańka rzuciła nam wszystkim nienawistne spojrzenie i poczłapała za Bamboszem.

Znów zgrzytnął klucz w zamku. Pozostaliśmy sami we trójkę: ja, Suchy i Ostry.

– Mało nas, mało nas – zażartowałem – do pieczenia chleba.

– A co ty, kurwa twoja w mordę szlojona mać, za prześmiewkę robisz? – zdenerwował się Suchy. – Kiraliśmy równo, mnie baniak napierdala jak sto skurwysynów, a ty se szczysz?

– Może więcej mogę wykirać niż ty. Suchy jesteś, to i mało się w tobie mieści – roześmiałem się. – Wychłeś na wiór i się nie oliwisz. Jak tak można? Szkoda zdrowia. Wątroba ci pierdolnie, jak powąchasz kiedy kiry. Zaprawę musisz mieć. Nie schnąć i nie wysuszać się.

Suchy nic nie powiedział, tylko spojrzął na mnie spode łba.

Atmosfera pod celą zrobiła się nie do wytrzymania. Wczorajsza noc i dzisiejszy dzień były chyba przełomowe. Jeden się pochlastał, drugiemu zaczęło odbijać, a wszyscy pozostali stali się cholernie agresywni. Ten palant ma przynieść jeszcze trzy razy po dwa litry. Skoro ludzie, gdy powąchają odrobinę spirytusu, zaczynają wariować, to może lepiej nie częstować i pić samemu? Jednak przyjemniej uwalić się w towarzystwie, choćby nawet tych meneli.

Siedzieliśmy tak pod celą we trójkę przez tydzień i patrzyliśmy na siebie jak wilki. Gonzo dostał od naczelnika siedem dni karceru. Mańka, gdy w asyście Bambosza po godzinie pojawiła się w celi, spakowała tylko swój mandżur i wyniosła się bez słowa pożegnania. I chuj jej w dupę, parówie szlojonej. Tyle tylko, że odtąd trzeba radzić sobie samemu. Albo przeprosić się z kochanicą: Suchemu akurat przysłali w paczce poćlec słoniny. Suchy najpierw ulżył sobie, a potem i nam pozwolił. Nawet bawiłem się lepiej niż z Mańką, bo słonina była tłusta i śliska.

Całe dni siedzieliśmy przed telewizorem Ostrego, prawie się do siebie nie odzywając. Nawet bajki dla dzieci się oglądało, żeby tylko jakoś zabić czas. Jedynym urozmaiceniem mogły być próby teatryku, ale bez Wydry jakoś nie szło. Ten palant, reżyser, nie tylko nie czuł koncepcji, ale też nie potrafił tak radzić sobie z ludźmi jak Wydra. Cóż, trudno wymagać, by pedał, miękki i zniewieściały, miał posłuch w więzieniu. Wciąż się mnie trzymał, patrzył na mnie błagalnie, chciał, żebym mu pomógł. Może wydawało mu się, że jak dał mi dupy, to ma do mnie jakieś prawa, ale jeśli tak sądził, mylił się i to grubo. Jasno dałem mu do zrozumienia, żeby się ode mnie odpiardolił i zaczął wreszcie zachowywać się jak mężczyzna. W końcu, gdy ludzie zaczęli robić sobie z niego prześmiewki, wściekł się i zerwał próby do czasu, gdy Wydra wyjdzie ze szpitala.

Wydra zaś wrócił dokładnie po tygodniu z obandażowaną ręką. Po obiedzie otworzyły się drzwi i strażnik wprowadził nieco wymizerowanego, ale uśmiechniętego chłopaka.

– Siemano, ludziska – zawołał i najpierw wyciągnął rękę do Ostrego, który stał najbliżej.

Myślałem, że Ostry, zgodnie z zasadą „nie kopsa się wity frajerom”, zignoruje wyciągniętą do niego dłoń, ale nie: podał małemu rękę i mocno nią potrząsnął. Stało się jasne, że w ten sposób bez żadnego egzaminu i bez ceremonii Ostry, mąciciel, awansował Wydrę na człowieka. Ucieszyło mnie to. Zresztą małemu się należało. A ceremonie to pic. Chodzi o to, by ludzie trochę się powyzwierzęcali nad noworodkiem i żeby nie było nudno.

– Sie masz – rzekł Ostry. – Jak było?

– Kiepsko, ale teraz jest git – zawołał Wydra.

– No to git.

Wydra przywitał się kolejno z Gonzem, któremu właśnie skończyła się izolotka, z Suchym i na końcu – tak wypadło – ze mną.

– Siemano, Cichy.

Wziąłem go na stronę.

– Co ci, kurwa, odbiło?!

W tym samym momencie ręka Wydry z głośnym plaśnięciem, bo blacha była silna, wylądowała na moim czole.

Już miałem wziąć małego za frak i nie zważając na jego poowijaną bandażem rękę, spuścić bęcki, gdy nagle usłyszałem spokojny głos chłopaka.

– Przykaleczyłeś. Kurwy nie skraćowałeś.

Roześmiałem się i klepnąłem małego w plecy.

Poczułem się dziwnie. Jak nauczyciel, który gania chłopaków palących na przerwie w szkolnej ubikacji, a potem sam siada na kiblu i wyciąga szluga. Odkąd mały stał się człowiekiem, miał nowe obowiązki, ale też i nowe prawa. Nie można mu było bezkarnie ubliżyć. Uderzyć. I traktować tak, jak traktowałem go dotychczas: jak małe, głupiutkie szczenię, któremu stary więzienny wyjadacz, jego mistrz i nauczyciel, wkłada do głowy, na czym polega bycie człowiekiem. Zdawałem sobie oczywiście sprawę z tego, że Wydra o wielu jeszcze rzeczach nie ma zielonego pojęcia, ale chyba zawsze ten, kto ma więcej doświadczenia, będzie tak myślał o kimś, kto niewiele doświadczył. Mały został człowiekiem i po prostu trzeba to było przyjąć do wiadomości.

– Co ci do kafla strzeliło, żeby się chlastać?

– Ciekaw byłem po prostu.

– Czego byłeś ciekaw, wariacie?

– Jak to jest. Czy można zrobić sobie coś takiego.

– I co? – uśmiechnąłem się zjadliwie. – Można?

– Jak widzisz. Tyle tylko, że byłem nakirany i zaschłem. Przez to o małego nie pierdołem w kalendarz.

Spojrzałem na chłopaka z dezaprobatą. Jakoś nie pasowała mi w jego ustach gryperska mowa. To było dobre dla Ostrego, Gonza czy Suchego, ale u Wydry raziło.

– Mam do ciebie prośbę... – zacząłem, ale mały przerwał mi bezceremonialnie.

– Człowiek nie prosi. Człowiek żąda. Sam mi trukałeś.

– Więc żądam. Przestań udawać wielkiego grypsera. Mów normalnie. Przynajmniej do mnie.

– O co ci chodzi?

– O to, żebyś nie popisywał się znajomością słówek. Nie rozumiesz, do kurwy nędzy, że jesteś jedynym człowiekiem, z którym mogę normalnie pogadać?

Wydra spojrzał na mnie zdumiony. Ale chyba mnie zrozumiał. Zdałem sobie jednak sprawę, że niepotrzebnie zmiękłem. Rozkleiłem się przy tym szczeniaku. Otworzyłem. Byłem na siebie wściekły.

– W porządku – odparł. – Ale co na to reszta ludzi?

– Zaraz to załatwię – i krzyknąłem w stronę Ostrego: – Ostry, kopsnij blat na wolną mowę.

Ostry oderwał wzrok od ekranu telewizora i spojrzał na mnie badawczo.

– Kiepsko ci się nawija?

– Kto chce, niech nawija grypsem, a kto chce, niech nawija wolną mową. Są nieraz takie sprawy, że grypsem ich nie nawiniesz. Ot, choćby teatrzyk. Wydra też może jeszcze przykaleczyć. Świeży jest.

– Jak przykaleczy, to się skrzywi. A jak się skrzywi, to się go naprostuje.

– Mówię: grypsować potrafimy wszyscy. On też. Ale o pewnych rzeczach muszę gadać z Wydrą wolną mową.

– A to se nawijajcie, jak wam podchodzi – machnął ręką Ostry i na powrót wlepił wzrok w ekran. Widocznie nadawali akurat coś ciekawego. Pewnie film kryminalny, bo z głośnika, mimo że telewizor był mocno przyciszony, dobiegały odgłosy strzelaniny. Ostry takie filmy lubił najbardziej. I chyba właśnie temu filmowi zawdzięczałem jego zgodę.

Nawiasem mówiąc, Ostry coraz bardziej mnie denerwował. Nie, nie chciałem być mąciелеm, choć kiedyś mi to proponowali. W czasach gdy grypsowałem naprawdę twardo. Ale za mądry byłem, żeby się zgodzić. Taka fucha nie była mi do niczego potrzebna. Tylko kupa z tym zachodu, korzyści niewiele, a na prestiżu tyle mi zależało, co na zeszłorocznym śniegu. To dobre dla takich jak Ostry. Podnieca go, że chociaż w pudle może być kimś. Że jak coś zdecyduje, to wszyscy git-ludzie z naszego pawilonu będą musieli się podporządkować. Ale – i tu ogarnął mnie pusty śmiech – o czym taki Ostry, zwykły bandzior, w dodatku tępy ciemniak, mógłby zdecydować bez mojej rady? Różnie wielkiego mąciela, ja muszę go pytać o takie głupstwa, jak zezwolenie na wolną mowę, a ten obszczymur jeszcze śmie mieć wątpliwości. Gdyby nie to, że w ważnych sprawach ten łachmyta nie odważyłby się nawet pierdnąć beze mnie, nikt by się z jego zdaniem nie liczył. Bo gdyby on coś sam wymyślił, to Boże broń. Tylko się pochlastać. Może Ostry grypsuje jawnie, twardo i do krańca. Może to dla niego przyszcz zrobić sobie kolejny sznyt, walnąć z byka (ale mnie by się chyba nie odważył) czy wsadzić sobie kotwicę w kindybała, żeby spotkać się w łódzkiej klinice, jedynej specjalizującej się w skomplikowanych operacjach dróg moczowych, z innymi mącielami na tak zwanej zjazdówce, czyli ogólnokrajowej naradzie mącieli. Tak. W tym był naprawdę dobry. Jako twardy, nieprzejednany git był zresztą dobry we wszystkim, co dotyczyło grypsówki. Dlatego mógł zostać mąciелеm. Miał tylko jedną piętę achillesową: mózg. Ale na szczęście to ja byłem jego prawdziwym mózgiem. Ale wkurzało mnie to, że ten łachmyta nie raczył o tym pamiętać i nawet przede mną udawał wielkiego mąciela, którego decyzje są wiążące. Dać by mu oglądać w telewizji jeden kryminał za drugim i Ostry w ogóle by się wyłączył.

– Widzisz? – powiedziałem do Wydry. – Wszystko jest w porządku.

– Jest git – poprawił mnie Wydra, ale zmitygował się i dodał. – Jest w porządku.

– Ach, ty durniu – westchnąłem. – Myślisz, że jak Ostry pozwolił, to święte jego słowo?

– Przecież to mąciiel. – Wydra spojrzał na mnie zaskoczony. – To on decyduje.

– On? Decyduje? – zaśmiałem się. – On jest głową. Niby głową. Ale ja jestem szyją, na której ta głowa siedzi.

– Jak to?

– A co ty sobie myślisz? Pamiętasz, jak wszedłeś do celi i powiedziałeś jak ostatni frajer: „Dzień dobry”?

– No – obruszył się Wydra – to było dawno.

– Po takim wiście byłeś pod celką, a szczególnie pod naszą celką, spalony. Ostry powiedział do ciebie „mały”. Pamiętasz?

– Szczerze mówiąc, nie bardzo.

– To był znak, żeby cię przecwelić. Z miejsca. Młody szczeniak. Ładna buźka.

– Przystojna kufa, jeżeli już – warknął Wydra.

– Zamknijże, do cholery, mordę i przestań mnie pouczać! – zirytowałem się.

– Bo mi bluzgasz.

– Przecież to wolna mowa. A co, chcesz stanąć ze mną na parkiecie? Stawiam sto do jednego na siebie.

– No i git! – zaperzył się Wydra. – Ćwiczyłem kiedyś karate. Tylko nie chciałem tego wykorzystywać.

– Tak? – zaśmiałem się. – A ja dżu-dzitsu. Poza tym mam masę i wzrost. Ja też nie wykorzystuję technik walki, tylko normalnie leję w mordę, bo jakbym zaczął wykorzystywać, to z każdym zrobiłbym to samo co z Niedźwiedziem. Pamiętasz jeszcze tego menela?

Wydra spojrział na mnie z niekłamany respektem.

– To było mocne zagranie.

– Znalazłbyś coś na to? W tym swoim karate?

– Nie dałbym się złapać za kark.

– Człowieku – westchnąłem. – Japońce, Chińce i całe to inne żółte badziewie wymyśla swoje techniki, ale jeśli spotka się dwóch speców od dwóch różnych technik, to kto wygrywa, jak myślisz? Większy i silniejszy. Tym swoim karate to możesz straszyć Suchego, Gonza albo Ostrego. Ale, kurwa, nie mnie.

Sam zauważyłem, że nie skrańcowałem. Ale przecież to wolna mowa.

– Na czym to skończyliśmy... – usiłowałem powrócić do przerwanej wątku.

– Mówiłeś o technikach.

– Ale przedtem?

– Że jak ja przyszedłem do celi...

– Już wiem – wpadłem mu w słowo. – Chcieli cię przecwelić. A ja stanąłem w twojej obronie.

– Dzięki – Wydra spojrział na mnie wyniośle – ale doprawdy nie rozumiem, za co miałbym dziękować.

– Za to, kurwa – podniosłem głos – że cię nie przelecieli! Bo już byłeś cwelem. A ja wtedy powiedziałem do Ostrego, żeby się od ciebie odknajał.

– Aha – kpiąco uśmiechnął się Wydra. – Rozumiem, że mam ci za przysługę

dać kwiaty. Albo dać dupy. Tak?

– Głupiś jak but! – zdenerwowałem się. – Pieprzę twoje podziękowania. Tak mi na nich zależy, jak na zeszłorocznym śniegu. Mówię ci tylko, żebyś w końcu zrozumiał. Pamiętasz, jak wszedłem do rozmowy? Jak powiedziałem do Ostrego „basta” i oznajmiłem, że będę cię uczył na człowieka?

– Dobra. I co dalej?

– Dalej jest tylko to: Ostry chciał cię przecwelić. Zbiorowy gwałt. A ja powiedziałem słowo i zostawili cię w spokoju. Więc wiesz już, kto tak naprawdę tu rządzi? Kto tu naprawdę maćci?

– Ty? – mały spojrzął na mnie niepewnie.

– Dużo czasu ci zajęło, żeby to skumać – mruknąłem.

– A Ostry? Przecież to on jest maćcicielem. Nic już z tego nie rozumiem – westchnął Wydra.

– Po prostu są równi i równiejsi. Głowa musi trzymać się szyi.

– O co ci chodzi? – Wydra spojrzął na mnie podejrzliwie. – Domagasz się podziękowań? Uznania zasług? Rościsz sobie do mnie w związku z tym wszystkim jakieś prawa?

– A jakie prawa mógłbym sobie do ciebie rościć?

– Nie wiem. Dawanie dupy albo coś w tym rodzaju.

– Wal się, młody – roześmiałem się. – To specjalność Mańki.

– Właśnie. A gdzie Mańka? – dopiero teraz Wydra zauważył nieobecność cwela.

– Ostry zmusił ją, żeby się przeniosła.

– Jak to przeniosła?

– Mańka to już historia. Znając ją, podejrzewam, że jest teraz maćcicielem w cwelskiej celi. Wiedzie prym wśród frajerów. Po tym jak się pochlastałeś, Mańce po prostu odbiło. Znarowiła się. Nie pozostawało nic innego, jak ją przenieść.

– A sztuka? Przecież Mańka gra jedną z głównych ról.

– Ten frajer, reżyser, odpuścił próby, dopóki nie wrócisz ze szpitala. Nie dość, że nie miał koncepcji, to jeszcze robił te swoje pedalskie numery i ludzie się z niego chachali. Jesteś lepszy niż on.

– Naprawdę? – rozpromienił się Wydra.

– Naprawdę. Facet bez ciebie wymięka Nie czuje tej sztuki.

– Przecież to jest takie proste.

– Może dla ciebie. Ale nie dla niego. Zresztą to pedał. Czy myślisz, że pedał może mieć posłuchanie wśród garowników? Nabijali się tylko z cioty.

– Ale Mańka będzie grała. Musi. Wiesz co? – Wydrze zabłyśły oczy. – To nawet lepiej, że została przeniesiona. Przecież szykujemy ten numer z przecweleniem. Gdyby Mańka była z nami w celi, byłoby trochę głupio, a tak może nam skoczyć.

Zapisały drzwi. Do celi zajrzał Jan Bez Głowy, wepchnął jakiegoś faceta i bez słowa zamknął drzwi. Było jasne, że to nowy więzień. Rozpoczęła się

akcja dogęszczania celi. I tak podejrzanie długo nie podszyli nikogo na wolne miejsca.

Nowy garuch w celi to nie lada atrakcja, toteż wszyscy wyciągnęli szyje. Mimo że był chudy i niski, miał może z metr siedemdziesiąt wzrostu, wyglądał na niezłego kozaka. Wystarczyło spojrzeć na mordę i bez sądu można mu było wlepić srebrne wesele. Za sam wygląd. I nawet z oczu źle mu patrzyło. Usiłowałem zgadnąć, ile może mieć lat, ale tego rodzaju twarze są ponadczasowe. Mógł mieć dwadzieścia kilka, a twarz oszpecona bliznami, z przetrąconym nosem, mogła być tylko zniszczona alkoholem i menelstwem. Ale równie dobrze mógł mieć czterdziestkę. Przyjrzałem się uważniej twarzy w poszukiwaniu cynkówki lub przedłużek, bo taki gość nie wyglądał na kogoś, kto jest w więzieniu po raz pierwszy, ale stał zbyt daleko, żebym mógł dostrzec takie szczegóły.

– Jak u was jest? – spytał nowy. W ten sposób potwierdził moje przypuszczenia, że pudło to dla niego nie pierwszozna i nieobce są mu więzienne obyczaje.

– Git – odparł Gonzo, wstając. Podeszedł do nowego i przyjrzał mu się uważnie.

– Sie macie ludzie.

Powinien był wyciągnąć rękę, ale z niewiadomych powodów nie zrobił tego.

– Popatrz sobie, tak się sprawdza ludzi – szepnąłem do Wydry, dla którego takie sceny były czymś nowym, toteż śledził z zapartym tchem zachowanie ludzi i przybysza.

– Kurwa mać, ale gościu – mruknął. – To git, nie?

– Cholera wie. Poczekaj. Będą go sprawdzać.

Suchy wstał z taboretu. W dłoni trzymał białą ścierkę. Udając, że idzie do kibla, przeszedł obok nowego i upuścił ją. Upadła nowemu tuż przy nogach.

– Jak podniesie albo przekroczy, to od wszystkich dostanie bęcki – pouczyłem Wydrę. – Ty też możesz mu dołożyć.

– Git! – podochocił się Wydra.

Nowy jednak znał ten rodzaj powitania. Wytarł w ścierkę buty i powiedział:

– To u was jeszcze jest próba ręcznika? W innych pudłach dawno jej nie robią.

– Ty, nowy, nie szpońć, bo skowyrów wystraszysz – odezwał się Ostry. Wstał od telewizora i powolnym krokiem zbliżył się do przybysza. Stał naprzeciwko i dokładnie mu się przyjrzał. Gonzo i Suchy podeszli również.

– Chodź, obejrzymy go sobie – rzekłem do Wydry i podeszliśmy również. Teraz mogłem przyjrzeć mu się dokładnie. Cynkówki nie miał. Ale posiadanie cynkówki nie jest obowiązkiem. Ja też jej zresztą nie mam. Tatuaz, szczególnie na twarzy, zawsze uważałem za głupotę. Dopóki siedzi się w pudle, wzorki dodają szyku, pozwalają manifestować swoją przynależność do subkultury, czasem informują o przestępczej specjalizacji. Ostry z boku dłoni, między kciukiem a palcem wskazującym, ma wytatuowaną strzałkę, dla

niepoznaki strzałka przebija serce, ale ci, którzy powinni wiedzieć, wiedzą doskonale: Ostry jest doliniarzem. Tak, dopóki się siedzi, tatuaż ma same zalety. Ale gorzej jest po wyjściu. Pójdzie taki z tatuażami na basen, na plażę, czy choćby na badaniu zdejmie koszulę, a wszyscy oglądają się na kilometr, pokazują go palcami i szepczą: patrz, patrz, bandyta! Bo utarło się, że tatuują się tylko przestępcy, w dodatku ci najgorsi, najbardziej zdemoralizowani. Zresztą ludzie nie lubią tych, którzy się wyróżniają: kalek, garbatych, debili, oszpeconych. Do tej kategorii należą też wytatuowani. Na wolności są przegrani. Bywało, że z powodu widocznego tatuażu niejednemu wcisnęli przestępstwo, którego nie popełnił, odmówili przyjęcia do pracy albo rzuciła go kobieta, nie chcąc afiszować się z obdziargańcem. Dlatego niektórzy, ci bardziej zdesperowani, jeśli ich stać na taki zabieg, każą sobie wzorki usunąć, a inni robią to sami: roztopionym plastikiem, kwasem, główką zapałki i sokiem z cebuli, czy nawet papierem ściernym.

Nie, nowy nie miał tatuażu. Przynajmniej na twarzy. Ani kresek w kącikach oczu, tak zwanych przedłużek, ani kropki pod lewym okiem, cynkówki – symboli przynależności do git-ludzi. Ale było coś, co mnie zaniepokoiło. Nowy miał na swym przetrąconym nosie ślad jakby po oparzeniu. Niewielki placek jaśniejszej, zbliżnowaczonej skóry. W tym miejscu albo pod prawym okiem tatuuje się kropkę cwelom. Oczywiście przemocą, bo chyba nikt nie dałby sobie zrobić takiego znaku dobrowolnie.

– A co się w kichawę stało? – spytałem słodziutkim głosem.

Przybysz spojrzał na mnie hardo, choć pytanie najwyraźniej go stropiło.

– To po solówce – burknął. – Oberwałem w uśmiech i zmieniłem figurę.

– A generała na kichawie nie kiepowałeś? – Wydra zauważył to samo co ja. Czyżby nowy rzeczywiście próbował wypalać sobie cwelską kropkę papierosem?

– Na haltowni mi jeden skiepował.

– Nie żęń, kurwa jego mać, bałachów – wtrącił się Suchy. – W psiarni można lolą obkoczyć, mogą na glany wziąć, ale nie takie rzeczy. Jakbyś obdukcję zrobił, to ten pies sam by poszedł leżeć do pierdła.

– Mam niefart, że cię nie zhaltowali ze mną, bo byś mu przekreślił – warknął nowy z zaczepką w głosie. – Jak wyśmigam na wolę, to ja go już, kurwę jedną, dopadnę. Śledczy Maruszczyko się nazywa. Kichy mu wyprowadzę na spacer. Ale nie wiem, czy zdąży. Ma nagrabiłone u wielu ludzi.

– Takiś kozak? – odezwał się Ostry.

Przybysz przyjrzał się uważnie Ostremu, który też nie był atletą ani wielkoludem, ale widziałem, jak stracił rezon, gdy ujrzał serduszko wytatuowane pod lewym okiem Ostrego. Zmienił się nieco na twarzy, zmięknął i cofnął o krok.

– Coś nie w porządku? – szepnął mi na ucho Wydra.

– Poczekaj – powstrzymałem go ruchem dłoni.

– Ile i za co? – spytał Ostry.

– Dwieście dziesięć i lokomotywa.
– Dziesiona? – Suchy spojrzał na niego z aprobatą. – To tak jak ja.
– Zhaltuj szamot, Suchy – uciszył go Ostry i zwrócił się do nowego. – Gdzie leżałeś?

– W przedszkolu – odparł przybysz.

– Lublin czy Kamieńsk?

– Kamieńsk.

– E, toś nie leżał. Prawie jakbyś się nie powalił – skwitował Ostry. – Za co?

– Dziewiona.

– Postępy robisz. Najpierw dziewiona, potem dziesiona. Szkoda, że nie ma jedenachy – odparł i wszyscyśmy zarechotali.

Nowy jakoś nie zdobył się na ripostę wobec mąciela.

– Wydra – Ostry po raz pierwszy oficjalnie użył człowieczej ksywki chłopaka. – Pokaż mu, jak lutujesz.

Kątem oka zerknąłem na Wydrę. Co prawda napalił się, gdy obiecywałem mu grupowe bicie nowego, gdyby ten nie przeszedł pomyślnie próby ręcznika, ale teraz to było co innego. Wydra miał zacząć bić nowego sam. Zauważyłem, że trochę pękał. Ale i on miał właśnie przejść swój egzamin. Człowiekiem został niespełna parę godzin temu i teraz musiał udowodnić, że jest nim w istocie.

Wydra po krótkim wahaniu wziął się w garść, postąpił krok do przodu i lekceważąco wydymając wargi, popchnął silnie nowego. Przybysz realnie ocenił siły Wydry i postanowił wykazać się sztywnością. Skoro znał gryperskie zwyczaje, musiał wiedzieć, że jeśli ma dostać powitalne bęcki, dostanie je tak czy owak. Za to od razu wyrobi sobie lepszą pozycję, jeśli nie będzie bierny i zacznie walczyć. Toteż nie zdziwiłem się, gdy lewą ręką równie silnie popchnął Wydrę, a prawą zamachnął się do ciosu.

Wydra jednak, o czym nowy wiedzieć nie mógł, też walczył o pozycję. O ile zdołałem go poznać, gdy był zdeterminowany, budziły się w nim instynkt walki i dzikość godna prawdziwego desperata. Tak było i tym razem. Chłopak w porę zdołał wykonać unik, a potem uderzył nowego kantem dłoni tuż powyżej żołądka. Nowy stęknął przeciągle, przewrócił oczami i upadł na ziemię. Przez chwilę wierzgał rozpaczliwie nogami, a potem przestał. Leżał nieruchomo, wydając z siebie słabe jęki. Wydra z nonszalancją otrzepał dłonie, jakby skończył robić przy węglu i włożywszy ręce do kieszeni, potoczył po nas wzrokiem zwycięzcy.

– Coś ty mu zrobił? – natarł na niego Ostry.

– Przyjebałem mu w splot słoneczny – odparł Wydra. – Nawijałem przecież, że kiedyś robiłem za karatekę.

– Miałeś mu tylko przylutować, a nie utrupiać – rozdarł się Ostry.

– Bez sztempu – Wydra pojął, że Ostry jest wściekły. – Przewinał się, ale zaraz się podniesie. Co miałem robić, jak machał witami?

– Ech, ty... – Ostry zżuł w ustach bluzg. Ale jednocześnie spojrzał na Wydrę

jakby z respektem. Chłopak mimo wszystko zdał swój człowieczy egzamin koncertowo. Popęłnił tylko nieświadomie jeden mały błąd. Uderzając, miał dać tylko sygnał do ogólnej bijatyki, a tymczasem załatwił przybysza jednym ciosem. Nie wypadało teraz reszcie znęcać się nad uziemionym palantem. Krótko mówiąc, chłopak zepsuł innym zabawę.

Nowy, trzymając się za żołądek, boleśnie stękając i z trudem łapiąc powietrze, powoli zaczął gramolić się z podłogi. Nie mógł jednak utrzymać się na nogach. Zachwiał się i upadł na stojące w pobliżu wolne łóżko.

– Kojo już se wybrałeś – rzekł Ostry i znów wszyscyśmy zarechotali. – Jorgasz już, jak lutuje Wydra. Jeszcze nie jorgasz, jak lutuje reszta. A tu same twarde sztywniaki.

Ostry zostawił postępującego na łóżku nowego. Przez to wszystko nawet nie zdążyliśmy się dowiedzieć, jak się nazywa. Zresztą czy to akurat było takie ważne?

Przestaliśmy interesować się nowym i rozeszliśmy się po celi. Ostry zaprosił Suchego i Gonza do oglądania telewizji, tym razem szedł jakiś durny serial, ale przynajmniej coś się na ekranie ruszało, ja zaś zaciągnąłem Wydrę do swojego koja. Poczęstowałem go papierosem i nawet mu przypaliłem. Chłopak głęboko zaciągnął się dymem i domagając się widocznie uznania, zapytał.

– Nieźle go rozłożyłem, co?

– Przez ciebie żaden z nas nie miał okazji mu dołożyć.

– To dlatego Ostry był taki zły – domyślił się Wydra.

– A co ty myślałeś? Gównu tu kogo obchodzi taki palant. A nawiasem mówiąc, ostro go załatwiłeś. Mogłeś go nawet zabić. Nie wali się z kantu w splot.

– Wiem, ale... – Wydra zerknął w kierunku łóżka, na którym przybysz, wciąż stękając, powoli dochodził do siebie. – Sam widziałeś. Zaczął machać witami. Myślisz, że nie wiem, dlaczego Ostry kazał mi do niego startować? Obaj byliśmy sprawdzani. Miałem pozwolić, żeby mnie rozłożył?

– Ale żeby od razu w splot? – wzruszyłem ramionami. – Kaleką może przez ciebie zostać. Co mu zrobiłeś, to się dopiero okaże. Może go nawet sparaliżować.

– E, tam – Wydra był trochę zdenerwowany, spoglądał w stronę nowego, ale starał się nadrabiać miną. – Zresztą chuj mu w dupę. Po co skakał?

– W każdym razie uważaj na niego. Widać, że to sztywniak i świrus. Może chce się odegrać. Jesteś teraz człowiekiem i stoi za tobą reszta ludzi, ale mimo to uważaj. Nagrabiłeś sobie u niego, a ciebie chyba się nie boi, choć nieźle go zaprawiłeś.

– No i git. Na drugi raz mocno się zastanowi, zanim zacznie startować do człowieka.

– Patrzcie, jaki człowiek się urodził pod celką!

– A co? – zaperzył się Wydra. – Nie podchodzi?

– Podchodzi, podchodzi – uśmiechnąłem się.

– No i git – odciął się Wydra. Zachłystywał się swoim pierwszym sukcesem i żał mi było zbyt pospiesznie studzić jego zapał neofity. Niech się chłopak cieszy – przemknęło mi przez myśl i z pobłażaniem godnym starego, doświadczonego więźnia poklepałem go po ramieniu.

– Co jest, kurwa jego mać! – rozdarł się Wydra. – Ochujeliście?! Parę dni mnie nie było, a wy, kurwa wasza mać, stoicie jak chuje?! Do arbajtu! Ty, Kizior, po prawej mańce! Cygan, co z tobą?! Jazda pod ścianę! Gites! A teraz wchodzi Julia. Mańka! Uchasz, co nawijam?! Nie stój jak chuj ostatni!

Wydra był w swoim żywiole. Jerzy złapał mnie za łokieć.

– Ten mały jest bossski – wyszeptał mi prosto w ucho, grzejąc je swym gorącym oddechem. Spojrzałem na niego z niekłamaną odrazą.

– A to już twój problem – warknąłem.

– Co się stało, Romeczku? – zakwilił niespodziewanie.

– A jeb się, ty... – na szczęście ugryzłem się w język. Po co miałem mu bluzgać? Co by to zmieniło?

– Przyniosłem spirytus. I papierosy – wyszeptał. – Dla ciebie przyniosłem.

– Przez ten twój spirytus Wydra był w szpitalu – mruknąłem z niechęcią.

– To co, nie chcesz? – spojrzał na mnie błagalnie. – Mam wylać?

– Co też ty! – obruszyłem się. – Dawaj, skoro przyniosłeś. Idź do gabinetu holownika i każ mnie tam wezwać. Jak zwykle. Tam rozlejemy.

– Idę – frajer płaczliwie pociągnął nosem. – Już idę. Tylko się nie gniewaj. Romku, ja chciałbym... – spojrzał na mnie prosząco, ale zignorowałem jego spojrzenie. Frajer chwycił swą naładowaną butelkami ze spirytusem i kartonami papierosów dyplomatkę i poczłapał do drzwi, przy których stał Pipa. Zamienił ze strażnikiem kilka słów i Pipa wypuścił reżysera ze świetlicy.

– A jeb się, cwelu – mruknąłem cicho pod nosem. – Chuj ci w dupę i tłuczone szkło.

Znów wszystko było tak jak dawniej. Starzy garownicy, dyrygowani przez młodszego kolegę-człowieka – bo wieści o naprostowaniu lub skrzywieniu szybko rozchodzą się w zakładzie – jak dawniej dwoili się i troili, by zadowolić wymagającego, dyrygującego nimi wszystkimi Wydrę. Ten zaś, z obandażowaną ręką, dosłownie wyłaził ze skóry, aby po przeszło tygodniowej przerwie na powrót przemienić złodziei w aktorów. Pomyślałem w tym momencie o ukrytych talentach. To nieporozumienie, że Wydra rozpoczął studia polonistyczne. Trzeba było, by trafił do więzienia, i potrzebny był ten frajer w apaszcze i jego zasrany doktorat, by Wydra mógł błysnąć swoimi prawdziwymi umiejętnościami: autentycznym talentem teatralnego, a może i filmowego reżysera. Jak skończy mu się wyrok, powinien iść w tym kierunku. Filmówka w Łodzi albo reżyseria teatralna w Warszawie. Nie, łódzka filmówka byłaby lepsza. Kto dziś chodzi do teatru? Garstka snobów. Za to kino, a szczególnie wideo, wciąż ma się dobrze. Reżyserzy

zarabiają kupę szmalu. Pewnie skrócą mu wyrok i wypuszczą warunkowo za dobre sprawowanie. A w wieku dwudziestu paru lat można jeszcze zaczynać życie na nowo.

W zamku dał się słyszeć chrobot klucza, drzwi otworzyły się i na progu stanął jakiś nieznany mi strażnik. Szepnął coś do Pipy, a ten wskazał na mnie palcem.

– Cichecki! Do psychologa.

Podszedłem do drzwi. Nieznajomy strażnik przejął mnie spod opieki Pipy i wprowadził do gabinetu holownika psów. Wepchnął mnie do środka i zamknął za sobą drzwi. Tak jak się spodziewałem, czekał tam frajer w apaszcze. Podszedłem do niego.

– Dobra – mruknąłem. – Dawaj ten spirytus.

– Romku... – wyszeptał błagalnie. – Ja... ja chciałbym...

– Dawaj spirytus! – prawie wrzasnąłem. – Chcesz, by nas nakryli? Szybko, do jasnej cholery!

Reżyser bez słowa otworzył aktówkę i wyjął z niej cztery półlitrowki spirytusu oraz karton cameli.

– A co to jest? – zawołałem, wskazując na fajki.

– Z filtrem kupiłem – wyjąkał spłoszony reżyser. – Z ciekawości zapaliłem takiego, jakie wy palicie. To obrzydlistwo. Więc pomyślałem sobie, że...

– Ty sobie lepiej nie myśl! Popularne mają być, żadne inne!

– To co, nie chcesz? Myślałem, że zrobię ci przyjemność.

– A niech tam – zgodziłem się łaskawie. Rozerwałem karton i zacząłem chować pudełka po kieszeniach. – Ale następnym razem mają być „popularne”. Jasne?

– Dobrze. Nie gniewaj się już.

Wzruszyłem ramionami. Też wolałbym palić „camele” zamiast tych obrzydliwych schabów. Ale nałóg to nałóg. Przyzwyczai się człowiek do dobrych papierosów, to tylko takich będzie potem szukał. A to kosztowna impreza. Pracy nie ma, to i wypiski nie ma. Konto puste, toteż w więziennym sklepiku nie ma za co kupować. Tyle tylko jest forsy, co Anna przyśle. A i tego niewiele. Biedna, głupia dupa. Sama nie ma i jeszcze mnie posyła. Bo co taka pielęgniarka w szpitalu może mieć za pensję? Tyle, żeby czynsz za mieszkanie zapłacić i z głodu nie zdechnąć. Jakim cudem udaje się jej jeszcze mnie coś dostać – tego sam nie pojmuję.

Wyciągnąłem zza pazuchy zwinięty w rulon foliowy rękaw i rozprostowałem.

– Dawaj spirytus.

Frajer podał mi butelkę. Przełałem jej zawartość do rękawa. Gdy oddałem mu pustą flaszkę, podał następną. Po chwili rękaw był już pełen. Zawiesiłem go sobie na szyi gotów do powrotu.

– Romku... – usłyszałem błagalny głos frajera.

– Czego? – warknąłem.

– Kocham cię...

Spodziewałem się, że to nastąpi. Cwelska gadka o pedalskiej miłości. Chociaż...

Wtedy, gdy ostatnim razem brałem go tu, w tym gabinecie, rozwalonego na biurku holownika, z wypiętą dupą, wiedziałem, że będzie to po raz pierwszy i ostatni. Wówczas byłem tego pewien. Ale dzisiaj już taki pewien nie byłem. Może dlatego, że Mańka była poza zasięgiem i ostatnio musiałem zadowalać się słoniną. Dość że w końcu wzruszywszy ramionami powiedziałem:

– Dawaj.

We frajera wstąpił jakby nowy duch. Uśmiechnął się promiennie.

– Chciałbym cię najpierw wziąć do buzi. Tak jak ostatnim razem.

– Powiedziałem: kładź się! – niemal krzyknąłem. Zdjąłem z szyi chomąto ze spirytusem, doskoczyłem do frajera, chwyciłem za ramiona, wykręciłem twarzą do biurka i pchnąłem na blat. Gdy frajer padł na biurko, jednym szarpnięciem zerwałem z niego spodnie wraz z majtkami. Oderwane guziki zastukały o podłogę.

– Aj – zaprotestował słabo.

– Stul ryło. Chciałeś, to masz – i spróbowałem go posiąść. Ale tym razem jakoś mi nie szło. Pchałem się w niego, ale na próżno. Frajer zaczął się wrywać i krzyczeć.

– Zostaw! Boli!

Spróbowałem jeszcze raz, ale i tym razem niczego nie osiągnąłem. Ze słoniną jednak było lepiej. Zawsze była chętna, delikatna i śliska.

Wściekły zapiąłem spodnie, zarzuciłem na szyję rękaw ze spirytusem i zostawiwszy na biurku żalostnego cwela z wypiętym dupskiem, załomotałem w drzwi. Frajer błyskawicznie zeskoczył na podłogę, wciągnął spodnie i usiłował je zapiąć na nieistniejące już guziki. Pozostało mu jedynie podtrzymywanie opadających spodni rękami.

– Romku! Zaczekaj!

Drzwi od gabinetu otworzyły się. Ujrzałem za nimi strażnika.

– Wracam na próbę – powiedziałem. Na odchodnym odwróciłem się do frajera i mruknąłem: – Trzeba było wysmarować styję.

– Że co? – strażnik odwrócił się z nienacką i obrzucił mnie i reżysera badawczym spojrzeniem.

– Nic – odparłem. – Ustalamy reguły gry. W sztuce.

Klawisz wzruszył ramionami i chwyciwszy mnie za ramię, pociągnął w stronę świetlicy, gdzie odbywały się próby.

Nowy współlokator celi nazywał się Baranowski. Edward Baranowski. Oczywiście natychmiast nadałem mu ksywkę: EB. Przyjęła się od razu, choć twierdził, że ma już mianko z przedszkola, to jest z poprzedniego zakładu, w Kamieńsku. Ponoć nazywali go Rogaty, ale EB wydało się nam wszystkim lepsze i tak oto przechrzciliśmy Rogatego na piwo.

EB długo dochodził do siebie po zdradliwym uderzeniu w splot słoneczny. Przestał stękać dopiero nazajutrz, ale snuł się jeszcze przez cały następny dzień od ściany do ściany, trzymał się na przemian to za żołądek, to za żebra i wyglądał nieszczęśliwie. Myślałem że w końcu nękany bólem i podejrzanymi dolegliwościami zażąda wizyty u lekarza, ale jakoś przetrzymał. Zauważyłem też, że nie ma pretensji do Wydry, ba, nawet zaczął bardziej się go bać niż pozostałych. Zrobił się uległy i potulny jak prawdziwy baranek. Ponieważ nadal odczuwał skutki tamtego ciosu, Ostry, zdjęty niespodziewaną u niego litością, ogłosił szlaban na gnębienie nowego. Ale jednocześnie zarządził typową w wypadku nowych przybyszów procedurę, którzy kiedyś już siedzieli. Wysłał przez kuriera potajemny gryps do Kamieńska, z zapytaniem o Edwarda Baranowskiego. Gryps pisany był za pomocą wody z cukrem, co stanowiło dodatkowe zabezpieczenie a gdyby nawet przez przypadek wpadł w ręce jakiemuś domyślnemu klawiszowi, który chciałby podgrzać papier zapalniczką, był jeszcze szyfrowany. Skierowany był bezpośrednio do Sztyfta, tamtejszego mąciela. Ostrożność Ostrego, jego zaangażowanie w sprawę i wysłanie grypsu do samego Sztyfta dały mi do myślenia, lecz najwyraźniej Ostry tym razem okazał się mądrzejszy niż byłem skłonny go oceniać. Też chyba nie spodobał mu się ślad na nosie po oparzeniu na nosie nowego i podobnie jak ja podejrzewał, że może EB wypalał sobie papierosem wytatuowaną kropkę, oznakę cwela.

Na razie odnosiliśmy się do EB z należytą powściągliwością typową wobec osobnika na wyjaśnieniu. Nikt nie podawał mu ręki, unikaliśmy dotykania jego rzeczy, nie częstowaliśmy go i nie braliśmy od niego papierosów. Oczywiście mowy nie było, żeby siedział z nami przy stole. Dostał skierowanie na bufet: mógł jeść siedząc na swoim taborecie. EB starał się rzecz jasna nawiązywać z nami kontakt, lecz spotykał się jedynie z uprzejmą obojętnością. Pewnie spotkałby się z agresją, gdyby nie szlaban na gnębienie przybysza nałożony przez Ostrego. Gdyby rzeczywiście był w Kamieńsku cwelem i domyślał się, że posłaliśmy tam gryps z zapytaniem, już teraz lepiej by dla niego było, gdyby, póki dajemy mu spokój, siadał na klapę i żądał przeniesienia do innej celi. W każdym razie czuł się dość pewnie. Suchy – który chętnie z nim rozmawiał, ponieważ podobnie jak EB, siedział za rozbój – usiłował nas przekonać, że nowy to sztywny i charakterny git-człowiek i mimo mikrej postury niezły z niego kozak. Ale zdanie Suchego mało się liczyło. Ostry i ja czekaliśmy na wianek z Kamieńska od Sztyfta. Ponieważ jednak poczta grypserska działała na innych zasadach niż Poczta Polska, pozostawało tylko uzbroić się w cierpliwość i czekać. Ale – jak głosi więzienne porzekadło – to, co człowiek wolny robi w trzy sekundy, więzień robi w trzy minuty. Czas w więzieniu biegnie wolno, toteż i zamknięci ludzie nie mają potrzeby się spieszyć. Tym bardziej że muszą być ostrożni, przewidujący i cierpliwie czekać na niezbyt częste okazje do pewnego i poufnego przesyłania wiadomości. Ostry miał po prostu fart, że był u nas akurat kurier

do Kamieńska. Ale kiedy następny kurier stamtąd się pojawi – tego nie sposób było przewidzieć.

Tymczasem Gonzo, któremu kończył się kolejny rok odsiadki, postanowił wypełnić sobie kolejną belkę wytatuowaną na ramionach. Przez cały czas pracowicie mieszał sadzę z łojem, z zaostrzonych końcówek od długopisów sporządzał igły, ale to wszystko, co mógł zrobić. Był wprawdzie niezłym fachowcem od robienia tatuaży, ale przecież nie mógł się samemu tatuować na ramionach.

– No, ludzie, są kolki i kolorki. Jak ktoś mi pomoże wypełnić pagony, zrobię mu wzorek gratis. Dziś święto. Kolejny kalendarz odginany.

Zaciekawieni ludzie obstąpili Gonza.

– Masz szablony? – spytał Suchy.

– Zawsze mam – odparł Gonzo.

– Ale tamte to ja już znam. Masz jakieś nowe?

– Mam i nowe. Wąż jest, smok, róża... – Gonzo wyciągnął zeszyt z rysunkami.

– O, takiego węża to bym chciał na plerach – rzekł Suchy po przejrzeniu kilku ostatnich kartek.

– Taki wąż to dwa wagony szługów – mruknął Gonzo.

– Miałeś dziargać za friko, za te pagony. Kopsnij kolki, to ci wydziargam pagony za węża.

– Niech ci będzie. Ktoś jeszcze chce wzorka?

– Ja bym chciał – powiedział Wydra.

– A co byś chciał?

– Kotwicę. I cynkówkę. Kotwice masz?

Zamurowało mnie. Spojrzałem na chłopaka zdeorientowany.

– Tu mam kotwice – Gonzo pokazał wzory w zeszycie z szablonami.

– Taką bym chciał – Wydra wskazał jeden z rysunków.

– To będzie wagon szługów. I fajer-maszyna.

– Git.

Podszedłem do Wydry i chwyciwszy go za łokieć, odciągnąłem na bok.

– Czyś ty, kurwa twoja mać, ześwirował?! Na chuj ci to?

– Ludzie mają, to i ja chcę.

– Ja też jestem człowiek i nie mam.

– To twoja sprawa. A ja chcę mieć.

– Czy wiesz, że jak to sobie zrobisz to na zawsze?

– I co z tego?

– Może przyjdzie taki moment, że będziesz chciał się tego pozbyć. Że to ci będzie przeszkadzać w życiu. Ale wzorku zmyć się nie da.

– Coś ty – zachnął się Wydra. – Grypsuje się jawnie, twardo i do krańca. Sam to mówiłeś. Zresztą cynkówki prawie nie widać. Widzą ją tylko inni grypsujący. A kotwica jest mała i pod rękawem. Zresztą jestem Wydra, no nie? A kotwica oznacza robotę na wydrę.

– Nie rób tego! Jakbym był twoim jareckim, tobym ci wpierdolił parę pasów i...

– Ale nie jesteś, kurwa twoja mać! – krzyknął Wydra, aż inni się na nas obejrzeni. – Moja skóra i będę z nią robił, co mi się podoba. Niech frajerzy ustępują mi z drogi.

– Ach, ty charakterny sztywniak – warknąłem. – Parę dni jesteś człowiekiem, a już takiś ważny?

– Ty, Cichy, ciągnij smugę, kurwa twoja mać. Nawinę ci jeszcze coś i będzie solo. Zbastuj se i cweluj z glana.

Wzruszyłem ramionami i zżułem bluzg. A co mnie to właściwie obchodzi? Ma dowód osobisty, ma wyrok, dorosły jest, to niech robi, co chce, pieprzony szczeniak.

Gonzo najpierw zabrał się do chłopaka. Cynkówkę zrobił mu w jednej chwili, za to z kotwicą trochę zeszło. Przechodząc obok, zerknąłem ukradkiem, co też Wydra kazał sobie wytatuować. Kotwica na szczęście była mała, ale misterna. Wymagała sporo pracy, toteż Gonzo trochę się natrudził. Chłopak za to siedział jak na szpilkach. Mężnie zaciskał zęby. Nakłucia musiały być odpowiednio głębokie, by tatuaż nie zszedł wraz z łuszczącym się naskórkiem. W końcu zabieg dobiegł końca. Gonzo obtarł krew pomieszaną z łojem i sadzą, chuchnął, dmuchnął i rzekł:

– Niech ci się przyjmie.

Wydra poszedł w pierwszej kolejności do mnie. Wyciągnął nieco spuchniętą i skłutą rękę.

– Gites, co nie?

Spojrzałem niby od niechcienia. Kotwica była rzeczywiście niezła. Z cieniami. Widać, że robił to fachowiec. Barwnik trochę się jeszcze rozplynie, ale tatuaż prezentował się niczego sobie.

– Chujowa – rzekłem, wzruszając ramionami.

– No i git – zaperzył się Wydra i masując obolałą rękę, poszedł w stronę swego łóżka.

Przyszła teraz kolej na robotę darmową, koleżeńską przysługę. Suchy zasiadł na taborecie przed Gonzem, ten jednak powstrzymał go.

– Najpierw wydziargaj mi pagony.

– To nawiń jak.

Podszedłem bliżej ciekaw, jak też Suchy da sobie radę z trudną sztuką tatuowania. Kiedyś próbowałem to robić jednemu takiemu, ale niewiele z tego wyszło. On dostał zakażenia, a ja po łbie.

– Tu są kolki. Zanurzasz je w kolorku i dziargasz. Miejsce przy miejscu. Nie za głęboko ale i nie za płytko. Popatrz, o tak – Gonzo obtarłszy z igieł resztki barwnika, zrobił sobie kilka pokazowych nakłuć na ręce – i miejsce przy miejscu, pamiętaj. Proste, nie?

– Proste – potwierdził Suchy. – Kopsnij te kolki.

Trzęsącymi się dłońmi wziął od Gonza powiązane nitkami cztery igły,

zanurzył w barwniku i wbił mu w ramię.

– Aj! – wrzasnął Gonzo. – Ześwirowałeś? Nie tak ostro!

– Fakt, deczko za ostro – przyznał ze skrucną Suchy. Ponownie zanurzył igły w barwniku i zaledwie dotknął skóry Gonza.

– No, kolnij, do kurwy nędzy – zgrzytnął zębami Gonzo, patrząc przez ramię na to, co robi Suchy.

– Jak kolłem, toś darł szamot, że za ostro – mruknął Suchy, ale mocniej docisnął igły.

Zanim jednak Suchy doszedł do jakiej-takiej wprawy, darli się na siebie przez co najmniej kwadrans. Obaj byli wykończeni tym eksperymentem. Znałem ten ból. Wiedziałem, jak trudno robić tatuaż. W końcu Suchy jakoś się uporał z wypełnieniem pustych belek na ramionach Gonza. Jednak nie bardzo mu wyszło: tu i ówdzie pozostały niewypełnione barwnikiem miejsca, gdzie indziej zaś przekroczył ramki pagonów.

– Gites, kolerek się przegryzie – westchnął zrezygnowany Gonzo. – Spadaj i nie bierz więcej kolek do wity.

– Co spadaj, co spadaj – warknął Suchy. – Teraz wydziargaj mi tego węża. Na plerach ma być.

– Węża, powiadasz? – westchnął Gonzo. – Niech będzie wąż. Klapsaj na tabor.

Suchy usadowił się na taborecie. Gonzo wziął kolki i wziął się do roboty. Szybko mu zeszło z tym wężem. Niecałe pięć minut. Skończywszy robotę, klasnął w dłonie.

– Masz gitnego węża. A ja pagony.

– Taki jak ten na szablonie? – upewnił się Suchy.

– Dokładnie taki – rzekł Gonzo i starł z jego pleców resztki barwnika zmieszanego z krwią.

Suchy już chciał nałożyć bluzę, ale się powstrzymał. Przewiesiwszy sobie bluzę przez rękę, podszedł do Ostrego i odwrócił się do niego plecami, prezentując świeży tatuaż.

– Gites wąż, no nie?

I wówczas nastąpiło coś nieoczekiwanego. Ostry aż wsadził sobie pięść do gęby i zaczął się podejrzenie krtusić.

– O co biega? – odwrócił się zaniepokojony Suchy.

Ostry przybrał poważny wyraz twarzy, lecz mimo to głos mu nieco drżał.

– Git wąż. Niekiepski.

– No i git – westchnął uspokojony Suchy.

Za to Wydra, który siedział na taborecie tuż obok i także miał okazję widzieć tatuaż Suchego, ryknął śmiechem.

– A ty co tak szczysz? – spojrzał na niego karcąco Suchy.

– A bo tu... cha, cha... w książce – chłopak porwał z łóżka egzemplarz Romea i Julii – takie zbyty są!

– Chyba że tak – rzekł Suchy i nałożył wreszcie bluzę.

Wydra śmiał się jeszcze przez chwilę, a gdy wreszcie spoważniał, podszedł jak gdyby nigdy nic do mnie i powiedział:

– Wiesz, co on ma na plerach?

– Co? – spytałem zaciekawiony.

– Chuja z jajami – i znów wybuchnął śmiechem. Roześmiałem się i ja. – Tylko cicho sza.

– Jasne – odparłem. – Ale i tak w końcu dowie się w łaźni. Całe pudło będzie miało ubaw. Sam też chętnie zobaczę.

Próby „Romea i Julii” powoli dobiegały końca przewidzianego w harmonogramie. Bo więzienie to nie teatr. Tu wszystko musi odbywać się zgodnie z rozkładem i regulaminem.

Na szczęście Wydra doskonale dawał sobie radę jako autor tekstu, reżyser i inscenizator. Wyprzedził nawet oficjalny harmonogram i sztuka nadawała się do wystawienia na co najmniej dwa tygodnie przed oficjalnie zapowiedzianą prapremierą. „Ten chłopak ma prawdziwy talent” – szeptał mi na ucho Jureczek, który, jak szybko zauważyłem, brak talentu i reżyserskiej charyzmy miał zamiar uzupełnić poważnie brzmiącym tytułem naukowym doktora czegoś tam związanego z teatrem. Pewnie jako utytułowany naukowiec zacznie prowadzić wykłady w którejś z wyższych uczelni i jako doktor będzie nauczał studentów tego, czego sam tak naprawdę nie potrafi. Ale chuj mu w dupę – pomyślałem – w przenośni i dosłownie.

Na dzień przed premierą przysłali nam pod celę nowego. Wprowadził go Jan Bez Głowy.

– Nie chcę słyszeć na was żadnych skarg – to mówiąc, wycofał się, pozostawiając przybysza na naszej łasce i niełasce. A znając więzienne życie i gryperskie obyczaje, raczej na niełasce.

– Ile i za co? – spytał Ostry, podchodząc do noworodka.

– Dwa lata. Za kradzież – wystękał nowy.

– Dwa lata jak za brata, na peronie się przelata – mruknął Ostry, a dla nas wszystkich stało się jasne, że noworodek będzie za chwilę obiektem powitalnych gierek. Pod celką brakowało cwela. Nawet Ostry w końcu musiał to przyznać, choć dopóki była z nami Mańka, zdecydowanie rzadziej korzystał z jej usług niż ktokolwiek, a zwłaszcza ja.

Przyjrzałem się przybyszowi, ale nie odznaczał się niczym szczególnym.

– Pierwszy raz w pudle? – zagadnął Ostry.

– Pierwszy.

– Pedał jesteś?

– Co ty! Boże broń!

– Znaczy się za krukami jesteś. Modlący. Tak?

– Nie. Tak mi się tylko powiedziało. Bo pedalstwo to straszna rzecz. I obraza boska.

Nowy mi się nie spodobał. Nie wiem czemu. Chociaż może w jego wypadku stosunkowo łatwo było to wytłumaczyć. Po pierwsze, brak sentymentu. Po

drugie, wrodzona – to się czuło – głupota. Brak pomysłu. Na pewno złapali go na jakimś drobiazgu. Tacy jak on z pewnością nie mają forsy na adwokatów i teraz siedzi. A gdy już wyjdzie, będzie równie głupi, jak przyszedł.

– Za co siedzisz? – spytałem.

– Mówiłem. Za kradzież.

– A co ukradłeś?

Nowy spojrział na mnie spode łba i zawahał się.

– Mów, kurwa jego mać! – wrzasnąłem. – Co ukradłeś?

– Krowę. I konia.

Rozległy się śmiechy. Rozłożyłem bezradnie ręce i zwróciłem się do Ostrego.

– Nie mam więcej pytań.

– Jak to jest? – mruknął Ostry. – Taka gitna była nasza celka, a teraz podkopsali nam cyca-akowca. Kudkudak! – uderzył się rękami po bokach i podskoczył niczym kogut. Ludzie znów zaczęli się śmiać. – Git – rzekł wreszcie Ostry. – Ty, akowiec od fruwej biżuterii, spadaj na kono i rób mało szumu, jak nie chcesz oberwać w uśmiech i zmienić figury. A ty – zwrócił się do EB – skoro jorgasz nawijkę i zasady grypsu, przekręć cycowi, jak jest pod celką. Żeby nie srał, jak się szamie, żeby nie kaleczył i uchał ludzi. I przekręć mu, jakie bęcki obkoczy, jak będzie skakał.

W nocy urządziliśmy nowemu łaźnię, by nie myślał, że pudło to sanatorium. Wszystko było: i kubany, i marchewa, i rower, i kocowanie. Ale bez złości. Ot tak, dla sportu i żeby nie wyjść z wprawy. Zresztą mnie i Wydrę czekał ciężki dzień: miało się przecież odbyć teatralne przedstawienie, toteż pogiercowaliśmy z noworodkiem najwyżej godzinę i poszliśmy spać.

Przyznam, że i ja zacząłem przejmować się spektaklem. Moja rola, a grałem starego Monterka, nie była zbyt przeładowana tekstem. Wymagała raczej sprawności fizycznej, słusznej postury i bitności. Wiadomo, że na próbach raczej się markowało, ale nawet markowanie ma swoje granice. Nikt z pozostałych ludzi nie chciał grać obrzydliwego festa, wroga git-ludzi, mnie zaś było wszystko jedno. Mogłem być i Monterkiem, tym bardziej że rola miała także pewien wymiar mistyczny. Monterek był przecież ojcem Romka, którego grał Wydra. Pikanterii dodawał też fakt, że w jednej z końcowych scen Monterek ma walczyć z Katapultą, tego zaś grał Kizior z celi Świdra. Co prawda obaj w końcu zginą od równocześnie zadanych ciosów sztyletem, jednak zanim to nastąpi, muszą trochę powalczyć na pięści. Za Kiziolem specjalnie nie przepadałem, toteż miałem zamiar, korzystając z okazji jaką był spektakl, po prostu mu dołożyć. Z naszych wewnętrznych ustaleń wynikało zresztą, że na scenie włożymy w cały ten teatrzyk więcej serca niż na próbach. Jak giercować, to giercować. Tak więc to, co mieliśmy odegrać na zaimprovizowanej scenie ku uciesze widzów-garowników, ku satysfakcji

władz więziennych i zaproszonych gości oraz ku chwale pedalskiego doktoratu Jureczka, zapowiadało się ciekawie.

Niemal cały dzień zszedł nam na urządzaniu sceny. Trzeba było zawiesić kurtynę, poustawiać dekoracje przygotowane wcześniej przez Cygana i Diabła, zamontować wypożyczone z jakiejś agencji estradowej reflektory. Uwinęliśmy się z tym dość szybko, a Wydra niczym prawdziwy reżyser i scenograf dbał, by wszystko było dopięte na ostatni guzik.

Po kolacji, o dziewiętnastej, jak w prawdziwym teatrze, rozpoczęło się przedstawienie.

Na wielkiej sali, w nieczynnych od pewnego czasu warsztatach stolarskich, siedzieli więźniowie na swych taboretach, strażnicy, w pierwszym rzędzie zaś zasiadały władze więzienia, z naczelnikiem włącznie, oczywiście Jureczek, dumny i napuszony, tym razem bez apaszki, ale za to pod muchą, a także masa jakichś facetów w garniturach. Więźniów było tylu, ilu mogła pomieścić sala. Sttu, może sttu pięćdziesięciu. Pomyślałem sobie, zerkając na widownię zza kurtyny zrobionej z ciężkiego zielonego sukna, że gdyby miał być organizowany bunt, byłaby to idealna okazja. Ale strażników też było wielu. Każdy w mundurze, z pałką, gazem i kaburą. Pewnie z okazji przedstawienia przestała obowiązywać zmianowość i musieli się stawić wszyscy jak w czasie zamieszek. Przynajmniej się odchamią – uśmiechnąłem się w duchu ze złośliwą satysfakcją – to chyba jedyna okazja, by obejrzeć Romea i Julię, co prawda w więziennej, gryperskiej adaptacji, ale zawsze.

Spojrzałem na Wydrę. Ze wzniesionymi ku górze oczami powtarzał po cichu jakąś kwestię. Wzruszyłem ramionami. Zbędny trud. Wszak, jak w prawdziwym teatrze, był też sufler, mający nam podpowiadać, gdyby któryś z pozał się Boże aktorów zapomniał swojego tekstu. To właśnie Wydra wpadł na ten wcale niegłupi pomysł. Ale chłopak albo o tym zapomniał, albo aż tak przeżywał swój reżysersko-aktorski debiut. Zresztą i pozostali zebrani za kulisami „aktorzy” przeżywali równie silnie swój występ. Kizior-Katapulta, Rambol-ojciec Laurenty, Mańka-Julka, Cygan i Diabeł grający epizodyczne rótki kumpli zakochanej pary, a nawet ci z chóru.

Na sali zgaszono światła. Uderzenie w arkusz blachy zabrzmiało niczym prawdziwy, teatralny gong. Dwaj chórzyści, pociągając równocześnie za linki, rozsunęli zaimprovizowaną kurtynę. Choć spektakl mieli rozpoczynać chórzyści, a reszta aktorów tkwiła w głębi sceny, mój wzrok poraziło ostre światło reflektorów skoncentrowanych na scenie. Zmrużyłem oczy.

– Kurwa mać, ale napierdalają tym słońcem – szepnąłem do stojącego obok Wydry.

– Zhaltuj szamot – syknął Wydra. – Na scenie jesteś, młocie.

– Pierdołę taką scenę... – zacząłem, ale Wydra dał mi bolesnego kuksańca w bok.

Zabrzmiały oklaski, krzyki, gwizdy i tupania. To rozradowani teatralnym wydarzeniem i możliwością zabicia czasu więźniowie dawali upust swym

emocjom.

Owacja trwała przez jakiś czas. Wreszcie na scenę wszedł Prowodyr Chóru, zrobiliśmy nim najbardziej wyszczekanego garownika, Bola. Bolo uniósł w górę rękę i gromkim głosem zawołał:

O wy, zebrani tu widzowie,
Za mikrą chwilę obejrzycie
Historię waśni i miłości,
Co jest silniejsza ponad życie.

Mistrz znad Awonu tę historię
Pierwszy zapodał, zwał się Szekspir.
On ją zapodał drętwą gadką,
My zaś nie będąc odeń kiepści,

Ową nawijkę wolną mową
Przetłumaczyliśmy fachowo
Na gryps uchaniu gitny wielce.

Kurwa, kurwa, kurwa! Jak on mówił! Jak najlepszy aktor jakiś!

Na znak Bola do przodu wystąpił Chór, do którego dołączyli dwaj „kurtynowi”. Chór wydekłamował:

W więźniu omszałym, w pawilonach
Męskim i żeńskim, przebywali
Romek i Julka, co niewinnie
Wyroki swe odgibywali.

A ich jareccy też leżeli.
Jeden był festem, drugi gitem.
Ostro mącili pod oddziałem,
Krzywo lukali na się przy tym.

Festa Monterkiem nazywali,
Był jarym Julki, gites many.
Git zaś miał ksywkę Katapulta.
Romek, syn jego ukochany,
Gibał za friko zhaltowany.

Chór usunął się za kulisy. Posypały się brawa i entuzjastyczne gwizdy. Frajerzy w pierwszych rzędach poprawili się na krzesłach i z uznaniem pokiwali głowami.

Na scenę urządzoną na wzór spacerniaka wyszli aktorzy i zaczęli łązić parami tam i z powrotem. Doprawdy śmiesznie wyglądał Bury

w wypożyczonym, nieco za dużym mundurze strażnika, w dodatku z pałąką, grający klawisza pilnującego więźniów na spacerze. Za moment powinna rozegrać się scena, gdy Romek ujrzy w oknie kobiecego pawilonu Julkę i rozpocznie swój monolog.

Do mojego pierwszego wejścia było jeszcze sporo czasu. Postanowiłem pójść do dyżurki pełniącej teraz funkcję garderoby i zapalić papierosa. W kanciapie siedzieli jeszcze Rambol-Laurenty i Kizior-Katapult. Korzystając z okazji do swobodnej rozmowy, wymieniali doświadczenia.

– Jalki odkluczaj tak: wkitraj watę do jalki, nasyp benzyny i zajaraj – tłumaczył Rambol Kiziorowi. – Jak się wata wyjara, jalkę odkluczysz każdym szajsem.

– Co, kurwa jego mać, uniwerek złodziejski? – mruknąłem, wyciągając paczkę papierosów i częstując rozmawiających.

– Coś nie podchodzi? – burknął Kizior, sięgając po szluga.

– Podchodzi, wszystko git – uśmiechnąłem się na myśl, jakie niedługo bęcki spuszczę na scenie przebrzydłemu Kiziorowi.

– A co tak szcysz? – mruknął Kizior, patrząc na mnie z niechęcią. – Za prześmiewkę robisz?

– Cweluj z glana, Kizior – odparłem zirytowany. – Mózguj o przedstawieniu.

Paliliśmy w milczeniu, spoglądając jeden na drugiego.

– Ach, kurwa jego mać w dupę jebana, zabyłem – odezwał się znienacka Kizior i zwrócił się do mnie. – Świder pyta, czy żeście się już przypucowali.

– Do czego? – spojrzałem na niego pytająco.

– Do tamtego uboju.

– Nic, kurwa mać, nie jor gam. O co ci biega?

– Biega o tamten ubój w Gdańsku. I zjazdówkę mącieli.

– Trzeba było tak od razu. Jeszcze nie. Pucujemy się za dwa wojtki. Żeby wszyscy naraz.

– Grypsy posłane?

– Już dawno.

– Przyśmigały nowe wianki?

– Od Rakiety z klęczek. W sprawie białych kołnierzyków. Nawija, że to frajerzy i jak się położą do pudła, trzeba ich kiepścić. Ale to mi nie podchodzi. Jak taki odgiba swoje, to ma długie witki. Sygnie hajsem i udupi kogo chce. Zresztą dają ludziom robotę. Kasy mają jak lodu i potrzebują takich jak my do czarnej roboty. Dług odzyskać, postraszyć, zgłanować.

Nagle drzwi się otworzyły i do kanciapy zajrzał Wydra. Na nasz widok wcisnął się do środka i krzyknął:

– A wy co tu robicie, kurwa w mordę jebana mać? Śmigać na scenę. Zaraz wasza kolej. Jazda!

Opuściliśmy dyżurkę.

Spojrzałem na Kiziora z wrogością i wyrecytowałem:

Co mi tu gamzasz, ty ciężki frajerze!
Zhaltuj swój szamot, kurwa twoja matka!
Mój syn jedyny nie będzie się szłoł
Z córką kiepszczaka. Ja ci to nawijam!

Kizior odparł:

Kiepszczak to taki, co będąc człowiekiem,
Został skiepszczony za swoje krzywości,
Więc teraz feści, bo coś musi robić,
Żeby na glany frajera nie brali.
Fest jest czymś gorszym aniżeli róża.
Jesteś za mały, bym na ciebie splunął.
Posuń się, Monter!

Popchnąłem go silnie.

Sam się posuń, gnoju!

Kizior się zachwiał. Nie spodziewał się, że popchnę go tak mocno. Spojrzał na mnie ze złością i powiedział:

Kobiece głosy śmigają w niebiosy
Nic nie słyszałem, bo bym cię utrupił.

Krzyknąłem:

Ty już nie żyjesz!
Pies cię dymał w styję!

Uderzyłem Kiziora w szczękę, aż stracił równowagę i zdumiony usiadł na deskach.

– Jak oni naturalnie grają! – dobiegł mnie pełen zachwytu szept z pierwszego rzędu.

W tym jednak momencie, zgodnie ze scenariuszem, podbiegli Cygan i Diabeł, mający nas rozdzielić. Diabeł chwycił mnie od tyłu za łokcie i zawlókł za kulisy, za to Cygan, widząc Kiziora siedzącego na podłodze i obmacującego szczękę, stanął bezradnie, nie wiedząc, co ma zrobić. Miał przecież rozdzielać walczących.

– Podnieś go, do kurwy nędzy, i wyprowadź – rozległ się natarczywy szept przytomnego suflera.

Korzystając z okazji, bo znów miałem dłuższą chwilę przerwy, wyrwałem się do dyżurki na papierosa. Ledwie się jednak rozsiadłem i zadowolony z siebie

zapaliłem tym razem zasłużonego camela, bo camele z kartonu od reżysera chowałem na specjalne okazje, do kanciapy weszli Cygan z Kiziolem i Wydra, który też miał chwilę przerwy i przyszedł na papierosa.

Kizior z miejsca podszedł do mnie i wysyczał:

– Ach, ty Monterku, kurwa festowska twoja mać! Co ty odpierdalasz?! Napierdalać się chcesz, to możemy startować!

– Gra mnie poniosła – uśmiechnąłem się nieszczercze. – Tak jakoś wyszło.

– Ależ to było świetne! – wtrącił się Wydra, częstując się papierosem od Cygana. Nie wiedziałem, czy rzeczywiście tak sądził, czy też chciał tylko rozładować sytuację.

– Co w tym takiego świetnego? – spytałem.

– Ta walka. To było rewelacyjne! I takie autentyczne! – zachwycił się Wydra.

– Bo on zapierdolił mnie bez kiciora! – warknął Kizior, dotykając szczęki.

– Tak? – zdumiał się Wydra, wydawało mi się, że odrobinę nieszczercze. – Ale byliście świetni. A teraz przyciszcicie sobie. Za jakiś kwadrans znowu wchodzić. Gites – pociągnął jeszcze dwa szybkie machy i odgasił peta. – Spadam, bo zaraz moja kolej – mówiąc to, wyskoczył z dyżurki.

Kizior spojrział na mnie z nieukrywaną wrogością, po czym wyjął swoje papierosy i zapalił.

Aby zejść mu z oczu, opuściłem kanciapę i niczym inspicjent, poszedłem podglądać aktorów na scenie.

Na widowni rozległy się salwy śmiechu. To Romek wyznawał miłość Julce, czyli Mańce ucharakteryzowanej na kobietę. Scena była bardziej patetyczna niż śmieszna, toteż frajerzy z pierwszego rzędu, oburzeni zachowaniem reszty publiki, zaczęli odwracać się i psykać na rozbawionych więźniów. Ale skąd biedacy mogli wiedzieć, iż ludzie się śmieją dlatego, że Julkę gra Mańka, więzienny cwel. Lojalnie uprzedzałem chłopaka, że ludzie będą się chachać, ale Wydra się uparł: „Niech się chachają, ale coś z Szekspira musi w tym jednak zostać”!

Muszę przyznać, że Wydra okazał się również doskonałym aktorem, oczywiście uwzględniając jego kompletny, dotychczasowy brak doświadczenia w tej materii. Ze zdumieniem odkryłem też aktorski talent u Mańki. Ta sceniczna parka była naprawdę świetna. Grali niezwykle przekonująco, zupełnie jak zawodowcy. Toteż gdy przebrzmiały budzące nieopisaną radość patetyczne wyznania miłości gita do cwela, śmiechy zaczęły przycichać, a ten i ów zaczynał nawet wzdychać, pewnie przypominając sobie własne doświadczenia z kobietami.

Chciałbym przekreślić ci, że kocham,
Czaj kimą kiram, schnąć nie mogę,
Szlugów zjarałem cały wagon,
Lecz został nieździargany pagon

Do odgibania pozostały:
Przedemną jest kalendarz cały.

Słuchałem Wydry z niekłamaną przyjemnością. Sposób, w jaki grał tę scenę, powodował, że nawet grypsierka w ustach szekspirowskiego Romea nie tylko nie raziła, ale wręcz brzmiała jak muzyka. Jednakże mniej wtajemniczeni w grypsierkę frajerzy z pierwszego rzędu zaczęli spoglądać po sobie niepewnie i nerwowo wiercić się na krzesłach. Za to więzienne naczalstwo, też zasiadające w honorowym, frajerskim rzędzie, słuchało tych kwestii nie tylko ze zrozumieniem, lecz nawet z niekłamanym ukontentowaniem. Jeśli ktoś znał słownictwo, musiał przyznać, że Wydra, tłumacząc Szekspira na grypsierkę, odwalił kawał dobrej roboty.

Przyszła kolej na odpowiedź Mańki.
Trukasz, że kochasz? Ja też Kocham.
Tylko jarecki mój szeleści,
Że łeb mi urźnie, gdy się złączę
Z synem frajera, który feści.
Ja nie kapuję tych ich gier.
Czy git, czy fest – nie ma różnicy.
Czuję, że Kocham cię, najdroższy,
Nic więcej dla mnie się nie liczy.

Spojrzałem na zegar wiszący na ścianie. Niebawem nastąpi scena walki z Kiziolem. Aż uśmiechnąłem się na samą myśl, jak mu przy wszystkich dołożę. Zacząłem w myślach powtarzać swą kwestię poprzedzającą bójkę, ale pamięć niespodziewanie odmówiła mi posłuszeństwa. Zaraz, jak to było? Coś z podchodzeniem. „Co, nie podchodzi ci, że feschę?” Ale co dalej? Coś z glanowaniem, ale co? „Wezmę tu zaraz cię na glany”? Nie, nie tak, coś jeszcze było przedtem.

Na próżno jednak wysilałem pamięć. Tekst kwestii, choć krótki, po prostu wyleciał mi z głowy. Całe szczęście, że Wydra pomyślał o suflerze.

Zapadła kurtyna. Publiczność oklaskami i tupaniem nagrodziła występ Wydry i Mańki. Wydra, schodząc ze sceny, dał mi znak, że teraz moja kolej.

Cygan i Diabeł szybko zmienili dekoracje. Ustawili taborety i atrapę drzwi z sugestywnie wymalowanym czerwonym krzyżem. Usiadłem na taborecie jak najbliżej kurtyny, by lepiej słyszeć suflera i szepnąłem mu:

- Jakbym zabył, co nawijać, to podkopsaj.
- Git – ukryty za kurtyną sufler skinął głową.

Na pozostałych taboretach zasiedli Cygan i Diabeł. Gdy kurtyna została odsłonięta, oczom publiczności ukazała się poczekalnia lekarza więziennego, gdzie miała rozegrać się krwawa walka Monterka z Katapultą. Poczekaj, skurwysynu, teraz dopiero cię załatwię – pomyślałem ze złośliwą satysfakcją.

Siedzieliśmy tak przez chwilę we trójkę w zaimprovizowanej poczekalni,

gdy nadciągnął Kizior. Gdy ujrzał mnie, stanął w rozkroku i wydekłamował:

Kogo tu mamy! To Monterek!
Ty wszawy feście, jeszcze żyjesz?

Zrywając się z taboretu, stanąłem naprzeciw niego i z pasją odparłem:

O, Katapulta, kiepski szamak,
Co podkopsuje innym styję!

Kizior wziął się pod boki:

Git, że konował jest w pobliżu.
Nie będą cię daleko targać,
Za to, że feścisz, ty frajerze,
Zostanie z ciebie tylko miazga!

Niespodziewanie właściwy tekst, bez pomocy suflera, sam mi się przypomniał:

Co, nie podchodzi ci, że feschczę?!
Nie będziesz, gicie obdziargany,
Żenił bałachów o wyższości
Grypsu, bo wezmę cię na glany!

Kizior zacisnął pięści:

Ty, feście, chcesz mnie wziąć na glany?!
Sama mi się w karmanie kosa
Otwiera, gdy feschczenie słyszę,
Choć damski głos śmiga w niebiososa.

Ta kwestia była sygnałem do rozpoczęcia bójki. Zgodnie ze scenariuszem, Kizior miał uderzyć mnie pierwszy, co też uczynił. Bynajmniej jednak nie był to cios markowany. Poczulem w ustach słony smak. Skurwiel musiał rozciąć mi wargę. Zrozumiałem, że to była odpowiedź na mój cios w poprzedniej wspólnej scenie. Zamachnąłem się potężnie i trafiłem go w podbródek. Ale i on nie pozostał mi dłużny: uderzył głową. Z byka. Nie spodziewałem się takiego ciosu, choć Kizior znany był z tego, że potrafi bić łbem. Odrzuciło mnie na ścianę.

Na widowni zawrzało. Więźniowie zaczęli tupać i gwizdać. Wydra, widząc, co się dzieje, dawał nam zza kurtyny rozpaczliwe znaki, żebyśmy przestali. Ale bójka tak naprawdę dopiero się rozpoczynała. Stanęliśmy naprzeciw siebie, ciężko dysząc, niczym rozwścieczone psy.

– Świetnie grają! Zupełnie, jakby bili się naprawdę! – doszło mnie pełne

podziwu westchnienie jakiegoś frajera na widowni.

Wydra jednak stanął na wysokości zadania. Najwidoczniej zdecydował się na zmianę w scenariuszu, bo oto dopadli nas od tyłu czterej chórzysci i chwytając za ręce, obezwładnili. W tym momencie na scenie zjawił się niespodziewanie Romeo. Ze zdumieniem usłyszałem tekst, którego w sztuce nie było:

To Katapulta i mój ojciec walczą!
Za czym ta walka? Czemu się bijecie?
Jak dwaj frajerzy, a nie jak sztywniaki.
No, jazda, ucham! Może bałakniecie?!

Przyznam, że zbaraniałem. Kizior zresztą też. Spojrzeliśmy na siebie bezradnie, nie wiedząc, co począć. Z wrażenia zapomnieliśmy nawet o bitce.

– Co, kurwa mać, odpierdalacie? – szepnął nam tymczasem rozwścieczony Wydra, ale tak, by publiczność tego nie słyszała. – Chcecie atandy na scenie? Basta! – po czym odwrócił się ku publiczności i jak gdyby nigdy nic, płynnie zaimprovizował jedenastozgłoskowcem:

A teraz milczą. Ojczy, nic nie powiesz?
On ci nabluzgał? – wskazał na Kiziora.
Zmyj bluzg jego juchą!
Puśćcie ich teraz – rozkazał trzymającym nas chórzystom.
Niech sięgną po kosy,
Bluzg Katapultcie nie ujdzie na sucho!

Cóż było robić? Stanęliśmy znów naprzeciw siebie, zrezygnowani wyciągnęliśmy z kieszeni drewniane atrapy noży, oczywiście bez czubków, i zaczęliśmy tym razem już tylko udawać, że walczymy. Wówczas na scenie zgodnie ze scenariuszem pojawił się chór, który wydeklamował:

Tak bój rozpoczął się okrutny,
Do krwi ostatniej, bój o życie.
Tak się reguły z zasadami
Zmagały, farbując obficie.
Nagle w tej samej, mikrej chwili
Obaj zadali kosą pchnięcia.
I Katapulta, i Monterek
Na wieki padli w swe objęcia.

Tak oto przyszła pora zadać sobie śmiertelne ciosy. Udałem, że wbijam nóż w pierś Kiziora. I w tym momencie spotkała mnie już ostatnia z jego strony, ale bolesna niespodzianka. On nie zamarkował ciosu. Z całej siły walnął mnie drewnem pod żebro. Stęknąłem głucho. Nóż, który trzymałem w dłoni, ze

stukotem poleciał na deski. Upadliśmy obaj, niby zabici, ale on cały i zdrów, ja zaś autentycznie bez tchu.

Zapadła kurtyna. Widownia nagrodziła nasz występ burzliwą owacją.

Z trudem wstałem z podłogi. Kizior zerwał się z ziemi wcześniej. Na wszelki wypadek stanął w pewnym oddaleniu.

– Dopadnę cię – oznajmiłem krótko. – Nie teraz, bo nie chcę Wydrze skiepszczyć sztuki.

– O co ci biega? – Kizior uśmiechnął się niewinnie. – Gra mnie poniosła. Wiesz, jak to jest.

– Cweluj z glana! – zgrzytnąłem zębami, rozcierając obolałe miejsce. Gdyby nie gruba bluza, podkoszulek i to, że „nóż” miał tępy czubek, mógł mnie załatwić nawet tym drewnem.

Trzeba było jednak zbierać się ze sceny, bo Cygan i Diabeł już wnosili nowe dekoracje.

Wydra podszedł do mnie i zapytał:

– To jak? Jak robimy na koniec?

– Tak jak było ustalone. Jak gwizdnę, to chłopaki chwycą Mańkę i ściągną jej sztany – uśmiechnąłem się.

– A to nie za gruby przekręt?

– Nie dygaj, młody, kurwa twoja mać – uspokoilem go.

– Hmm – mruknął tylko Wydra i oddalił się. Ja zaś poszedłem do „garderoby” na papierosa. Nawiasem mówiąc, w kanciapie dym aż szczypał w oczy. Jak któryś z nas miał choć chwilę przerwy, zaraz leciał jarać. Za to na widowni jak w prawdziwym teatrze. Zero szlugów, bez plucia, bez przepychanek, słowem pełna kultura.

Ledwo zapaliłem, przybiegł zdyszany Wydra.

– Słuchaj, Cichy, nie róbmy tego. Przemyślałem sprawę.

– O co ci biega? Najpierw chcesz, potem nie chcesz...

– Może być gorąco. Klawisze już zaczęli się kręcić, jak ty i Kizior wzięliście się za łby. To było widać, że lutujecie się bez kiciora. Oni są uzbrojeni po zęby.

– Dygasz się klawiszzy?

– Ja nie, ale...

– To nie dygaj i nie peniaj.

– Muszę spadać, bo teraz jest finał – powiedział Wydra i rzucił się do drzwi. Zatrzymał się jednak i na odchodnym dodał. – Cichy, nie róbmy tego.

– A właśnie, że zrobimy. Sam to wymyśliłeś, do kurwy nędzy!

Wydra zniknął za drzwiami. Po chwili do dyżurki wszedł Kizior w towarzystwie Diabła i Cygana.

– Cześć, Katapulto – na jego widok aż się we mnie zagotowało. Wstałem z krzesła i podszedłem do niego. – Masz wianek od Monterka. Kazał ci nawinać, że jak cię przytnie, to weźmie cię na glany.

Kizior spojrzał na mnie niepewnie i spróbował się uśmiechnąć.

– Dobra, mały. Stawaj na parkiet – bluznąłem mu przy świadkach, aby stało

się jasne, że mówię serio i że mam ochotę wyrównać z nim rachunki za ten cios „nożem”.

Kizior zagryzł wargi.

– Solo! Jorgasz, czy mam ci przekręcić głanami? Diabeł! – krzyknąłem. – Stawaj na kata! – po czym z półobrotu zadałem pierwszy, zdradziecki cios, który powalił Kiziora na podłogę. Zrozumiał, że to nie przelewki. Poderwał się z ziemi i usiłował przyjąć postawę do walki, ale nie zdążył: lewym prostym, który dosięgnął go w żołądek, a następnie silnym uderzeniem w skroń powaliłem go z powrotem. Następnie chwyciłem ogłuszonego Kiziora za włosy i uderzyłem jego głową o podłogę.

– To, gnoju, żebyś łbem nie bił! – znów walnąłem jego głową o ziemię. – Żebyś łbem nie bił! Żebyś...

– Cichy, basta! – krzyknął Diabeł. – To solo, a nie ubój! Zbastuj, on jest gotów!

– ...żebyś, kurwa twoja mać, łbem nie bił!...

Diabeł i Cygan dopadli do mnie i siłą odciągnęli od nieprzytomnego Kiziora. I w tym momencie otworzyły się drzwi. Na progu stanął Bambosz.

– Aleście tu najarali... – zaczął, lecz nagle głos uwiązł mu w krtani, a przyjazny uśmiech zniknął z twarzy bez śladu. – Co tu się dzieje?! – spojrzał na leżącego Kiziora, potem na nas.

– Nic – odparł szybko Cygan. – Kolega się poślizgnął.

Bambosz podszedł do Kiziora i nachylił się nad nim.

– Poślizgnął się? – spojrzał na nas wściekły. – Przecież on jest nieprzytomny!

– A, bo jak się przewinął – zaczął tłumaczyć Cygan – to kaflem jebnął w parkiet.

– Na moment was samych zostawić nie można! – warknął Bambosz. – Ty jesteś Cichecki, tak? – wskazał na mnie palcem. Kiwnąłem głową. – Ciebie, Cygan, znam. Ale ciebie nie. Jak nazwisko?! – Bambosz zwrócił się do Diabła i wyciągnął notes.

Diabeł nerwowo przełknął ślinę.

– Anielewicz.

– Imię?

– Dariusz.

– Cela?

– Szesnasta, pawilon B.

– Nie ruszać mi się stąd – mruknął Bambosz i pospiesznie wyszedł z „garderoby”.

– Kurwa twoja mać, człowieku – stęknął przerażony Diabeł, gdy za strażnikami zamknęły się drzwi. – W coś ty nas wkitrał?

– Nie peniaj – wzruszyłem ramionami, choć sam czułem się niepewnie. – Wszystko git.

– Człowieku, a może tyś go utrupił? Lukaj, on się nie rusza!

– Eee, smutki nawijasz – odparłem, ale sam byłem zaniepokojony. Tłukłem przecież głową Kiziora o podłogę z całej siły.

Podszedłem do leżącego. Nie ruszał się. Z nosa sączyła się cienka strużka krwi. Nachyliłem się nad nim. Chyba oddychał, ale nie byłem pewien. Przykłęknąłem i wymacałem tętnicę na szyi. Poczułem słabe uderzenia pulsu.

– Żyje – powiedziałem do Cygana i Diabła.

– To dlaczego się nie rusza? – mruknął Cygan.

– Bo zaliczył kaflem parkiet, to się deczko w nim skiczyło.

Z sąsiadującej z „garderobą” sali teatralnej dobiegły gromkie brawa, gwizdy i tupania. Przez to wszystko na śmierć zapomniałem o Mańce. Czyżby sztuka już się zakończyła? Miałem przecież gwizdnięciem dać ludziom znać, żeby ściągnęli z Mańki spodnie. To miała być finałowa scena. Przekręt na wielką skalę. Podbiegłem do drzwi, licząc, że być może nie jest jeszcze za późno, ale w drzwiach nieomal zderzyłem z Bamboszem, który przyprowadził więziennego lekarza. Konował jak reszta klawiatury także zasiadał na widowni, toteż nie było potrzeby ściągania lekarza z zewnątrz ani dzwonienia po pogotowie.

– A ty gdzie?! – huknął na mnie Bambosz. – Mówiłem: nigdzie się nie ruszać!

– Muszę na scenę – powiedziałem. – Ja gram.

– Już się skończyło – fuknął strażnik i wskazał konowałowi leżącego na ziemi Kiziora. – To ten, panie doktorze.

Lekarz, w garniturze i pod krawatem, odwalony na przedstawienie, przykucnął obok Kiziora i zabrał się do pobieżnego badania. Sprawdził puls, rozchylił nieprzytomnemu powieki, podniósł mu głowę, zbadał napięcie mięśni.

– Jak to się stało? – spojrzał na nas z niechęcią, chyba nie oczekując, że powiemy mu prawdę.

– Poślizgnął się – pospieszył z wyjaśnieniem Cygan. – Uderzył głową w parkiet... Kaflem w podłogę... Głową, znaczy się...

– Trudno coś powiedzieć – westchnął zrezygnowany lekarz. – Długo tak leży?

– Nie wiem, zaraz po pana poszedłem, jak go tylko zobaczyłem – odparł Bambosz i spojrzał na nas. – Dawno to się stało?

– Dopiero co, jak pan przyśmi... przyszedł – odparł Cygan.

– To będzie jakieś dziesięć minut. Góra piętnaście – wyjaśnił lekarzowi Bambosz.

– Podejrzewam wstrząs mózgu, może nawet coś gorszego. Ale i tak nic tu nie zrobię. Trzeba dzwonić po pogotowie. Może być jakiś krwiak, a wtedy trzeba robić trepanację – konował wstał i bezradnie rozłożył ręce.

– To ja pójde zadzwonić – rzekł Bambosz.

Obaj wyszli z kanciapy. Ale niedługo byliśmy sami. Za moment wpadł Wydra, Mańka i reszta towarzystwa. Wydra, roześmiany, upojony sukcesem,

rzucił mi się na szyję.

– To rewelka! Sukces! Cichy, mówię ci: rewelka! – wyściskał mnie, lecz nagle odsunął się i poważniejąc dodał: – Dzięki.

– Za co mi dziękujesz? – spytałem.

– Za wszystko. A przede wszystkim za to, że odpuściłeś Mańce. Wiesz? To by wszystko zepsuło. A tak jest git! Git, kumasz? – w podnieceniu wypłacił mi gulę, a potem blachę. – Git jest, Cichy!

– Niby co jest git? – z wyżyn sprowadziłem go na ziemię.

– Jak to co? – spojrzał na mnie zaskoczony. – Wszystko! Sztuka! Mówię ci, sukces! A jak się garuchom podobało! A co ty jesteś taki jakiś... – rozejrzał się i dopiero teraz spostrzegł leżącego na ziemi Kiziora. – Co tu się stało?

– Nic – wzruszyłem ramionami. – Wypłaciłem frajerowi, co mu się należało.

– Co mu zrobiłeś?

– Trochę mu baniak skiczyłem.

– Żyje?

– Żyje. Bambosz polecił dzwonić na pogotowie.

– A toś sobie nagrabił...

– Wersja oficjalna brzmi: poślizgnął się frajer i nabił sobie guza.

– Za grubymi nićmi szyte.

– Tylko dlatego Mańka uratowała resztki swego cwelskiego honoru. Biłem się z Kiziolem, zamiast dać chłopakom sygnał. A bez sygnału mieli nie zaczynać.

– Ale dobrze się stało. To by wszystko zepsuło.

– Co ty tam wiesz! – zachnąłem się. – To by dopiero ludzi podjarało! Ale trudno. Stało się.

– W każdym razie dzięki.

Wypłaciłem Wydrze blachę.

– Za co?! – oburzył się chłopak.

– Zapamiętaj sobie, młody. Git nie prosi ani nie dziękuje. Rura ci mięknie. A ja myślałem, żeś sztywniacha.

– Kitraj się! – warknął Wydra. – Cweluj z glana!

– Ech, ty – ojcowskim gestem zwichrzyłem mu jasną czuprynę. – Będą z ciebie ludzie.

– Już jestem człowiek – odparł Wydra.

– Jakże bym mógł! – uśmiechnąłem się. – Jesteś git. Sztywny i charakterny.

– Chyba że tak – rozchmurzył się Wydra.

Kizior wylądował w szpitalu, ale doszedł do siebie. Miał ponoć silny wstrząs mózgu i jakiś krwiał, który mu usuwali, ale miało mu się na życie, toteż Bambosz, naprawdę złoty klawisz, nie nadał sprawie rozgłosu. Wersja oficjalna brzmiała, że Kizior poślizgnął się, nabił sobie guza i stąd cała sprawa. W każdym razie nie poszliśmy do karnego raportu. Wychowawca

wezwał mnie na rozmowę i wypytywał, jak to było w rzeczywistości, ale ustaliliśmy z Cyganem i Diabłem, że trzymamy się wersji wypadku. Zresztą zanim zacząłem walić baniakiem Kiziora o parkiet, nie zdążyłem poważnie uszkodzić mu gęby, toteż wersja poślizgnięcia się i rozbicia samej tylko głowy wydawała się wielce prawdopodobna.

Przyszła wiadomość z przedszkola, że EB gitnie się prowadził, toteż zaprosiliśmy go do blatu i dopuściliśmy do naszego towarzystwa. Nie był cwelem, a ślad po oparzeniu na nosie musiał rzeczywiście powstać na posterunku policji, tak jak mówił. Na wyprostowaniu EB najbardziej skorzystał Suchy: teraz mógł z nim bez przeszkód waflować i prowadzić długie rozmowy, nie narażając się na posądzenia, że trzyma sztamę z frajerem.

Z cycem-akowcem, którego z racji braku więziennego doświadczenia sprawdzać nie było potrzeby, zagiercowaliśmy w końcu w kiełbasę. Frajer miał ciężki pomysłuńek, zachowywał się jak spawacz konstrukcji drewnianych, pod celką brakowało panienki, toteż moja propozycja, by zagrać z nowym w kiełbasę, wszystkim przypadła do gustu. Nowy był zresztą tak zastraszony, że zgadzał się na wszystko. Choć EB zdążył wyjaśnić mu to i owo z obyczajów git-ludzi, akowiec nie spodziewając się, czym może skończyć się dla niego na pozór niewinna zabawa, przystał na nią, byleśmy tylko dali mu spokój i nie bili.

– Teraz zawiążemy ci oczy – wyjaśniłem nowemu zasady gry – i z zasłoniętymi lipkami podejdziesz do tej szafki. Tam będzie leżała gięta. Znaczy się kiełbasa – wskazałem skrawek parówki postawiony sztorcem na szafce. – Jak do niej trafisz, weźmiesz ją sobie do szamy.

– I to wszystko? – spytał akowiec.

– Wszystko. Ale nie myśl, że to leberko z zakrytymi lipkami wszamać giętą. Ludzie będą ci mówić, jak masz do niej trafić. Kumasz?

– Czemu zaś i nie! – odparł akowiec. – Ale bić nie będziecie?

– Żadnego lutowania.

– Dobra – westchnął zrezygnowany akowiec.

Wydra, zacierając dłonie, zawiązał nowemu oczy. W roli kiełbasy wystąpiłem ja sam. Zjadłem postawiony na szafce skrawek parówki, usiadłem na szafce, rozpiąłem rozporek i wyciągnąłem członek. Parę ruchów wystarczyło, by stanął jak należy.

– Przed siebie. W prawo. Teraz krok w lewo – pokrzykiwali na akowca podnieceni gierką ludzie, usiłując skierować go na mnie.

W końcu akowiec dotarł do szafki.

– Stój.

Staął.

– Nachyl się. Ale powoli – inicjatywę przejął Wydra. – Będziemy cię naprowadzać.

Podnieceni zabawą ludzie parskali śmiechem.

– Powoli. Bardziej w prawo. Za bardzo. Trochę w lewo. Dobra. Nachył się. Już blisko. Otwórz szamę. Ale nie gryź. Powolutku, żebyś trafił.

Naprowadzany akowiec w końcu objął wargami mój członek.

– Dobra. Możesz odsłonić oczy.

Akowiec jednym ruchem ręki zsunął z oczu opaskę i zdębiał. Ludzie ryknęli śmiechem. Szybko wyjąłem mu członek z ust. Niektórzy w odruchu wściekłości mogliby ugryźć. Zeskoczyłem z szafki.

– Cwel! Cwel! – wrzeszczeli jeden przez drugiego. – Smakowała kiełbasa? Cwel papuśnik! Parówa!

– Wy skurwysyny... – wykrztusił akowiec i potoczył wokół nieprzytomnym z bezsilnej złości wzrokiem.

Ostry zerwał się ze swego taboretu i doskoczył do nowego. Za nim podeszli inni.

– Jak powiedziałaś, parówo? Skurwysyny?

Uderzył akowca pięścią w twarz. Nowy chciał się bronić, ale posypał się na niego grad ciosów od pozostałych. W ogólnym zamieszaniu ludzie tylko sobie nawzajem przeszkadzali. Żaden cios nie mógł być precyzyjny. W końcu jednak nowy wylądował na podłodze. Tam zaś czekało na niego pięć par nóg. Pięć, bo ja trzymałem się na uboczu. Kopniaki były o wiele bardziej dotkliwe, silne i precyzyjniej wymierzane od przypadkowych ciosów zadawanych w ścisku.

– Basta! – zawołałem, obserwując ludzi znęcających się nad leżącym noworodkiem. – Basta, bo nie będzie mógł wziąć w piec.

Podziałało. Ludzie odstąpili od nowego. Nie zdążyli na szczęście zrobić mu poważnej krzywdy, bo kiedy tylko przestali kopać, akowiec zaczął gramolić się z podłogi.

– Zważ, co nawijasz – lojalnie uprzedziłem nowego. – A najlepiej kitraj szamę w kubeł. Jesteś teraz cwel. Twoje jedyne prawo to robić za tuftę i dawać styi.

Ostry wielkopańskim gestem rzucił na podłogę kostkę margaryny.

– Smaruj, kurwo, styję, bo ułani jadą.

– Co? – wystękał akowiec, obcierając wierzchem dłoni krew kapiącą z nosa.

– Dupsko smaruj, bo będziesz jebany! – warknął Ostry.

– Kurwa! Kurwa!! – rozdarł się noworodek. – Czego wy ode mnie chcecie?!

– Zhaltuj szamot! – Ostry uderzył go w twarz. W okamgnieniu w dłoni mąciela pojawiła się nieodłączna brzytwa. Przystawił ją przerażonemu frajerowi do gardła. – Uchaj, gnoju. Tu jest pudło. Tu zawsze jest cicho i spoko. Za skakanie i kapowanie kosą można obskoczyć. Nawet jak cię przetaskają pod inną celkę, kapusia zawsze dopadniemy. Jak żeś wziął koniec do szamy, toś cwel. A jakeś cwel, to musisz dawać styi A ludziom nie bluzgaj, bo skończysz w parku sztywnych. Jorgasz?

– Co ja wam zrobiłem? – chlipnął zrozpaczony akowiec.

– Krowy kradłeś i kury. Gnój jesteś, nie człowiek – Ostry odstawił brzytwę od szyi nowego. – A teraz smaruj dupsko. Gitniej ci będzie wpadać. No już!

Obawiałem się, że nowemu odbije. Że jednak się postawi. Ale nie. Powoli, bardzo powoli, jakby chciał odwlekać tę chwilę w nieskończoność, schylił się i podniósł z ziemi margarynę.

– Nie zabijajcie...

– Smaruj dupę!

Nowy opuścił spodnie. Z niesmakiem odwróciłem głowę. Choć żałowałem, że Ostry wydalili Mańkę, to jednak nie miałem ochoty na tego akowca. Ale jak sztafeta, to sztafeta. Wszyscy po kolei. Czy miałem ochotę, czy nie.

Wydrę i mnie wezwał naczelnik. Nas obu, równocześnie. Zapowiedział to Jan Bez Głowy na porannym apelu. Stwierdził beznamiętnie, że jesteśmy zapisani i żeby się przygotować. Ogolić, umyć, jakby git świnia był i nie dbał o czystość i przyzwoity wygląd. Nie darmo nadałem klawiszowi taką ksywkę. Robiąc tyle lat w pudle, powinien już wiedzieć, że git-ludzie, w przeciwieństwie do wielu innych więźniów, wyróżniają się przesadną wręcz dbałością o wygląd. Zawsze czysti, zawsze schludni, w odprasowanej – choćby nawet pod prześcieradłem – bluzie, zawsze ogoleni.

Jednak tuż przed obiadem to nie Jan Bez Głowy zaprowadził nas obu do naczelnika, lecz Pipa, strażnik z piętra. Wywołał nas po nazwisku i zaprowadził na górę.

Naczelnik czekał już w gabinecie. Pomyślałem, że gdyby wezwał nas oddzielnie, Wydra, owszem, pogadałby sobie z nim, ja zaś miałbym okazję jedynie napalić się darmowych fajek, niby przypadkowo pozostawionych na biurku.

– Chciałbym wam podziękować w imieniu władz naszego zakładu, a także w imieniu Wyższej Szkoły Teatralnej i pana Jerzego, za pomoc i udział w realizacji tego wspaniałego widowiska – zagał naczelnik, wstając zza biurka i wyciągając rękę najpierw do mnie, potem do Wydry. – To była dobra robota, Bardzo dobra – zakończył, sadowiąc się na powrót za biurkiem.

– To nie mnie należą się podziękowania, lecz więźniowi Wydrzyckiemu – odparłem, wzruszywszy ramionami. – To on przygotował tekst, zajmował się scenografią i reżyserią.

– Doprawdy? – zdumiał się naczelnik. Nieszczercze, to dało się odczuć. – A ja myślałem, że panowie wspólnie przygotowywali to przedsięwzięcie...

– To tylko on – po raz wtóry wskazałem na Wydrę.

– Cóż – westchnął naczelnik – przygotowałem już dla was wnioski o tygodniową przepustkę w celu odwiedzin rodziny. Dla was obu. Ale skoro tak, przepustkę otrzyma tylko więzień Wydrzycki.

– I bardzo dobrze – odparłem. – Należy mu się – spojrzałem z uznaniem na Wydrę.

– A więc, panie Wydrzycki, jeszcze raz serdecznie dziękuję panu za zorganizowanie tego przedstawienia i...

– Odmawiam! – wykrzyknął niespodziewanie Wydra.

- Cooo?... – zdumiał się naczelnik.
- Nie chcę żadnej przepustki – odparł hardo Wydra.
- Ależ chłopcze – rzekł zdumiony obrotem sprawy naczelnik. – Pomyśl, wizyta u rodziny, spotkanie z dziewczyną...
- Nie mam dziewczyny! – niemal krzyknął Wydra. – Zginęła w tym wypadku. To przez tę sukę garuję. I nie ruszę się stąd, jeśli mój kolega – wskazał na mnie – również nie otrzyma przepustki.
- Wydra, zbastuj, kurwa twoja mać – szepnąłem mu do ucha. – Pierdol to. Odwiedzisz jareckich...
- Nie – Wydra spojrział na mnie z niekłamanym obrzydzeniem i zwrócił się do naczelnika: – Albo on też pójdzie na przepustkę, albo żaden z nas.
- A więc odmawiasz? – westchnął naczelnik.
- Odmawiam. Kategorycznie odmawiam!
- Czy ty oszalał? – szepnąłem małemu do ucha. – Zastanów się, co robisz.
- Co, do jarego mam iść? To wapniak i kutas! Ni chuja nie kuma! Jebię go w dupę!
- O ojcu tak mówisz?! – szepnąłem.
- Przez niego tak jest!

Pomyślałem o swoim starym. Był dobrym człowiekiem. Spolegliwym komunistą. Ledwie go znałem. Taki był zapracowany. Dopóki mógł, robił tę komunę, jak umiał. Dyrektor zjednoczenia. Pierdolił w kalendarz na zawał po rozprawie, jak wlepili mi pierwszą odsiadkę. Ukochany syn w pudle. Tego jego biedne serce, zjebane przez fajki, tłuste żarcie mojej jareckiej i stresy, znieść nie mogło. Walnął w kalendarz w godzinę po rozprawie, jak kat dał mi pierwszego dwojaka. Za tego obszczymura, którego chciałem zgłanować przy patrolu psów.

- A matka? – szepnąłem do Wydry. – Nie chcesz widzieć matki?
- Spierdoliła. Siedzi w Stanach.
- Mimo wszystko jest przygotowana przepustka – rzekł naczelnik. – Gdyby jednak pan się namyślił.
- Powiedziałem: to mi zwisa – odparł Wydra. – Albo my dwaj, albo wkitraj se pan ten świstek w styję.
- Ach ty, kurwa, szczeniaku! – krzyknął naczelnik. – Baczość! Wstań, jak do ciebie mówię!
- Wydra posłusznie wstał z krzeselka i przybrał postawę na baczość.
- Stoję. I co?
- Taka twoja sucza mać?! Ty mi tu skakasz?!
- Za pozwoleniem – wtrąciłem się do rozmowy. – O co panu naczelnikowi chodzi?
- Stul mordę, jak nie pytają! – warknął naczelnik. – Do kogo fikasz?! Co ty sobie myślisz?!
- Myślę sobie – odparłem – że jak ma pan coś do wzięcia, to weźmiemy. Ale nie jak popłuczyny jakieś, tylko jako wyraz uznania dla naszej pracy.

Autentycznej pracy nad tą sztuką.

– Ty najmniej się napracowałeś, a pierwszyś do podziału.

– Dbam o interesa mojego kumpla – odparłem.

– Ale on nie chce skorzystać z przepustki.

– Może chce, a może nie chce. Wie pan, jak to jest.

– Nic nie wiem. To co w końcu jest?

– Bierz tę przepustkę, ścierwo – szepnąłem Wydrze. – Bierz i spadaj na chuj.

– W styję mnie liźnij – wyszeptał Wydra. – Rusz skórą i zrób se git.

– Obaj nie chcemy przepustek – powiedziałem naczelnikowi. – Ani on, ani ja.

– Ty, Cichecki – rzekł naczelnik – zamknij się. Za to z nim – wskazał na Wydrę – jeszcze pogadamy. To jak – zwrócił się do Wydry – chcesz tę przepustkę czy nie?

– Bez niego – Wydra wskazał na mnie – nie chcę.

– Twój wybór – powiedział naczelnik i nacisnął przycisk na biurku. Po chwili zamiast spodziewanego Pipy pojawił się jakiś nieznany mi strażnik.

– Odprowadzić skazanych – rzekł do klawisza naczelnik.

– Tak jest! – stuknął obcasami strażnik i spojrzał na nas. – Cichecki i Wydrzycki!. Wracać do celi.

– Ześwirowałeś?! – odezwałem się, gdy wyszliśmy na korytarz. – Dlaczego nie brałeś, jak dawał?

– Sam mnie uczyłeś, że człowiek gardzi przywilejami od klawiatyry.

– Ech, ty spawaczu konstrukcji drewnianych – mruknąłem. – Każdy by chciał śmignąć na tydzień na wolkę.

– Nie mam dokąd iść. Mój jarecki to palant. Nawet jara dała w długą.

– A laski? Na laski nie masz ochoty? Zarwać, przelecieć?

– Ja tak nie umiem. Nie chcę. I co, pójdę na dyskotekę? Nachlam się piwa, a później jakąś zerznę? A potem tu wrócę i co, będę myślał o jakiejś głupiej kurwie, co dała mi dupy? Będę myślał o niej przez pięć lat, ona będzie posyłać mi paczki, a jak wyjdę, to się z nią ożenię, tak?

– Nie rozmawiać tam – warknął prowadzący nas strażnik.

Wzruszyłem ramionami. Może i chłopak miał rację. Możliwe zresztą, że na czymś podobnym polegał związek między mną i Anną: na przypadkowym związku, który został wyidealizowany przez umysł zamkniętego w więzieniu mężczyzny... Ale mimo wszystko zachowałem chyba dystans. Nie, gdybym miał nawet dostać to warunkowe, przedterminowe zwolnienie, nie chciałbym do niej wrócić. Przez tych pięć lat Anna zestarzała się i zbrzydła. Mamy sobie już coraz mniej do powiedzenia, toteż jej odwiedziny nie sprawiają mi przyjemności. A zresztą jestem już w więzieniu dwanaście lat. Dwanaście lat! Z przerwami co prawda, ale mimo wszystko. To chyba jednak człowieka zmienia. Syndrom błędnego koła: ponieważ zmarnowało się kolejne lata, po wyjściu na wolność chce się żyć pełnią życia i nadrobić stracony czas. Kobiety,

zabawy, szaleństwa, pijaństwa. Trzeba jednak mieć na to pieniądze. Ale szukanie pracy to bzdura. Kto zatrudni karanego, w dodatku posuniętego w latach i z lichym wykształceniem, skoro nie ma roboty dla młodych, czystych jak kryształ magistrów i inżynierów? A zresztą po co, jeśli nawet jakimś cudem coś się trafi, pracować od ósmej do czwartej za parę groszy, a w połowie miesiąca głowić się, jak dociągnąć do pierwszego? Nonsens. A więc pozostaje robota. Jedna, druga, trzecia, czwarta. I wpadka. Kolejny wyrok. Wyjście. I znów wszystko od początku.

Nie, żadnych wpadek. Tylko ten jeden, jedyny skok. Dobrze obmyślany. Zaplanowany. Potem oczywiście krótkie szaleństwo. Ale naprawdę krótkie. Tydzień, góra dwa. Majorka. Wyspy Kanaryjskie. Albo Hawaje. A za resztę pieniędzy używane auto, przyzwoite ubrania, jakiś kąpiel i spokojne, skromne życie. Może nawet jakaś praca, kobieta na dłużej, dziecko. Gdybym miał syna, pewnie uczyłbym go, jak łowić ryby, chodziłbym z nim na wycieczki, naprawiałibyśmy popsute radia i zegarki, bawilibyśmy się kolejką.

Zgrzytnął klucz. Strażnik wpuścił nas do celi. W samą porę, bo po korytarzu jeździł już batory z obiadem.

Dwa dni później dostali nam kolejnego lokatora na ostatnie już, wolne łóżko. Przyprowadził go nie Jan Bez Głowy, który miał dyżur jako oddziałowy, ale klawisz z góry, Pipa.

Stałem właśnie koło umywalki, blisko drzwi, toteż pierwszy spostrzegłem, kogo nam przysłali. Spojrzałem na nowego więźnia i szczęka mi opadła. Miał pod lewym okiem wytatuowane serduszko.

Co do jasnej cholery oni wyprawiają? – zdumiałem się. – Najpierw sam naczelnik podsyła nam pod celkę zielonego chłopaka do przecwelenia, Wydrę, ale to mogłem jeszcze zrozumieć: naczelnik i stary Wydrzycki mieli jakieś dawne sprawy i cap chciał się zemścić na chłopaku. Potem ładują nam pod celę frajera, specjalistę od krów i koni, a teraz drugiego mąciciela. Tego już w żaden sposób nie mogłem logicznie wytłumaczyć. Przecież wiadomo, co się będzie teraz działo. Czy oni do reszty pogłupieli?

Przyjrzałem się nowemu, który wprowadzony przez strażnika stanął i spokojnie, żując coś, rozejrzał się po celi. Był prawie mojej postury i wzrostu. Pewny siebie, opanowany. Może o parę lat młodszy. Mimo że był w ubraniu, oprócz serduszka pod okiem dostrzegłem kolejne tatuaże: na dłoni koło kciuka aż dwie wizytówki. Znaczek dolara (a więc w czasach, kiedy handel walutą był karalny, musiał być cinkciarzem) i doliniarską strzałkę, a powyżej nadgarstka, na wewnętrznej stronie ręki dostrzegłem przysłonięty rękawem fragment róży wiatrów, „gwiazdy recydywy”. Teraz zacnie się bal! – pomyślałem i nie pomyliłem się.

Pojawienie się nowego w celi wywołało zrozumiałe zainteresowanie. Gonzo oderwał się od rzeźbienia swych woskowych fajansów i pierwszy podszedł do przybysza. Korzystając z prawa pierwszeństwa, postanowił narzucić swoją

metodę giercowania i swoje powitanie.

– Feścisz, greścisz czy szeleścisz? – spytał nowego, wkładając ręce do kieszeni. Nowy spojrział na Gonza z politowaniem.

– Ja grypsuję – teraz on z kolei przyjrzał się Gonzowi i dostrzegłszy kropkę wytatuowaną pod lewym okiem, dodał: – I to sztywniej niż ty – znaczącym gestem wskazał wytatuowane pod okiem serduszko.

Gonzo dopiero teraz ujrzał symbol mąciela. Z wrażenia aż cofnął się o krok.

– Ostry! – krzyknął. – Ostry, przyklep tu!

Ostry, Wydra, Suchy i nawet EB byli już zresztą w drodze.

– Lipuj, kto przyśmigał – Gonzo wskazał na nowego. Ale niepotrzebnie. Ostry był bardziej spostrzegawczy. Zauważyłem, jak nerwowo przełknął ślinę, a potem odszukał mnie wzrokiem. W jego oczach dostrzegłem wahanie i nieme pytanie: „Co robić?” Reszta ludzi też jakby straciła rezon i zapał do powitalnych gierk.

Z jednej strony miałem ochotę zostawić biednego Ostrego sam na sam z nowym. Niech się gimnastykuje. Z dziką przyjemnością oglądałbym ciekawe widowisko zmagania dwóch mącieli zamkniętych pod jedną celką. Ale ponieważ nie miałem wątpliwości, że nowy już w tym momencie panuje nad sytuacją, zrobiło mi się szkoda nie tyle Ostrego, ile siebie samego. Wszak moja pozycja była pochodną wysokiej, mącielskiej rangi Ostrego. Mój spryt poparty siłą i twardy, charakterny gryps Ostrego połączone razem składały się w sumie na postać mąciela doskonałego. Szkoda mi było naszego tandemu. Miałem bowiem wrażenie, że przybysz nie potrzebuje intelektualnego uzupełnienia i w ciemię bity nie jest.

Nowy też zauważył, z kim ma do czynienia. Obaj z Oстрыm w milczeniu mierzyli się wzrokiem.

– O co biega, do kurwy nędzy – mruknął przybysz. – Kładą pod jednym kwadratem dwóch mącieli?

Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta. Postanowiłem, że najwyższy czas przejść do działania.

W tym momencie jednak drzwi celi otworzyły się i na progu stanął Pipa. Obrzucił stojących naprzeciw siebie Ostrego i przybysza uważnym spojrzeniem, po czym siląc się na obojętny, służbowy ton, zawołał:

– Więzień Cichecki!

– Obecny – mruknąłem.

– Do naczelnika.

Zgrzytnąłem zębami. Teraz? I to w takiej chwili?! Ale cóż było robić. Trzeba było iść.

– Coś nie za często śmigasz do capa? – rzucił w moim kierunku Ostry.

Wzruszyłem ramionami. Może choć tym razem naczelnik autentycznie odbędzie ze mną rozmowę i wyjaśni, czemu miały służyć tamte wezwania do pustego gabinetu.

Gdy wracałem pod celę, odprowadzany przez Pipę, ze zdenerwowania trzęsły mi się ręce. Wizyta przebiegła dokładnie w ten sam sposób, co poprzednio. Odsiedziałem kwadrans, a może pół godziny w pustym gabinecie. Tym razem jednak napaliłem się bez skrępowania leżących na biurku cameli. Nie, jednak nie było dokładnie tak samo, bowiem dostrzegłem nieco uchylone drzwiczki barku, a za nimi okazała się kolekcja butelek. To było coś nowego. Oczywiście, szafka z szufladami i drzwiczkami zamykanymi na klucz stała tam zawsze, ale po raz pierwszy jedna z szafek była uchylona, a w niej właśnie mieścił się podręczny barek. Korciło mnie, żeby skorzystać z okazji, podobnie jak korzystałem dotąd z leżących na biurku papierosów. Ale naraz przyszło opamiętanie. Gdy się skuszę, będzie czuć ode mnie alkohol. Jak wytłumaczę ludziom w celi, że wracam od naczelnika napity, cuchnący alkoholem?

I wówczas zrozumiałem grę, którą prowadził ten stary, chytry lis, naczelnik. Że też dotąd tego nie pojąłem. Całe szczęście, że się nie napiłem! Bo o to mu właśnie chodziło. Chciał zrobić ze mnie kapusia, bo czyż naczelnik poczęstowałby alkoholem kogoś innego? Chodziło mu o to, by podważyć zaufanie Ostrego i pozostałych ludzi do mnie. Wszystko jasne. Częste wizyty, nieudolne tłumaczenia, a teraz kapuś po udanym kapowaniu ugoszczony przez naczelnika wraca na bańce.

Zrozumiałem, że stary cwaniak chce zepchnąć mnie na bok. Jeśli Ostry jest głową, to ja jestem szyją. Gdy zrobią ze mnie kapusia, Ostry zostanie zmuszony spuścić mnie do dołu, a wtedy będzie pozostawiony sam sobie. Nie da sobie rady jako mąciiciel. Wykruszy się. Wówczas wybiorą innego mąciiciela. Jeśli okaże się bardziej wygodny dla władz więziennych, zostawią go. A jeśli zacznie mącić zbyt ostro, mrowisko znów będzie starało się wykręcić jakąś aferę, żeby zastąpić go kimś innym. W tych gierkach są dobrzy, naprawdę dobrzy.

Jednak mimo że takie tłumaczenie wydawało mi się z początku przekonujące, czułem, że chodzi o coś więcej. Mąciiciel w więzieniu był, jest i będzie. Przynajmniej dopóki będzie grypsierka. Ostry jest mąciicielem od kilku lat. Ja zostałem jego doradcą niedługo potem. To też już kawał czasu. Dotychczas władze tolerowały ten układ. Dlaczego nagle to się zmieniło? Dlaczego chcieli koniecznie wykręcić nam aferę?

Sięgnąłem pamięcią do niedawnych wydarzeń. Ostatnio z Oстрыm nie skoiliśmy żadnych większych rozrób. Ot, więzienna normalka. Drobne urozmaicenia szarej rzeczywistości.

Ponad pół roku temu w porozumieniu ze Świdrem, mąciicielem z drugiego pawilonu, zorganizowaliśmy akcję przeciwko znieprawionemu przez wszystkich oddziałowemu, Marchwickiemu. Nazywaliśmy go Marchewą. Był to prosty chłop małorolny, który dorabiał sobie na pół etatu w pudle, a więźniów traktował gorzej niż swe zwierzęta w oborze. Bluźnił jak szewc, chodził wiecznie wymięty, nieogolony, niechlujnie ubrany. Wiadomo, że praca oddziałowego jest oceniana na podstawie ładu i spokoju na oddziale,

toteż zarządziliśmy wzorową dyscyplinę, gdy służbę pełnił jakikolwiek inny oddziałowy, jeśli zaś dyżur miał Marchewa, wolno było robić wszystko. Jeśli nawet ktoś miał się pochłastać, to tylko wtedy. Ustaliliśmy, że jeśli ktoś wytnie jakiś numer poza służbą Marchewy, grozi mu spuszczenie do wora. Ale znowu nie chcieliśmy przesadzać, żeby mrowisko zbyt łatwo nie przejrzało naszej gry. Ilekroć naczelnik wizytował oddział, w dyżurce Marchewy zawsze podrzucaliśmy wyschnięte, pomarszczone marchwie, pocięte papiery i butelkę po wódce. Naczelnik zwracał mu uwagę na panujący w dyżurce bałagan, a gdy tylko wychodził do sąsiednich dyżurek wychowawców, słyszał przez ścianę, jak rozwścieczony Marchewa klnie wniebogłose najordynarniejszymi słowami na więźniów. Gdy jednak zbulwersowany naczelnik wracał i pytał go o powody takiego zachowania, Marchewa milczał. Bał się wyjawic, że stał się pośmiewiskiem i że przestał panować nad więźniami. Na domiar złego rozwścieczony Marchewa odbijał sobie niepowodzenia z naczelnikiem na więźniach, stał się rozdrażniony, agresywny i mściwy, toteż wciąż napływały skargi na jego wulgarność i brutalność oraz na to, że ostatnio nie można się z nim w ogóle porozumieć. Wreszcie zdenerwowani brakiem szybkiej reakcji naczelnika ustaliliśmy, że na dyżurce Marchewy, gdy zacznie chodzić po celach i wydawać obiad, każdy będzie żądał marchwi. Gdy Marchewa obchodził z kalifaktorem cele, pilnując wydawania obiadu, ciągle słyszał, jak więźniowie mówią do kalifaktora: „Daj marchewę! Daj marchew!”, a jak wiadomo, „dawać” jest słowem zakazanim i oznacza propozycję zgwałcenia. W końcu Marchewie puściły nerwy. Chwycił kocioł z gorącą zupą i wylał jego zawartość na mieszkańców jednej z cel – była to bodaj dwudziestka. Ludzie podnieśli nieopisany wrzask, sąsiednie cele to podchwyciły, tak że wkrótce postawiono na nogi całe więzienie. Przyleciał nawet sam naczelnik. Był to ostatni dzień pracy Marchewy.

Potem była sprawa połyków na ostro. Kotwic. Po tym, jak przyjęli na kalifaktora więźnia, który – jak się okazało – był cwelom w poprzednim pudle, tylko się nie przyznał, bo myślał, że się nie dowiemy. Ale wysłaliśmy gryps do zakładu, w którym ostatnio leżał, a tam powiedzieli, że to cwel. Cwel, który wydaje jedzenie – to rzecz nie do pomyślenia. Ludzie dostali szału. Nie wiedzieli, co robić. Ja i Ostry, a formalnie tylko Ostry, bo to przecież on był mąciocielem, stanęliśmy przed nie lada problemem. Co zrobić, żeby uniknąć przecwelenia całego oddziału i siebie również? W końcu uznaliśmy, czy raczej to ja uznałem, że ludzie przyjmowali od cwela jedzenie nieświadomie, myśląc, że to git-człowiek i że to zwykła, choć poważna krzywość, a jeśli to krzywość, można ją naprostować, toteż każdy git-człowiek, by uniknąć przecwelenia, powinien połknąć kotwicę. I ludzie łykali. Na ostro. Owijali sprężynujące druciki z długopisów w chleb i łykali. Gdy kwasy rozpuściły chleb, druty prostowały się i wbijały w żołądek. W ten sposób załatwiła się prawie setka gitowców, wszyscy na oddziale. Był to mój pomysł – zresztą chyba jedyny do przyjęcia – ale sam nie chciałem ryzykować przebijania sobie żołądka. Jeszcze

drut trafiłby w jakąś tętnicę lub żyłę albo mogło się przyplątać zapalenie otrzewnej. Toteż ostre końce kotwicy zalałem roztopionym plastikiem. Zaprawiłem bezpieczny połyk na tępo, choć na zdjęciu rentgenowskim plastiku nie widać. Operacji uniknąć nie mogłem i nie chciałem, ale nie chciałem też ryzykować zdrowiem. A w ogólnym zamieszaniu – bo przecież rozwozili nas wtedy po wielu szpitalach, w jednym byśmy się nie pomieścili, a zresztą operować trzeba było szybko – nikt z lekarzy nie robił potem dochodzenia, czy była to kotwica na ostro, czy na tępo. Podstawą było zdjęcie rentgenowskie. To była gruba afera. Zresztą pisali o niej w gazetach, mówili w telewizji. Chociaż gdyby to ona miała zaważyć na wyeliminowaniu z gry mnie i Ostrego, naczelnik podjąłby decyzję zaraz po tamtych wydarzeniach albo przynajmniej niedługo po nich, nie po roku.

Co było jeszcze? Jeszcze meksyk przed trzema miesiącami. Zbiorowa bójka na spacerniaku, do której stłumienia władze więzienne, aby zapobiec ogólnemu buntowi, musiały użyć atandy, specjalnego oddziału uzbrojonego w pałki, gaz i tarcze. Poszło o drobiazg. Na spacerze Rudy – więzień, który za wszelką cenę chciał zostać mścicielem, a przy okazji serdecznie nienawidził Ostrego, ale się go bał jako mściciela – ześwirował. Odbiło mu i zanim którykolwiek z pilnujących nas strażników zdążył zareagować, wlaź na słupek oświetleniowy. Gdy udało mu się wdrapać do połowy, wyciągnął z kieszeni sznurek z pętlą, koniec przywiązał do słupa, a stryczek założył sobie na szyję i zaczął wrzeszczeć na całe gardło, że w pierdłu nie ma życia, że strażnicy to chuje, że żarcie nie da się żreć i że on na znak protestu przeciw tej katowni zaraz się powiesi. Strażnicy podbiegli do słupa, ale co mogli zrobić? Tymczasem spacerujący, słysząc odzywki Rudego, zaczęli tupać, wyć, gwizdać i wrzeszczeć, że jest tak, jak mówi Rudy. Strażnicy zostawili więc Rudego, bo dosięgnąć i tak go nie mogli, za to zaczęli zaprowadzać porządek wśród spacerujących. Ale nie szło im, bo Rudy wciąż wrzeszczał i groził, że zaraz puści się słupa, a jego krzyki rozgrzewały ludzi na spacerniaku. Powstało błędne koło. Tym bardziej że i z okien zaczęły rozlegać się wrzaski i krzyki więźniów. Sytuacja stawała się poważna. W powietrzu wisiał ogólny bunt. Po chwili pojawiła się atanda, strażnicy uzbrojeni w pałki, gaz i tarcze, by w razie czego pomóc zaprowadzać kolegom porządek na spacerniaku, ale na widok atandy ludzie powoli zaczęli przycichać. Tylko ci z okien walili czym się dało w kraty, wyli i wyrzaskiwali przekleństwa. Wkrótce na spacerniaku pojawił się sam naczelnik i usiłował negocjować z Rudym, by zszedł ze słupa, przestał wrzeszczeć i żeby się nie wieszał, ale Rudy nie chciał o tym słyszeć. Atanda stała w pogotowiu, ten i ów na spacerniaku rozglądał się za jakimś kamieniem, a w oknach odbywały się dantejskie sceny. Sytuacja się zagęszczała. Ponieważ akurat nasza cela też była wówczas na spacerze, szepnąłem Ostremu, żeby podszedł do tego świra i powiedział mu, co o nim myśli. Ma akurat okazję mu nabluzgać i to przy wszystkich. Jeśli zmiesza go z błotem, to świr pewnie zapomni o swych pogrózkach i zlezie ze słupa. Ostry

ucieszył się na moją propozycję. Nienawidzili się z Rudym z całego serca. Podszedł do zrezygnowanego naczelnika, który pojęcia nie miał, jak opanować sytuację, szepnął mu coś do ucha, naczelnik kiwnął głową i Ostry zbliżył się do słupa. „Ach, ty kiepszczaku!” – wrzasnął do Rudego tak, że musieli to słyszeć nawet ci w oknach. „Takiś ważny na tym słupie? Zleż, to pogadamy!” Efekt był natychmiastowy. Rudy w okamgnieniu pozbył się stryczka, bez słowa ześlizgnął ze słupa i doskoczył do Ostrego z pięściami. Rzucili się na siebie i zaczęli kotłować po wyżwirowanej alejce. Ludzie jednak nie mieli zamiaru przepuścić takiej okazji. Rozpoczęła się ogólna bijatyka, potem rozległa się seria gwizdów i po chwili do akcji wkroczyła atanda. W pierwszej kolejności uzbrojeni strażnicy rozdzielili Ostrego i Rudego, a następnie wzięli się za resztę. Tak, ale tej naszej akcji chyba nie można mieć za złe. Nie dość, że Ostry dołożył wówczas Rudemu, to jeszcze zażegnał bunt. Dostał zresztą w nagrodę od naczelnika kilkudniową przepustkę.

Zacząłem z kolei przypominać sobie swoje sprawy.

Ot, choćby ostatnio Niedźwiedź. Ale naczelnik po raz pierwszy wezwał mnie do siebie, zanim to się stało. Zresztą śledztwo w tej sprawie szybko się zakończyło. Wypyтали nas co i jak, lekarz wystawił akt zgonu i uznali, że Niedźwiedź się powiesił, nie pierwszy zresztą i nie ostatni.

I najświeższe wydarzenie: afera spirytusowa połączona z podcięciem sobie żył przez Wydrę. Co prawda oficjalne podejrzenia co do przemytu spirytusu pod celę padły na Gonza, który dostał za to karcer, ale cholera wie, co ten obszcymur tak naprawdę gadom nabałakał. Zresztą wszyscy byliśmy potem wzywani na rozmowy do wychowawcy. Mówiliśmy na niego Szmatek. Z wykształcenia był świeżo upieczonym psychologiem, a z krótkiego, lecz intensywnego doświadczenia – facetem mocno już zgorzkniałym i chyba niezbyt zadowolonym ze swojej roboty, bo wydawało mu się, naiwniakowi, że pracując w pudle, będzie wprowadzał w życie jakieś śmiałe teorie resocjalizacyjne, gdy tymczasem praca wychowawcy polegała na przewalaniu papierków i wypisywaniu mnóstwa raportów i kwestionariuszy osobowych więźniów, do których i tak niepodobna było zebrać materiału. A na zwyczajną rozmowę ze skazanym po prostu nie wystarczało już czasu. Szmatek tym razem jednak wykroił dla nas tego czasu sporo. Usiłował powiązać sprawę naszego pijaństwa z samookaleczeniem Wydry. Chciał za wszelką cenę czegoś się dowiedzieć, choć przecież musiał zdawać sobie sprawę, że umieszczenie Wydry w naszej celi to robota samego naczelnika. Wychowawca szukał usilnie jakiegoś punktu zaczepienia, lecz w końcu, nie mogąc niczego z nas wydobyć, machnął ręką i na powrót zaszył się w swoich raportach. W każdym razie na mnie ani tym bardziej na Ostrego niczego nie znalazł.

Gdy przeanalizowałem wszystkie fakty, stało się dla mnie oczywiste, że władze więzienia poważnie wzięły się za mnie i za Ostrego, choć powód nadal był niejasny. Ot, choćby fakt, że wrzucili pod naszą celę drugiego mąciociela. W normalnych warunkach wychowawca, który nie rozpracowałby więźnia,

umieścił w jednej celi dwóch przywódców i spowodował w ten sposób zamieszki, dostałby naganę albo dyscyplinarne zwolnienie. Ale teraz zrozumiałem, że to nie były warunki normalne. Była to głęboko przemyślana akcja prowadzona cierpliwie, ostrożnie i z finezją. Ale może nie było już dwóch mącieli? Może podczas gdy siedziałem w pustym gabinecie, wszystko zdążyło się wyjaśnić? Miałem nadzieję, że mimo wszystko ludzie nie pozwoliliby zrobić krzywdy Ostremu. Przecież było ich pięciu przeciwko jednemu, pomijając kiepszczaka od krów i koni. Co prawda mało liczyłem na siły EB, Wydry i Gonza, ale za to Suchy i Ostry, choćby tylko przez tamtych wspomagani, mogli z łatwością stawić nowemu czoło.

Pipa zatrzymał się przed celą i gestem dłoni powstrzymał mnie.

– Zaczekaj – mówiąc to, przyłożył oko do wizjera i zajrzał do celi. Patrzył i patrzył, mnie zaś zżerała ciekawość, co też takiego tam ujrzał. Jego zachowanie wydawało się tym bardziej podejrzanym, że nie był tu ani oddziałowym, ani wychowawcą, toteż powinno być mu obojętne, co dzieje się w naszej celi. A jednak żywo się tym interesował. I to było warte zastanowienia.

Byłem pewien, że pocziwy, ciamajdowaty Pipa wie o całej tej śmierdzącej sprawie więcej, niż z początku skłonny byłem sądzić. Do myślenia dawał fakt, że zawsze on i tylko on prowadził mnie na te idiotyczne „rozmowy” z nieobecny naczelnikiem, choć na górze pracowało przecież wielu innych klawiszy. Właśnie on, choć należało to do obowiązków oddziałowego, osobiście przyprowadził nam nowego lokatora, tego mąciela. Wyższy stopień wtajemniczenia Pipy w całą aferę wydał mi się oczywisty. Nie sposób jednak było zapytać go wprost, o co w tym wszystkim chodzi.

Pipa oderwał wzrok od judasza, po czym włożył uniwersalny klucz do zamka i otworzył celę.

– Możesz wejść.

Gdy wszedłem, zastałem widok z pozoru całkiem zwyczajny. Gonzo w skupieniu rzeźbił swoje duperele z wosku, Ostry oglądał w telewizji jakiś film, Suchy rozmawiał z EB, Wydra ślęczał nad jakąś książką. Na mój widok wszyscy podnieśli głowy, po czym wrócili do swych zajęć.

Odszukałem wzrokiem nowego. Bezcelnie, choć o tej porze nie wolno, wylegiwał się na łóżku z rękami podłożonymi pod głowę i spoglądał na mnie jakby odrobinę kpiąco. Zachowywał się nie tylko jak mąciel. Zachowywał się jak mąciel w tej celi.

Podszedłem do Ostrego.

– Uchaj, Ostry, coście odwalali, jak wyśmigłem spod celki?

– A o co biega? – Ostry spojrział na mnie i wzruszył ramionami, ale minę miał nietęgą.

– Nie żeń mi tu farmazonów – mruknąłem zirytowany. – Jak to rozegraliście?

– Ty lepiej zapodaj, gdzie byłeś i czego chcieli!

Teraz mnie zrobiło się nieswojo. Każdy z nas, jak widać, miał coś do ukrycia, coś, o czym wolałby nie mówić.

– Byłem u capa.

– Za czym?

Znów nie miałem niczego rozsądnego na podorędziu.

– Coście odwalali, jak byłem u capa? – zmieniłem temat. – Mącisz jeszcze? – spytałem wprost.

– A co, nie podchodzi ci moje mącenie?

– Podchodzi. Tylko jak śmigałem na nawijkę, staliście i tylko lipowaliście na buraki.

– Nowy wyciągnął wite i przyciszyliśmy. Nawinał, że leżał w Sing-Singu. Trafił w tabor i przyśmigał tutaj.

Sing-Sing – pomyślałem – Gdańsk. Gdańsk... Ta myśl, nie wiedzieć czemu, nie dawała mi spokoju. Coś powoli zaczynało mi się kojarzyć, choć sam jeszcze nie wiedziałem co.

– I co z tego, że przyśmigał z Sing-Singa? – spytałem Ostrego.

– Leżałem tam. Mamy wspólnych wafli.

– On mącił?

– Mącił.

– Wysoko?

– Oddziałem.

– Za czym go przetaskali?

– Mącił za twardo. Wykręcał afery. Leżał na kabarynie, raz i drugi, ale skakał, rura mu nie zmiękała, to przetaskali go tutaj.

– I akurat pod naszą celkę? – wzruszyłem ramionami z niedowierzaniem. – I ja mam to kupić?

– Co ci nie podchodzi?

– Dwóch mącieli pod jedną celką. To mi nie podchodzi!

– Masz recht – westchnął zrezygnowany Ostry. – Gady coś szyją, ale co? A może to przewalka?

Wzruszyłem ramionami. Sing-Sing – wciąż chodziło mi po głowie.

Ponieważ czułem, że więcej się od Ostrego nie dowiem, postanowiłem zasięgnąć więcej informacji o wydarzeniach, które rozegrały się podczas mojej nieobecności z bardziej pewnego i obiektywnego źródła. Od Wydry.

Podszedłem do chłopaka. Zajęty był czytaniem. Zerknąłem na tytuł i ze zdumieniem spostrzegłem, że czytał Romea i Julię. Oryginany tekst Szekspira. Wzruszyłem ramionami.

– Nie dość ci było tego na scenie?

– Nie masz pojęcia, jakie to jest piękne, gdy się uważnie czyta – odparł Wydra.

– Zostaw to gówno – przysunąłem swój taboret i usiadłem obok chłopaka – i opowiedz mi, co się tu działo.

– Tylko nie gówno – zaperzył się Wydra, ale odłożył książkę na łóżko.

– Mów, co tu się działo.

– Nic.

– Nic?

– No – zawahał się Wydra – prawie nic.

– Prawie? A więc jednak coś?

– Tylko tyle, że gdy wyszedłeś, ten nowy wyciągnął do Ostrego rękę. Przyciszyli sobie. Nowy uściskał dłonie pozostałym. Chciał też przywitać się z Kudkudakiem, ale Ostry powstrzymał go, mówiąc, że to cwel. W tamtego jakby piorun strzelił. Zmienił się na twarzy i zwiął. Tylko tyle się stało.

– Nic więcej?

– Potem wszyscy rozeszliśmy się do swoich zajęć, a po chwili nowy podszedł do Ostrego i długo ze sobą gadali. Ale cicho. Nie sposób było usłyszeć o czym. Zresztą telewizor grał i przeszkadzał.

– Nie było żadnej bójki? Żadnej przepychanki? – zdumiałem się.

– Nie.

– To daliście dupy – powiedziałem. – Dlatego ten palant, gdy wszedłem, leżał na łóżku, żuł gumę i patrzył na mnie jak udzielny władca.

– Dlaczego daliście dupy? A co mogliśmy zrobić? – wzruszył ramionami Wydra. – Ostry tu mać, my możemy tylko się podporządkować. A on niczego nie zarządził.

– Bo mu, kurwa jego mać, rura zmięła! W sztany nakasztanił! Zdygał się sztywniejszego! – zżółłem paskudne przekleństwo, którym chciałem określić Ostrego, bądź co bądź mąciela, przynajmniej nominalnego.

– Wracasz do grypsarki? – uśmiechnął się zjadliwie Wydra.

– Nie zajeżaj mnie, bo... – nie dokończyłem. Zaciśnąłem pięści i zerwawszy się z taboretu, podszedłem do łóżka, na którym leżał nowy i żuł gumę.

– Nie znam cię – zacząłem ostro.

Nowy ledwie przechylił głowę na bok, przyjrzał mi się z widocznym lekceważeniem i wymamrotał przez zęby:

– Ani ja ciebie.

– To się poznamy – rzekłem i stanąłem w rozkroku naprzeciw jego łóżka. Ręce wsadziłem do kieszeni. – I wstań, kurwa twoja mać, jak nawijasz z człowiekiem.

Podziałało, i to jak! Nowy błyskawicznie zerwał się z koja, ale ponieważ leżał na łóżku dolnym, wstając zbyt gwałtownie, z całej siły uderzył głową w poprzeczkę górnego łóżka. Stęknął i złapał się za rozbitą głowę.

W okamgnieniu otoczył nas tłumek żadnych sensacji ludzi.

– Zbastuj – Ostry, widząc, co się dzieje, podszedł i pociągnął mnie za rękaw.

– Kitraj się. Nie chciałeś sprawdzić nowego, to ja go sprawdzę – syknąłem do Ostrego i z kpiącym uśmieszkiem zwróciłem się do przybysza. – Sam sobie przypierdoliłeś, bo kiepsko jorgasz. Siła jest git, ale kumanie też gites.

– Stawaj na parkiet! – wrzasnął nowy. Rozmazując po twarzy krew płynącą

z rozciętej głowy, zeskoczył z łóżka i stanął naprzeciw mnie.

– Damskie głosy śmigają pod niebiosy – zaśmiałem się. – A ktoś ty, żebym stawał na solo? Nikt. Noworodek pod naszą celką.

– A to? – nowy wskazał wytatuowane pod okiem serduszko. – Nic ci to nie mówi?

– Blacha! – krzyknąłem i zanim nowy się zorientował, wypłaciłem mu potężną blachę, aż zachwiał się i padając, rąbnął tym razem tyłem głowy o nieszczęsną poprzeczkę górnego łóżka. – Przykaleczyłeś, chłopak! My tu nawijamy grypserką, nie po frajersku! A takie buraki, to jak skołują kolki i kolorki, to se wydziargam od razu trzy.

– Chłopak to u szewca kołki struga – odszczeknął nowy, ale już z mniejszym przekonaniem. Jakoś po pechowych doświadczeniach z górnym łóżkiem powoli przechodziła mu ochota do walki. Ograniczył się tylko do słownych ripost. Lecz w tym akurat byłem chyba lepszy od niego.

– Wiesz co? – zadrwiłem. – Śmigaj no ty, chłopak, skąd przyśmigales. Jak siądziesz zaraz na klapę i nabałakasz klawiszowi, że spuszczają ci bęcki, to bez kiciora kopsnę ci hajsu na powrotny bilet w suce.

Wiedziałem, że przesadziłem. I spodziewałem się, że teraz nastąpi wielki finał. Istotnie, nowy na powrót zerwał się z koja, stanął przede mną, ale zamiast brać się do bicia, wysyczał przez zaciśnięte zęby:

– Cichy, kurwa twoja mać, takiś kozak?

Zamurowało mnie. Skąd znał moją ksywkę?

Ale dłużej nie dane mi się było zastanawiać.

Ocknąłem się na ziemi. Dotknąłem obolałej twarzy. Ząb z przodu odrobinię się ruszał. Nowy perfekcyjnie wykorzystał moment mojego zaskoczenia. I wtedy musiał zaatakować. Ale skąd znał moją ksywkę?

Nagle wszystkie luźne dotąd elementy łamigłówki zaczęły się układać w logiczną całość. Nieistniejące rozmowy z naczelnikiem. Udana próba zastraszenia Ostrego przez dokooptowanego do celi mąciela. A nade wszystko więzienie, z którego przybył: gdański Sing-Sing. Przecież tam właśnie za niespełna miesiąc miała się odbyć ogólnokrajowa zjazdówka mącieli. Mieliśmy tam ustalać, jak dalej w dobie przemian ustrojowych oraz zalewu zorganizowanej przestępczości będzie wyglądać grypsierka. Jak traktować uwięzionych frajerów w białych kołnierzykach, ojców chrzestnych wielkich gangów, którzy zatrudniają rzesze git-ludzi, ale którzy pojęcia nie mają ani o grypsie, ani o więzieniu. Jak odnosić się do przestępców gospodarczych. Tam mieliśmy uzgodnić, jak dostosować dawne grypserskie zasady powstałe jeszcze w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych do realiów zbliżającego się milowymi krokami dwudziestego pierwszego wieku. Każdy z nas, mącieli, miał to gruntownie przemyśleć. Mieliśmy na to trochę czasu, prawie pół roku. Bo przecież oczywiste stawało się, że dawne grypserskie zasady albo były potajemnie łamane, jak choćby stara zasada

grupowej solidarności, trzymania się razem i wzajemnej pomocy, albo bywały traktowane jako martwe, uciążliwe zalecenia. Weźmy choćby silnie zakorzenione w grypserce normy higieniczne. Na przykład przypucowanie się „nie szamać”, gdy ktoś szedł do kibla albo „zważać, szamie się”, gdy ktoś rozpoczynał jedzenie – a chodziło o to, by nikt w tym czasie nie korzystał z ubikacji. Norma ta miała swoje uzasadnienie w czasach, gdy w więzieniach funkcję ubikacji spełniał śmierdzący, zaszczany i zasrany kubeł stojący za przepierzeniem, tak zwany bardach Staszek, ale przecież dziś prawie we wszystkich więzieniach cele są skanalizowane, a ubikacja odgradzona od reszty celi. Jakież więc sens ma stosowanie dawnego zwyczaju z czasów, gdy otwarcie kibla pełnego gówna i szczyń mogło u jedzących rzeczywiście wywołać odruch wymiotny?

Do uzgodnienia pozostawało zresztą wiele innych, ważnych kwestii. Na ten temat przygotowałem w imieniu Ostrego obszerny gryps już dwa miesiące temu. A na zjazdówkę miałem jechać razem z nim. Właśnie do gdańskiego Sing-Singa. Ustaliliśmy bowiem, my, mąciociel z prawie wszystkich zakładów w kraju, że przyznamy się do popełnienia morderstwa na kilku gdańskich studentach. Sprawców tej głośnej zbrodni nie wykryto do tej pory. Skoro się przyznamy, zawiozą nas na przesłuchania do gdańskiej prokuratury i osadzą na czas dochodzenia w tamtejszym więzieniu. Oczywiście potem odwołamy zeznania, ale co zdążymy w tym czasie ustalić w odniesieniu do nowej formuły grypsarki, będzie już odtąd obowiązywało we wszystkich pudłach w całym kraju.

Powoli stawało się dla mnie jasne, że ktoś zakapował. Nie wiadomo tylko kto i co. Byłem przekonany, że naczelnik swymi dyskretnymi działaniami chce wyeliminować mnie, by osłabić Ostrego albo też chce wyeliminować nas obu, byśmy nie wzięli udziału w gdańskiej zjazdówce mąciocieli. Jednak takie działania z pewnością podjął nie tylko nasz naczelnik. Skoro do rozgrywki zaangażowany został więzień przysłany z Gdańska, w dodatku grypserska szycha, mąciociel, to także i gdański zakład karny musiał być zamieszany w sprawę. Zamieszany, a więc i poinformowany o planowanej konferencji. Któraś kurwa musiała zakapować. Ale kto? I ile wiedziały mrowiska?

Tymczasem tuż obok trwała walka. Słysząc było odgłosy zadawanych ciosów, głucho postękiwania i okrzyki. Otrząsnąłem się, zerwałem z podłogi i spluwając krwią, dołączyłem do walczących. To była jedyna okazja, by wszystko wyjaśnić. Jednak najpierw należało rozprawić się z przybyszem z Sing-Singa, a potem dopiero powalonemu na ziemię przystawić kosę do szyi i zażądać wyjaśnień.

EB i Gonzo leżeli na ziemi. Walka odbywała się już tylko pomiędzy Wydrą, Suchym i Oстрыm a nowym, który całkiem nieźle dawał sobie radę z atakującą go trójką. A właściwie dwójką. Wydra pomny swych skromnych możliwości stosował – choć tego akurat go nie uczyłem – mądrą taktykę walki podjazdowej. Kiedy Ostry z Suchym regularnie naparziali się z nowym, Wydra

wyczekiwał na sprzyjający moment i gdy nowy wydawał się ogłuszony którymś z ciosów lub zmęczony, doskakiwał i znienacka zadawał mu zdradziecki cios kantem dłoni. Celował w splot słoneczny, ale tym razem jakoś nie mógł trafić. Jego dłoń trafiała najczęściej w żebra lub żołądek, nie czyniąc nowemu zbytnej krzywdy.

Właśnie chciał znów zadać nowemu taki cios, gdy pochwyciłem go za kark i odciągnąwszy na bok jak szczeniaka, syknąłem:

– Spierdalaj. Teraz ja.

Odepchnąłem też słaniającego się już na nogach Suchego z rozkrwawionym łukiem brwiowym, po czym zajmąwszy jego miejsce wyczekałem odpowiedniego momentu i gdy nowy potraktował Ostrego silnym lewym sierpowym, w tej samej chwili założyłem mu chwyt. Mój słynny morderczy chwyt. Ten sam, którym wykończyłem Niedźwiedzia.

Przybysz był już porządnie zmęczony walką, a ja, po zaliczeniu tylko jednego, choć nokautującego ciosu, byłem świeży i wypoczęty. Dociągnąłem, ale tak, by nie łamać od razu karku.

– A chrrr!... – wyrzeźił przyduszony nowy – chrkk!...

– Ostry! – wrzasnąłem do słaniającego się po celnym ciosie mąciela. – Ostry, nic ci nie jest?

– O, kurwa... – wystękał Ostry. Ale był przytomny. Kontaktował. To najważniejsze.

– Ostry! – zawołałem, nie popuszczając chwytu. – W moim materacu, w lewym, górnym rogu jest dziura. Tam jest kosa. Weź ją i chodź tu – nie miałem ochoty nawet silić się na gryperską nawijkę. – Ale już! Gazem!

Ostry podszedł do mojego materaca i po chwili przybiegł, trzymając w dłoni mój sztylet.

– Dostaw mu do gardła – zakomenderowałem, a Ostry posłusznie spełnił rozkaz.

– Nie tym ostrzem, baranie – warknąłem, patrząc na to, co wyprawia Ostry.

– Z tej strony jest tępy. Przystaw mu drugą stroną.

Ostry posłusznie spełnił polecenie.

– Dociśnij. Zbierz mu trochę skórki.

Ostry docisnął. Z nacięcia skóry na szyi nowego spłynęło kilka kropel krwi.

– Chrrrhhhk!...

Poluźniłem chwyt. Nowy łapczywie chwycił powietrze. Musiał być jednak ostrożny. Sztylet, wyostrzony nawet lepiej niż brzytwa wpijał mu się w gardło, coraz głębiej nacinając skórę. Na razie tylko skórę.

– A teraz śpiewaj, skurwysynu – mruknąłem przez zaciśnięte zęby do nowego. – Nawijaj, po coś tu przyśmiگاł. Możesz nawijać wolną mową. Bez sztempu. Nie wypłacę ci blachy – zażartowałem.

– Czego... chrkk... chciecie... – wycharczał nowy. Nie miał żadnego pola manewru. Mój chwyt odginał mu głowę do tyłu na ile tylko było to możliwe, by się nie udusił i by mógł wydobyć z siebie głos, z przodu zaś w jego krtań

zagłębiał się sztylet dociskany przez Ostrego.

– Udupię cię jak kapusia. Bo jesteś kapusiem. Zwykłą kurwą – kontynuowałem orację. – Ale może Ostry nie poderżnie ci gardła, a ja nie złamię karczycha, jeśli przypucujesz, o co biega. Ale już, bo nie zostało ci wiele czasu.

– Cichy, a może on nie jest... – zaczął ostrożnie Ostry, lecz przerwałem mu bezceremonialnie.

– Zhaltuj szamot i słuchaj mądrzejszych. A ty – zwróciłem się do nowego – masz dziesięć sekund. Wystarczy, że nagle puszcze twój baniak kapusia. Sam wbijesz się na ostrze i podetniesz gardło. Liczę. Raz, dwa, trzy...

– Dostaniecie... chrrrrrkk... dolewkę...

Przestałem odliczać.

– Ostry, powiedz mu, jak udupiłem Niedźwiedzia.

– On udupił Niedźwiedzia – potwierdził Ostry.

– Powiedz mu jak.

– Złamał mu karczycho tym samym chwytem. A potem żeśmy go bachnęli na linę. Wyglądało na samobójstwo.

– Ten sam los czeka ciebie, kurwo – warknąłem do nowego. – Już zostało ci niewiele życia. Cztery... Pięć...

– Cichy, ale... – wystękał Ostry.

– Stul szamot! Sześć...

– Ale czego... chrkk... chcecie...

– Mów, kto cię przysłał i dlaczego.

– Jezu... nikt...

– Siedem... Osiem...

– Litości...

– Dziewięć... Ostry, odstaw nóż. Skiczę mu karczycho i wieszamy kurwę.

– Powiem... Powiem!

Poluzowałem chwyt, ale nie za bardzo. Na tyle tylko, by mógł złapać więcej tchu i swobodniej mówić.

– I co nam bałakniesz? – rzekłem, nadając swemu głosowi odcień kpiącej słodyczy.

– Obiecali mi warunkowe...

– Tak? A za co?

– Za nic.

Dociągnąłem odrobinę mocniej.

– Za co?

– Puść...

– Tylko nie mów, że za nic. My tu same niedowiarki – odrobinę poluzowałem.

– Za samo przeniesienie! Jak wolki pragnę mojej jedynej!

– E, ty, nie zastawiaj się tu na honor grypserski – warknąłem. – Jesteś kapusiem, a kapuś nie ma honoru, bo nie jest człowiekiem, tylko kurwą.

Damskie głosy śmigają pod niebiosy. A teraz, ścierwo – znów dociągnąłem – nawiniesz po dobroci, czy wolisz zacząć klepać paciora? Wkurwiasz mnie. Jakie frajery zrobiły cię mąćcicielem? A gdzie masz cynkóweczkę na kichawie? Mąćciłeś cwelami?

Teraz robiłem już tylko cyrk. Sam nie wiedziałem, kiedy wokół nas zebrali się żądni sensacji widzowie. Wszyscy, co do jednego. Nawet EB i Gonzo zdołali pozbierać się z podłogi i obmacując kontuzje, z satysfakcją obserwowali przedstawienie z nowym w roli głównej. Jednocześnie zdawałem sobie sprawę, że przeginam i to ostro. Wszystko dobrze, dopóki trzymamy nowego w podwójnym szachu: ja swoim chwytem, a Ostry przystawiając mu nóż do gardła. W końcu jednak będziemy musieli go puścić. A wtedy wszystkie obelgi, które nowy cierpliwie musiał znosić, mogły odbić się nam krwawą czkawką. Pomyślałem przez chwilę, czy jednak nie dociągnąć, ale zdałem sobie sprawę, że w ten sposób po prostu wydałbym na siebie wyrok. Bez oddechu. Dożywocie. Nikt by nie uwierzył, że w celi jeden po drugim wieszają się ludzie w odstępach co miesiąc. O ile chyba uwierzyli w samobójstwo Niedźwiedzia, o tyle w żaden sposób nie uwierzyliby, że przysłany z Gdańska więzień, zamiast wykonywać swą misję, na czymkolwiek by ona polegała – choć byłem coraz bardziej przekonany, że żadnej misji nie było i sam nie wiedział, po co go tu przerwucili – machnął na wszystko ręką i z rozpacy się powiesił. Pomyślałem przez moment o straconych na zawsze złudzeniach: o utraconej Majorce, o wielkim skoku, a nawet o Annie. Nie, łamać mu karku nie mogłem, choć miałem szczerą ochotę. Cóż pozostawało? Ot, dać się ludziom pośmiać, niech za te swoje guzy i siniaki przynajmniej trochę się powesela.

– Ludzie, popatrzcie, kurwa nie chce nawijać. Z klawiszami umie się dogadać, a z ludźmi nie. Może któryś zgłanuje kurwę w zbuki? – zwróciłem się do widowni. – Tylko pamiętaj – zaszcebiotałem do nowego – jak cię któryś zgłanuje w zbuki, to nie ma bata, żebyś nie drgnął. A wtedy albo rzucisz się w tył i zdechniesz ze złamanym karczychem, albo w przód, prosto na kosę. Możesz oczywiście zostać bez ruchu jak teraz, ale nie wiem, czy ci się uda. W każdym razie obiecuję, że kurwiątek już mieć, ty kurwo, nie będziesz. Ludzie się o to postarają. Nie pozwolimy, żeby kapusta się rozpleniała, no nie, ludzie? Ta kurwa z żadnej many już nie zrobi dobosza.

Rozległy się śmiechy.

– Ja pierwszy – podochocił się Gonzo. – Jak przytnę kapuchę, to mi szkity same chodzą!

– Dobra. Głanuj.

– Czekaście... chr... nie!...

– Zbastuj, Gonzo. Kapusta będzie nawijać – uśmiechnąłem się słodko do nowego. – Ucham, głąbeczku.

Nagle drzwi od celi otworzyły się z głośnym wizgiem. Na progu stał Pipa.

– Co się tu dzieje, do cholery?!

– Kapusta urosła pod celką. Chcieliśmy wyrwać chwasta – odparłem i puściłem nowego, Ostry zaś szybkim, prawie niedostrzegalnym ruchem wpuścił sobie sztylet do rękawa.

– Proszę mnie przenieść! – histerycznie rozdarł się nowy.

Pipa doskoczył do nas, uderzył mnie boleśnie pałką, rozdał i innym kilka ciosów na oślep. Ludzie rozbiegli się, próbując unikać razów. Potem chwycił nowego, też zdzielił go pałą i popchnąwszy przed sobą, wyprowadził z celi.

– Do raportu za to staniecie! – rzucił nam Pipa na odchodnym.

– A co, psie, oddziałowym naszym jesteś albo wychowawcą?!

Poszukałem wzrokiem autora tych słów. To był Wydra. Uniosłem ze zdumienia brwi. Inni chyba też. To była niepotrzebna brawura. Ale świadczyła też o wielkiej charakterności i sztywności chłopaka.

Klawisz, który był już na korytarzu, zamarł bez ruchu i na powrót wkroczył do celi.

– Który to powiedział?

Nikt się nie odezwał.

– Który to powiedział?! – wrzasnął Pipa. – Co jest, kurwa wasza mać, żaden nie ma odwagi? Takie, kurwa, sztywniaki, a dygają?!

– Ja to powiedziałem – Wydra postąpił o krok w kierunku klawisza.

– Ty, mały? – zdumiał się Pipa.

– Mały to jest twój w sztanach. Taki mały, że go pod lupą znaleźć nie można.

– Ach, ty, kurwa, gnoju! Ja cię nauczę! – krzyknął rozwścieczony Pipa. Dawno go takim nie widziałem: na jego szyi i policzkach wystąpiły pąsowe plamy, w oczach malowała się wściekłość i determinacja. Postąpił krok w kierunku chłopaka i trzęsącą się ręką sięgnął po pałkę.

Wiedziałem już, co się stało. To właśnie Wydra przelał czarę dzikiej, narastającej nieraz tygodniami furii na ogół łagodnego jak baranek Pipy.

– W styję mnie cmoknij – igrał z ogniem nieświadomy niczego Wydra.

– Trzymajcie go! Zrobi chłopakowi krzywdę! – krzyknąłem i dając przykład, rzuciłem się w stronę Pipy. Mocno chwyciłem uniesioną już do ciosu rękę, zbrojną w pałkę z elektrycznym paralizatorem. Ostry chwycił go za drugą rękę, sięgającą do kabury z pistoletem. Tuż obok znaleźli się Suchy, Gonzo i EB gotowi do działania.

– Panie komendancie – powiedziałem, siląc się na spokój – nie wolno bić więźniów.

– Będiesz mnie, gnoju, pouczał?! – szarpnął się Pipa, ale trzymaliśmy go mocno.

– Przecież pan jest rozsądny. Mamy wezwać oddziałowego? – mówiłem dalej. – Po co robić sobie kłopoty?

– Do raportu, skurwysyny! Do raportu was wszystkich podam! – pienił się bezsilny, unieruchomiony Pipa.

– Do raportu – zgoda – rzekłem z rezygnacją. – Ale bić nie wolno. Ani

prądem kopać czy strzelać bez potrzeby – i lekko poluzowałem chwyt. Pipa nieco ochłonął. Z jego twarzy i szyi zaczęły znikać niezdrowe rumieńce. Ale gdy tylko poczuł, że przestałem ścisnąć jego rękę, natychmiast się wyswobodził. Obciągnął mundur, poprawił włosy i obrzucił nas nienawistnym spojrzeniem.

– Czynny atak na funkcjonariusza, tak? Drogo was to będzie kosztować.

– Żaden atak, panie komendancie – starałem się łagodzić sytuację. – Chłopak ze świrował. Pan wie, jak to jest. Jeśli ktoś nie siedział, zaczyna mu odbijać.

– Policzymy się. Ten numer wam nie przejdzie – mówiąc to, Pipa opuścił celę. W zamku zazgrzytał klucz.

– No, Wydra – mruknąłem – dobrześ mu dopierdolił, ale Pipa właśnie miał fazę.

– Co miał? – uniósł brwi zdziwiony Wydra, nadrabiając miną i siląc się na spokój.

– Gościu jest miękki, ale zbiera mu się jak wrzód na dupie. Jak go ktoś podjara, traci kontrolę. A ty go podjaraleś. Zajeżyłeś Pipę w jego krańcowej fazie, a to błąd.

– Ja bym nie chciał, żebyście wy przeze mnie...

– Widzisz – westchnąłem – to jest tak, że solidarność ludzi powoli zanika. Że każdy luka na swą styję. Żeby mu było git, a reszta to chuj. Ale my nie tacy. U nas grypsuje się twardo, sztywno i do krańca. Jare zasady. Wszyscy za jednego, jeden za wszystkich. Jorgasz?

– Jorgam. Aleksander Dumas – zdobył się na uśmiech Wydra.

– A tobie w baniaku tylko te pisarskie gierki. Tu życie samo, a nie jakieś tam powiastki! Nie jorgłeś się jeszcze?

– Jorgłem, jorgłem...

– Za to ty, jak który pójdzie leżeć w izie, musowo kopsasz pojarkę. Takie są zasady.

– Ale jak? – zmartwił się Wydra.

– Są metody. Najlepiej przez Bambosza. On opiekuje się izami. To gitny klawisz. Swoje kuma. Zwisa mu zresztą, ma rok do odgibania, potem emerytura. Podasz mu pojarkę, jedną ramkę dla niego i jest git. Bo w izie nade wszystko chce się jarać. Nie leżałeś jeszcze w kabarynie, to nie kumas. Ale to syf, że większego nie ma. Na gołym betonie. Bez światła dziennego. Tylko żarówka, dwudziestka piątka. Podwójne drzwi, żeby żaden dźwięk się nie dostawał. Ludzie gibali po lokomotywie albo po srebrnym weselu i git, ale tydzień w izie niejednemu popierdolił w baniaku. Potem tylko szpitalka w głupiejowie.

– Mam wypisę, to coś wymózguję. Kopsnę pojarki.

– Szlugi to nie wszystko. Jeszcze świeca albo żarki. Bo idących na izę kipiszują dokładnie. Pod język nawet zaglądadają. Nic nie skitrasz. Idziesz do izy goły i wesoły.

– No, no! – Ostry podszedł do nas i spojrział na mnie z uznaniem. – Aleś tego kapusia załatwił A kto ci nawinał, że to kapuś? Żeby mąciiciel i kapusta? – pokręcił z niedowierzaniem głową.

– Każdy może wydziargać buraka. A jeśli nie chce dziargać, to może wymalować długopisem.

– Masz recht – zgodził się Ostry, ale bez przekonania. – Grypsierka się odwróciła.

Obudziła mnie stukanka. Kaloryfery aż drżały od stukania więziennym, nieco tylko zmodyfikowanym Morse'em. Odruchowo zacząłem wsłuchiwać się w wiadomość.

C-i-c-h-y – dotarło do mnie z niejakim opóźnieniem. Uniosłem głowę z posłania. Coś o mnie, ale co?

Wiadomość się skończyła. O co w niej chodziło? Wymieniano przecież moją ksywkę.

Uniosłem głowę.

– Coś o mnie? O co biega? – spytałem sennie.

– Ty rurowo! Ty padluchu! Ty parówow!

* * *

Nie spałem, tylko wertowałem Romea i Julię. Naprawdę gitny tekst szesnastowiecznego autora. Szekspira. A może Szekspirów. Gdzieś wyczytałem, że może Szekspir to wieloosobowa spółka tekściarzy. Ale mimo wszystko autorów tekstów genialnych. Pomyślałem, że chciałbym być w takiej spółce. Nawet jako bezimienny współautor. Choć i tę rolę także miałem już za sobą. Przetłumaczyłem Szekspira na gryps też właściwie bezimiennie.

Kątem oka dostrzegłem Ostrego, Suchego, Gonza i EB, jak zbliżają się do łóżka Cichego. Znów jakiś rytuał, którego nie rozumiałem. Nie rozumiałem jeszcze wielu innych grypserskich rytuałów. Być może Cichy nie miał dość czasu, by wprowadzić mnie we wszystko. Tym bardziej więc nastawiłem uszu i oczu, bo sądziłem, że jest na co popatrzeć i czego posłuchać. W koncentracji przeszkadzał mi tylko rytmiczny i natarczywy odgłos stukania w kaloryfer.

Dostrzegłem w dłoniach Gonza, specjalisty od fajansów, misternie uplecione sznurki. W okamgnieniu ludzie rzucili się na rozespanego Cichego i błyskawicznie związali mu ręce i nogi. EB zakleił Cichemu usta plastrem. Odrzuciłem książkę i podszedłem sprawdzić, co się dzieje.

Związany i zakneblowany Cichy rzucał się na łóżku niczym złowiona w sieć ryba. Chciał coś mówić, ale plaster na ustach skutecznie to uniemożliwiał.

– O co biega? – spytałem Ostrego, który stał najbliżej.

– To kapuś. Przyśmigał wianek, że dogadał się z capem i chła.

Nie mieściło mi się to w głowie. Cichy kapusiem? Właśnie on?

– To pewne?

– Uchasz przecież! – Ostry wskazał na kaloryfer. – Wianek śmiga w całe pudło. Cynk jest bankowy.

– A jak to podpucha?

– Ten od stukanki za wiele by ryzykował. Cynk jest na mur. Jakby żenił bałach, sam by został spuszczonego do wora – Ostry spojrzał na szamoczącego się Cichego i warknął. – Od razu mi nie podchodziły te jego nawijki z capem. Pamiętam, raz nawet wciskał kit, że go lolą lali bez plery, ale jak kataną ściągnął, to nawet znać nie było. Już wtedy mogłem się jorgnać, że lata chlać. Albo ten mąciociel z batorego. Chciał go udupić, żebyśmy przycięli, że niby nie podchodzą mu kurwy. Kapusta jebana, tfu! – splunął.

– Co z nim zrobimy? – spytał Gonzo.

– Kapusta to cwel – odparł Ostry. – Zakisimy ogóry. Ściągnij mu który sztany. Cichy zaczął prężyć się i stękać.

– Lipuj, Wydra – rzekł Ostry. – Tak się robi z kapusiem.

Spojrzałem na Cichego. To on przecież wprowadzał mnie w grypserkę. Z jednej strony było mi go żal. Kapuś ma jeszcze gorzej niż cwel, bo nawet cwel może takiemu napluć w twarz. Ale z drugiej strony czułem narastającą pogardę. Po co kapował? Sprzedawał nas. Udawał, że mąci razem z Oстрыm, a tymczasem dogadywał się z klawiaturą. Nędzna szmata. Faryzeusz. Mówił mi: „Bądź twardy, bądź charakterny, nie dygaj, nie chłaj”, a tymczasem sam po cichutku sprzedawał, kto wie, może nawet i mnie.

Z mściwą satysfakcją patrzyłem, jak ściągają z kapusia sztany i przewracają na brzuch. Wyrывał się, prężył, wył mimo szamy zaklejonej plastrem.

Pierwszy zgwałcił go Ostry. Gdy tylko mu wsadził, kapuś się uspokoił. Przyjęło mu się. Następny w kolejce był Suchy, potem Gonzo, a później EB.

– Śmigaj tu, Kudkudak – rzekł wspaniałomyślnie Ostry do cwela, który z zaciekawieniem, ale i z przerażeniem obserwował wydarzenia ze swego łóżka. – Użyj se na kapusiu.

– Nie, nie chcę – odparł przestraszony akowiec.

– Co to znaczy „nie chcesz”?! – zawołał Ostry. – Jazda, parówo, bo i ty weźmiesz w piec!

Akowiec, dygocąc ze strachu, zwlekł się z łóżka i niepewnie zbliżył się do Ostrego.

– Kiedy ja... Ja bym nie mógł z chłopem...

Ostry uderzył go w twarz, a następnie rozkazał:

– Masz go przejechać!

– Hej, Ostry – zawołał EB – zbastuj mu. Każesz panience rznąć panienkę? Rozległy się śmiechy.

– Gites, spierdalaj – zgodził się wspaniałomyślnie Ostry.

Podszedłem do Ostrego.

– Teraz moja kolej.

Ostry przyjrzał mi się uważnie.

– Jak nie chcesz, to nie ma musu. Waflowałeś z nim chyba.

– Chcę – odparłem krótko. – To przecież kapuś.

Gdy podszedłem do Cichego, nawet się nie poruszył. Nie chciałem na niego

patrzeć. Odwróciłem wzrok i szybko zrobiłem, co należało.

Ostry podszedł do łóżka, na którym leżał kapuś i rzucił zastawkę:

– Chuj to kojo.

Łóżko uznane zostało za przecwelone. Dotknięcie go groziło odtąd przecweleniem.

– I co z nim? – spytał Gonzo Ostrego. – Może by tak wyrwać chwasta, kosę kapuście ożenić?

Wiedziałem, że Gonzo i Cichy się nie znoszą, ale pomysł był idiotyczny. Za dużo działa się ostatnio pod celką. Jak nic zrobiliby wreszcie porządne dochodzenie.

– Kapusta to kurwa – wtrąciłem się do rozmowy – ale sztywny pod celką to bankowa waga i dolewki.

– O, mąciiciel przykitrał, kurwa jego mać – warknął Gonzo i w tym momencie nieźle sobie u mnie nagrabił.

– Niekiepsko jorga – rzekł z uznaniem Ostry i spytał mnie, jak gdybym był jego doradcą. – A co byś namącił?

– Niech który siada na klapę i niech gady wezmą swoją kurwę. A dopadnie się go na spacerunku albo w łaźni.

– Siadaj na klapę – bez zbędnych dyskusji rzekł Ostry do Gonza.

Po chwili zjawił się zaspany klawisz. Burak.

– Czego? – burknął. – Któryś lołę chce na sen?

– Tam wasz kapuś leży – odezwał się Ostry i wskazał na kapusia. – Zabierzcie go sobie, bo jak się ludzie podjarają, to rańca może nie doczekać.

Burak podszedł do łóżka, na którym leżał kapuś. Spojrzał na Ostrego.

– Zwiążaliście go? Po co?

– A jak pan myśli?

Burak westchnął i zabrał się do rozsypywania więzów, ale mu nie szło.

– Ma któryś nóż? – spytał.

Rozległy się śmiechy.

– Nóż? – postanowiłem włączyć się do rozmowy i udałem zdumienie. – Tu? W pudle? To wbrew regulaminowi!

Wywołało to nową falę wesołości.

– Ty mi tu nie skakaj, szczeniaku – warknął Burak, szamocząc się z węzłami. – Ma który ten nóż?

– Nikt tu nie ma noża – powiedział Ostry. – Ale ten kapuś miał. Jest taka dziura w materacu. Tam skitrał.

Strażnik obszukał łóżko i wyciągnął sztylet. Przyjrzał mu się uważnie.

– Ładna zabawka.

Szybko przeciął więzy na rękach i nogach kapusia, po czym schował sztylet w kieszeni munduru.

– Pakuj mandżur.

Kapuś bez słowa zerwał sobie plaster z szamy, rozłożył koc i zaczął rzucać nań swe rzeczy. Gdy skończył, związał końce i stanął przy strażniku,

obrzucając nas wściekłym spojrzeniem.

– Idziemy – rzekł Burak i wyprowadził kapusia.

– Przyjęło się kurwie – westchnął Ostry jakby z żalem. Spojrzałem na niego zdziwiony, ale rychło zrozumiałem, czego mógł żałować. Mimo że był to kapuś, Ostry stracił doradcę. Gdy to pojąłem, doznałem olśnienia. Należało kuć żelazo póki gorące.

– Możesz na mnie liczyć, Ostry.

Teraz on spojrzał na mnie ze zdziwieniem.

– Wiem, że on czasem ci doradzał w mąceniu. Mogę i ja.

– Ty? – Ostry spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Ja – odparłem. – Sporo już wiem. I sporo potrafię. Sam wiesz.

– Młody jesteś – Ostry spojrzał na mnie taksującym wzrokiem.

– Dlatego mogę mieć świeże spojrzenie.

– Podumam – uśmiechnął się Ostry. – Na dziś basta. Śmigamy schnąć.

EPILOG

– Jak tu jest?

– Git.

– Sie macie ludzie.

Obstąpiło mnie pięciu chłopa, co jeden to sztywniejszy.

Kopsłem witę na powitanie pierwszemu z nich, największemu. Luknął na mnie spod dekła, lecz nagle dał se siana.

– Sie masz.

Chyba ściął buraka, którego wydziargałem pod lewym lipkiem.

Przywitałem się z pozostałymi.

– A tamci? – ruchem bani wskazałem na dwóch garuchów, co klapsnęli przy lipie i filowali na nas ciekawie.

– To meksyk – machnął witą ten, z którym witałem się najpierw. Widocznie to on mącił pod celką. – Ile i za co?

– Lokomotywa za dziesionę.

– Gdzie leżałeś?

– Najpierw na Krzywiu, potem w Sing-Singu.

– Długo grypsujesz? – wskazał na buraka.

– Odkąd ludzie pozwolili.

– Nie wyglądasz jakoś na mąciwodę – nawinął duży, lecz w tym samym momencie lutnąłem mu kantem w splot. Ale nie na głucho. Tak tylko, żeby dobrze poczuł, ale nic więcej, bo nie chciałem mieć wroga na starcie.

– Ci, co tak mózgowali, żałują – nawinąłem, gdy zgięty wpół herszt usiłował złapać dech. – Ten lut, jak się postarać, bankowo utrupia – luknąłem na deczko sfajtanych ludzi. Wszystko bajtlowało się w trymiga, toteż żaden nie zdążył zamachać witami. I git, bo mocne wejście to niekiepska pozycja.

– Wydra jestem – przedstawiłem się, po raz kolejny wyciągając do wszystkich grabkę.

– Mruk.

– Lutek.

– Siwy.

– Diabeł.

– Diabeł? Gites! Leżałem kiedyś z jednym Diabłem. Grał w więziennym teatrze.

– Taki czarny? Anielewicz? – odezwał się Mruk.

– Ten sam. Wafel?

– Z jednej ulicy jesteśmy. Z Brzeskiej. Na warszawskiej Pradze. Tylko jego zhałtowali na gościnie.

– A on? – wskazałem na herszta, który dochodził już do siebie.

– Wabi się Jary – wyjaśnił Mruk. – Trochę tu mąci.

– Siemano, Jary. Wydra jestem – wyciągnąłem witeń do głęboko oddychającego herszta. Przyciął mnie, ścisnął kły, ale na kraniec kopsnął grabkę.

– Weź się nie trzęś, ale jeżę mnie takie nawijki. Mi też nie podchodzi, jak muszę grabłem przekręcać, ale jak gamzam, że nie taki mikry, to ludzie mózgują, że farmazonem jadę. Puść wiatrem tego luta. Przyciszmy se i gites.

Wiedziałem, że myśleć o tym nie wolno, tak mnie kiedyś uczył Cichy, ale nic na to poradzić nie mogłem: pomyślałem o tych dwunastu kalendarzach, które miałem tu spędzić, no, może spędzę połowę, jeśli uda się załatwić warunkowe...

SŁOWNICZEK

Od autora:

Przywołajmy słowa Cichego, który tłumaczył Wydrze: grypserka, język więźniów, git-ludzi, powstaje tak naprawdę w celach. I w poszczególnych więzieniach. W jednych mówią na kradzież „rozmowa”. W innych „starać się”. Jeszcze w innych „bawić się”. Albo „robić”. Czy „walić”. Grypserka jest sumą języków przestępców, tworzonych przez różne środowiska w różnych celach i w różnych więzieniach oraz oczywiście, na wolności, w czasie wspólnych rozmów. To co robi „klawiatura”, „fortepian” albo „mrowisko”, czyli pracownicy penitencjarni, a więc przemieszczanie więźniów z celi do celi, z zakładu do zakładu, powoduje, że lokalne gwary przestępcze się unifikują. Ścierają się ze sobą. Słowa walczą ze słowami. To tak jak w języku literackim czy potocznym. Pozostają te wyrażenia, które okazują się najbardziej przyswajalne. Najprzystępniejsze. Najłatwiej odmienialne. Dlatego można spotkać się z różnymi grypserskimi określeniami tego samego wyrazu w różnych więzieniach. Ale – jeśli będzie się znało najpopularniejsze określenia – łatwo sobie z tym poradzić, a nawet domyślić się sensu zwrotu z kontekstu. W niektórych więzieniach bowiem spotkać się jeszcze można z nigdzie indziej nieużywanymi już zwrotami. Z archetypami grypserki, skansenami tego języka, kultywowanymi przez więźniów starej daty, którzy znaleźli się pod jedną celą i „nawijają”, to znaczy mówią, rozmawiają, po swojemu, jak za dawnych, dobrych lat.

Używając grypserki w wypowiedziach więźniów, oparłem się na klasycznym już Słowniku tajemnych gwar przestępczych Klemensa Stępniaaka, który wzbogacony i uzupełniony został o materiał leksykalny pochodzący z gwar byłych więźniów, którzy odsiadywali wyroki w zakładach w Łęczycy, Piotrkowie i Łodzi. Stąd być może byli więźniowie z zakładów w innych rejonach kraju, mogą w niektórych wypadkach znać nieco inne określenia niż tu podane.

Jednakże grypserka nie jest zjawiskiem wyłącznie językowym, sięga o wiele głębiej. Niniejszy słowniczek zaś pełni tylko „językowego przewodnika dla leniwych”. Bo zapewniam Czytelnika, że trafiając do więzienia (różnie przecież może się w życiu zdarzyć, o czym świadczy choćby przykład Wydry, tytułowego „Kryminalisty”), nie dostaje się oprawionego w skórę słownika grypserki, by można było zrozumieć, co inni mówią.

Chciałbym przeto, by Czytelnik zbyt często nie zaglądał do tego słowniczka. By spróbował zabawić się w wyobraźni w więźnia i samodzielnie, tak jak Wydra na przykład, próbował pojmować grypserskie zwroty i określenia: z kontekstu, słuchając wyjaśnień Cichego lub obserwując zachowanie się współwięźniów po wydaniu im poleceń w więziennym slangu. Bo tak właśnie

uczą się grypsu noworodki.

Swoistą karą dla leniwych będzie zapewne częste przerywanie lektury i kursowanie pomiędzy tekstem powieści a niniejszym słowniczkiem. Toteż doradzam, by do słowniczka sięgać tylko w ostateczności.

W słowniczku znalazły się tylko te określenia z grypsarki, które wykorzystane zostały w książce.

abarot (z abarotem) – z powrotem; także: skierowanie bluzgu z powrotem do wypowiadającego

akowiec – złodziej wiejskiego inwenarza (od żart.: kodeks Akk – a kury, a kaczk)

aksamitna biżuteria – drób

ameryka – okres próbny kandydata do grupy grypserskiej

amerykan – p. chrabąszcz

arbajt – praca

atanda – grupa uzbrojonych strażników, likwidująca zamieszki; także: okrzyk „uwaga!”

audiencja (w zn. cwel na tronie leży i audiencję daje) – grupowy oralny stosunek homoseksualny

bachnąć (bachnąć się na linę) – powiesić się

badziew, badziewie – byle co

bajtłować (się) – dziać (się)

bałach – p. farmazon

bałakać – mówić

baniak – głowa

bankowo – na pewno, z pewnością

bańki – bicie

bańki cięte – uderzenie nożem

bardach, bardacha – muszla klozetowa, ubikacja

basta – dosyć, koniec

bastować – przestawać, przestać

batory – wózek do rozwożenia posiłków; także: więzienie w Gdańsku

bawić się – kraść

berło – szczotka do mycia ustępu

betonka – podłoga

bez oddechu – kara dożywotniego pozbawienia wolności

bęcki – pobicie

białe szaleństwo – ser

biegać – iść, chodzić

biżuteria – wymiociny. p. także: aksamitna biżuteria

blacha – uderzenie otwartą dłonią, najczęściej w czoło

blat – stół; także: zgoda

blatnie – dobrze, w porządku

bluzg – rytualne ubliżenie powodujące wykluczenie ze społeczności git-ludzi

bluznąć – wyzwać, p. bluzg

bolszy – duży, większy

brać (w zn. brać w piec, w szamę) – być obiektem stosunku homoseksualnego

brechać – mówić

brodzisz – stosunek oralny

bryndza – braki; bryndza w karmanach – brak pieniędzy

bujać się – robić

burak – serce; także: serduszko wytatuowane pod lewym okiem, oznaka mąciela

buzaża – więzienna grzałka: dwa kawałki blachy, np. z żyłek czy puszek od konserw podłączane do sieci elektrycznej

cap – naczelnik więzienia

chabanina – mięso

chachać się – śmiać się

chajs, chajc – pieniądze

chapać – brać

chara – wódka

charakterny – twardy, nieustępliwy, bezwzględny

chłać – donosić

chlastać – dokonywać samoagresji przez pocięcie ciała

chlej – donosiciel

chłopak – bluzg, słowo obraźliwe; zastępować je należy słowami człowiek, małolat, młody

chrabąszcz – kandydat do grupy grypserskiej, będący w okresie próbnym

chrzest – rytualne powitanie i sprawdzanie nowych więźniów; także: egzamin na „człowieka”

cichnąć – ukrywać się

cienki – słaby

cięte bańki – uderzenie nożem

cwel – więzień zdegradowany do dna więziennej hierarchii, najczęściej homoseksualista bierny, poniżany, szykanowany, prześladowany fizycznie i psychicznie bez ograniczeń

cwelować (w zn. cwelować z glana) – uciekać

cyc – p. chrabąszcz

cykorować – bać się

cynkować – powiadamiać, informować

cynkówka – kropka w okolicy lewego oka, symbol przynależności do subkultury git-ludzi

czaj – herbata; także: mocny napar z herbaty z dodatkiem proszków od bólu głowy, tytoniu, pasty do zębów, etc.

czapa – głowa; także: kara śmierci.
człowiek – uczestnik subkultury grypsujących
czyścić – kraść
dać, dawać – bluzg, propozycja odbycia stosunku homoseksualnego;
poprawnym synonimem tego słowa jest „kopsnąć”
damski chuj (zwrot: za damski chuj) – za nic, bez winy
damskie głosy idą pod niebiosy – idiom oznaczający: głosy frajerów i kobiet
nie ubliżają git-człowiekowi
deczko – trochę
dekiel – głowa
delbana – zegarek
delbanka – margaryna, tłuszcz
derby – zbiorowy akt onanizmu
długa (w zn. dać w długą) – uciekać
dolina – kieszeń
doliniarz – kieszonkowiec
drugi – narkotyki
druciara – p. cwel
dudy – płuca
dygać – bać się
dymać – odbywać stosunek
dynks – denaturat
dziany – zasobny w gotówkę
dziesiona – rozbój (artykuł 210 Kodeksu karnego)
dziewiona – rozbój (artykuł 209 Kodeksu karnego)
dźwignąć – p. wyprostować
ęą – obraźliwe określenie inteligenta
fachura – fachowiec
fajans – wyroby produkowane chałupniczymi metodami przez więźniów
fajer-maszyna – zapalniczka
fanty – łupy pochodzące z kradzieży
farba – krew
farmazon – nieprawda, oszustwo, kłamstwo
fart – szczęście
fasować – dostawać, brać
fest – uczestnik wrogiej wobec git-ludzi subkultury fest-ludzi
figura (w zn. figurę zmienić) – mieć uszkodzoną po bójce twarz
filować – patrzeć
fortepian – pracownicy penitencjarni
frajer – osobnik nienależący do subkultury git-ludzi; także: ofiara
przestępstwa lub więzień zdegradowany
friko (w zn. za friko) – za nic
gable – ręce

gad – strażnik; także: policjant
gamzać – mówić
garować – odbywać karę pozbawienia wolności
garucha – doświadczony więzień
generał – niedopałek papierosa
gibać – odbywać karę pozbawienia wolności
gicior – dobrze, świetnie, w porządku
gierki, giercowanie – gry więzienne, na ogół bolesne i dokuczliwe dla
poddanego nim więźnia
gięta – kiełbasa
git – dobrze, świetnie, w porządku
gites – dobrze, świetnie, w porządku
glanc (w zn. na glanc) – absolutnie, całkowicie
glancować – czyścić, myć
głanować, wziąć na glany – skopać
glany – buty
głucho (w zn. na głucho) – całkowicie
gnić – spać, leżeć
golicha – brzytwa
golić – kraść
gouda – wódka
grabka, graba – ręka
grabsztyk – ręka
grudki – kartofle
gruzinka – stara, nieatrakcyjna prostytutka
grypserka
haftować – wymiotować
hajtnąć się – powiesić się
hakenkrojc – śmierć
halina – melina
harcerz – p. chrabąszcz
haukacz – adwokat
herbatnik – przyjaciel
hermetyk – dżem; ogólnie: produkt spożywczy ze słoika lub konserwy
holownik psów – więzienny psycholog
huki (w zn. brać na huki) – bić
huknąć (w zn. huknąć w rynnę) – płakać
iza – izolotka, karna cela
jalka – zamek typu „Yale” i „Łuczniczka”, typowe zabezpieczenie drzwi
w blokach
jarać – palić (przede wszystkim papierosy)
jareccy – rodzice
jary – ojciec; także jako przymiotnik: stary

jechać – określenie wieloznaczne
jemioła – napar z herbaty o działaniu narkotycznym, często doprawiany tytoniem, tabletkami przeciwbólowymi itd.
jorgać – rozumieć
jucha – krew
kabaryna – cela karna, izolatka
kablować – donosić
kajfus = kalifaktor – więzień funkcyjny, np. rozdający posiłki
kaleczyć – psuć; kaleczyć powietrze – korzystać z ubikacji lub puszczać gazy w obecności jedzących lub pijących ludzi.
kalifaktor – p. kajfus
kapusta – donosiciel
kapuś – donosiciel
karoseria – zawieszenie wyroku; Kat dał z karoserią: sędzia zasądził wyrok z zawieszeniem.
kat – sędzia
kichawa – nos
kicior – kłamstwo; także: rytualny zwrot odwracający bluzg do wypowiadającego.
kiepować – odgaszać papierosy
kiepski – zły, niedobry; także: więzień zdegradowany
kima – noc; także: spanie (walnąć w kime)
kimać – spać
kindybał – członek męski; napad z kindybałem w rękę – gwałt
kirać – pić; także: pić alkohol
kit – p. kicior
kitrać – chować; (w zn. kitraj się – uciekaj, odejdz)
kłaśniak – przestępca
klapa (w zn. siadać na klapę) – dzwonić po strażnika
kłaśniać, klapsnąć – usiąść
klawiatura – p. fortepian
kławich = klawisz – strażnik
kławo – w porządku, dobrze
kłęzki – więzienie we Wrocławiu
kłać – wygłaszać w sądzie mowę obrońcą
kły – zęby
knajać – iść
kochany – bluzg; także: określenie cwela (p. cwel)
kojo – łóżko
kojować – leżeć, spać
kolki – igły do wykonywania tatuażu
kolorek – barwnik do tatuażu
kołować – kraść

komarować – spać

komin – pistolet, broń

koniec – bluzg (określenie członka); należy poprawnie użyć słowa „kraniec”

konował – lekarz

kopsać – dawać

kosa – nóż

kotwica, kotwa – sprężynujący drut połykany przez więźniów w celu samoagresji; także: tatuaż oznaczający specjalizację przestępczą „skok na wydrę”; p. wydra

kozakować – udawać odważnego

kraniec – koniec

krańcówka – ozdobnik zwrotu uznawanego za obelżywy, pozbawiający go takiego znaczenia; np. kurwa (określenie donosiciela lub, rzadziej prostytutki) jest obraźliwe; zwrot „Kurwa twoja w mordę jebana mać” jest jedynie ozdobnikiem wypowiedzi, która w takiej postaci już nikogo nie obraża.

krawiec – kieszonkowiec

kroić (w zn. krawiec kroi katany) – przecinać (ubrania frajerom, by skraćć portfel)

kruk – duchowny, ksiądz

krzyczeń – wygłaszać akt oskarżenia

krzywość – lżejsze wykroczenie przeciwko kodeksowi norm gryperskich, podlegające z reguły tzw. „naprostowaniu”, czyli możliwości odkupienia winy i stania się na powrót pełnoprawnym członkiem gryperskiej subkultury

KS – kara śmierci

ksywka – pseudonim

kuban – kubek więzienny

kubany – gra więzienna, polegająca na biciu ofiary kubkami po głowie

kufa – twarz, usta

kuken – patrz!, spójrzcie!

kumać – rozumieć

kupić – przyjąć, wziąć za dobrą monetę.

kurwa – donosicie; także (rzadziej): prostytutka

kwadrat – mieszkanie; także: cela więzienna

leberko – drobiazg

leżeć – odbywać karę pozbawienia wolności

lipko – oko; także: okno, wizjer w drzwiach celi

lipny – na niby

lipo – okno, oko, wizjer w drzwiach celi

lipować – patrzeć

logier – sperma

lokomotywa – wyrok dwunastu lat pozbawienia wolności (tyle, ile kół ma parowóz)

lola – pałka; także (rzadziej): szczotka do mycia ubikacji.

ludzie – uczestnicy subkultury grypserskiej
lutować – bić, uderzać
luzować się – dawać spokój, odprężyć się
ładować (w piec) – odbywać stosunek homoseksualny
macać – szukać
mały – bluzg (określenie członka); poprawnie należy mówić „mikry”
mana – kobieta, dziewczyna
mandżur – koc z zapakowanymi weń osobistymi rzeczami więźnia podczas
przenosin
mańka – ręka; także: strona
marchewa – zwinięty spiralnie, namoczony ręcznik służący do bicia; p.
gierki
mąciiciel – przywódca git-ludzi
mąciwoda – p. mąciiciel
meksyk – bójka; także: część celi przeznaczona dla frajerów, p. frajer
meta – melina; także: miejsce spotkań przestępców
mianko – pseudonim
micha – twarz
miech – miesiąc
mieszać – przeszkadzać; także: tańczyć
migawy – wątpliwości
mikry – mały
mojka – żyletka; także: brzytwa
mokra robota – zabójstwo
mózgować – myśleć
mózgowiec – osobnik mądry, inteligentny
mrowisko – p. fortepian
muka-puka-śmuka – p. bałach
musowo – koniecznie
nagrabić – narazić się innym
najmimorda – adwokat
namiot – pierś kobieca
napierdalać – upominać, mieć za złe
nasypać – nalać, wlewać
nawijać – mówić
nawijka – rozmowa
nawrzucać (w zn. nawrzucać do baniaka) – wytłumaczyć
niefart – nieszczęście, pech
niekiepski – dobry, w porządku
nieklawo – źle, kiepsko
no, jo – tak
normalka – coś zwyczajnego, normalnego
noworodek – p. chrabąszcz

obciągnąć – odbyć oralny stosunek homoseksualny
oberwać (w zn. oberwać w uśmiech) – zostać uderzonym w twarz
obłatwić – załatwić, zorganizować
obrabiać – kraść
obrączki – kajdanki
obskoczyć – dostać; także: zostać uderzonym lub pobitym
obszczymur – degenerat, włóczęga
ocipieć (ześwirować) – zwariować
okładka (w zn. od okładki do okładki) – odbyć wyrok w całości, bez
zwolnień warunkowych
odgibać – odbyć karę pozbawienia wolności
odjechać (ześwirować) – być niespełna władz umysłowych
odkitrać – odejść, dać spokój
odknajac – odejść, dać spokój
ogór – członek (w zn. ogóra zakasić – odbyć stosunek seksualny)
omega – mądry, inteligentny
orient – uwaga
padluch – p. cwel
pagony – dystynkcje na wzór stopni wojskowych, tatuowane na ramionach
i oznaczające staż więzienny: belka oznacza rok pozbawienia wolności,
gwiazdka zaś trzy lata
panienka – p. cwel
papuga – adwokat
papugować – bronić, wygłaszać mowę obrończą
papuśnik – cwel będący obiektem oralnego stosunku seksualnego, p. cwel
para – siła
parkan – wewnętrzna kieszeń marynarki; wiatrzyć chajs w skórze za
parkanem: mieć pieniądze w portfelu w wewnętrznej kieszeni marynarki
parkiet – podłoga; stawac na parkiet to wezwanie do bójki
parol (w zn. wypłacać parole) – uderzenie członkiem w twarz,
symbolizujące przecwelenie
parówa – p. cwel
patelnia – żeński narząd płciowy
paw (w zn. pawia puścić) – zwymiotować
peron – korytarz
pestka – kara pięciu lat pozbawienia wolności
pet – niedopałek papierosa
pękać – bać się
piec – odbytnica (w zn. brać w piec – być obiektem stosunku
homoseksualnego)
pierdolić – określenie wieloznaczne
pierdolnac (w zn. pierdolnac w kalendarz) – umrzeć
pies – policjant

platery – naczynia więzienne
plery – plecy
podchodzić – pasować, zadowalać się
podjarać – zdenerwować
podrywka – p. wydra
pohaftować – zwymiotować; także: dokonać samouszkodzenia poprzez pocięcie się
połyk – połknięcie jakiegoś przedmiotu w celu samouszkodzenia
posunąć, posunąć się – bluzg; także: propozycja odbycia stosunku homoseksualnego (poprawnie należy powiedzieć: przesunąć się lub pyrznąć się)
posunięty (w zn. kosą posunięty) – uderzony nożem
powalić się – zostać osadzonym w więzieniu
prawilny – prawdziwy
prorok – prokurator
pryszcz – nic
przecwelić – zdegradować człowieka do kasty cweli (p. człowiek i cwel)
przedłużki – wytatuowane kreski w kącikach oczu, symbol zaufania ze strony grupy grypserkiej
przedszkole – więzienie w Lublinie lub w Kamieńsku
przekręcać – tłumaczyć
przekręt – afera
prześmiewka – wesołek
przewałka – oszustwo
przyciąć – spostrzec, dojrzec
przyciszyć (sobie) – podać rękę na zgodę, zazwyczaj po bójce
przyfilować – zobaczyć, dostrzec
przyjarać cegłę – zarumienić się, zmieszać
przyjąć się – zgodzić się na coś
przyjeżyć – zdenerwować
przykaleczyć – p. kaleczyć
przypalić cegłę – zarumienić się, zmieszać
przystojny – ładny
przyśmigać – przyjść, przyjechać, przybyć
psiarnia – posterunek policji
psychol – psycholog więzienny
pucować, pucować się – przyznawać (się)
pudło – więzienie
puszkować – osadzać w więzieniu
puzon – twarz
pyrgać się – przesunąć się, posunąć się
rak – podwójna kotwica (p. kotwica); cztery sprężynujące druciki, wbijające się w ścianki żołądka po połknięciu (p. połyk)

rakieta – paczka (najczęściej żywnościowa)
ramka – paczka w znaczeniu „opakowanie”, karton, pudełko
rąbać – kraść
rąbnać – ukraść; także: zabić
recht – prawda, prawo
rekin, rekinek – dziecko
robić – kraść
robol – robotnik
robota – kradzież, przestępstwo
rowerek – gra więzienna polegająca na wkładaniu śpiącemu więźniowi podpalonych zwitków papieru między palce u nóg
róża – choroba weneryczna; syfilis
schab – śledź
schnąć – spać
schować – osadzić w więzieniu; także: zdegradować w więziennej hierarchii
schować do pudełka – osadzić w więzieniu
schówek – więzienie
siadać (w zn. siadać na klapę) – dzwonić po strażnika
siano (w zn. dać se siana) – odpuścić, dać spokój
siemano, się macie – rytualne, grypsterskie powitanie, identyfikujące git-człowieka
sing-sing – więzienie w Gdańsku (p. batory)
skakać – rzucać się, siać ferment, nie zgadzać się, protestować
skiepsćić – zdegradować w więziennej hierarchii
skitrać – schować
skok – przestępstwo, włamanie
skowernia – posterunek policji
skowyr – pies
skórą ruszyć – onanizować się
skręcać – kraść
skroić – zrobić
śmigać – iść
smutne oko – żeński narząd płciowy
smutniak – ciemny, więzienny chleb
solo – bójka dwóch więźniów w obronie grypsterskiego honoru
spadówa – odejść, odejście
spólas – współnik
spóła – spółka
sprint – p. wydra
sprzedać – donieść; także uderzyć, (w zn. sprzedać kosę: uderzyć nożem)
sprzedawać – donosić
spuścić do wora – zdegradować w hierarchii więziennej
starać się – kraść

stukanka – więzienny, zmodyfikowany alfabet Morse’a. Jako nośnik informacji służą najczęściej ściany, przewody wodociągowe lub ciepłownicze

stuknąć – uderzyć

styja – odbytnica

suchy brandzel – platoniczna miłość

suka – samochód do przewożenia więźniów; także: prostytutka i cwel

sunąć – odbywać stosunek

syficznie – źle, kiepsko

sypać – lać

szajs – byle co

szaleństwo białe – ser

szamać – jeść

szamka – jedzenie; także: usta

szamot – usta

szarpać – odbywać stosunek

szczać – śmiać się

szkit – noga

szłoić – odbywać stosunek

szlug – papieros

szmata – donosiciel

sznyt – blizna po dokonany samouszkodzeniu przez pocięcie

sznyt wiedeński – pocięcie się począwszy od ucha, poprzez szyję, klatkę piersiową, brzuch, udo, aż do kostki

szpitalka – szpital

szpońcić – mądrzyć się, siać ferment

sztany – spodnie

sztemp (w zn. bez sztempu) – bez obaw

sztywniak – trup; także: więzień twardy, nieustępliwy

sztywny – p. sztywniak

ściąg – ujrzeć, zobaczyć

świeca – zapalniczka

świrować – wariować

tabor – taboret; także: konwojowanie więźniów z jednego zakładu do drugiego

trefny – kradziony

tron – ustęp, muszla klozetowa

trucać – tłumaczyć

trumienka – teczka dyplomatka

trymiga – od razu, natychmiast

trząść się – denerwować się, złościć

tufta – prostytutka

twardy – spirytus

tyra – praca

tyrować – zasłaniać
ubój – zabójstwo
uchać – słuchać, słyszeć
udupić – zabić
ujaić – pogrążyć
ułan – więzień wykorzystujący innego seksualnie
utopić – pogrążyć
utrubić – zabić
wafel – przyjaciel, kolega
waga – rozprawa w sądzie
walić – kraść; także: odbywać stosunek seksualny
wiatrem puścić – zapomnieć
wiatrzyć – mieć
wiącha – rytualny bluzg, będący wstępem do degradacji w więziennej hierarchii; p. bluzg
wist – odezwanie
witka, wita – ręka
wizytówka – tatuaż na dłoni, pozwalający na szybką identyfikację przestępczej specjalności
wojtek – miesiąc
wolka – wolność
wydra, robić na wydrę – dokonywać rozboju poprzez wyrwanie ofierze z rąk teczki, torebki itd. i szybką ucieczkę
wydziargać – wytatuować
wyglancować – wyczyścić, umyć
wyjaśnienie (w zn. być na wyjaśnieniu) – oczekiwać na decyzję mąciela w sprawie wyprostowania zaistniałej krzywości i przywrócenia do społeczności git-ludzi
wyklepać (się) – odbyć karę pozbawienia wolności
wykopyrtnąć (w zn. wykopyrtnąć się w kalendarz) – umrzeć
wylizać się – wydobrzeć
wymacać – znaleźć
wypchnąć – wyznaczyć
wypiąć się – odmówić
wypiska – możliwość dokonywania zakupów w więziennym sklepiku za pieniądze zdeponowane na koncie więźnia
wypłacić – uderzyć
wzorek – tatuaż
za (za czym) – po (po co)
zabyć – zapomnieć
zacynkować – dać znać, wyjaśnić, powiedzieć
zajarać – zapalić
zajebać – p. utrubić

zajeżyć – zdenerwować się

zakisić ogóra – odbyć stosunek seksualny

załupać – zabić

zapodać – powiedzieć

zaprawić – dokonać samouszkodzenia poprzez połknięcie jakiegoś przedmiotu

zaprawić się – upić; zaprawić się na ostro: dokonać samoagresji poprzez połknięcie ostrego przedmiotu

zastawka – przysięga grypserska na honor; także: uznanie jakiegoś przedmiotu za niedotykalny, np. zgnojone lub przecwelone łóżko, którego dotknął cwel

zasyпка – samouszkodzenie oka, polegające na zasypaniu sobie oka szkłem, sproszkowanym ołówkiem kopiowym, opiłkami żelaza itp.

zbyty – śmieszne rzeczy

zgonić – zdegradować w więziennej hierarchii

zhaltować – zatrzymać, przestać; w zn. zhaltować szamot: zamilknąć, przestać mówić

zicher – szybka, pewna kradzież

zjazdówka – konferencja mącicieli

zważać, szamie się – zwyczajowy zwrot przed przystąpieniem do posiłku, ostrzegający przed korzystaniem z ubikacji czy „kaleczeniem powietrza” przez innych więźniów; p. kaleczyć

zwinąć – ująć

żarki – zapalki

żenić – w zn. żenić kosę: uderzać nożem; w zn. żenić farmazon, żenić bałach: oszukiwać